

ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K

Rok LVII
Kraków
LUTY
(2) 2005
597

Samotność w rodzinie?



Augustyn, Bomba
Bortnowska, Delsol, Slany

Dwugłos o laickości

Rubryka
dwudziestolatków



www.miesiecznik.znak.com.pl

ISSN 0044-48
INDEKS 3837

Cena 18
(VAT 0%)



Jacek Malczewski
Madonna i dzieci, 1897
olej na płótnie, 59 x 48 cm

Obraz pochodzi ze zbiorów
Muzeum Narodowego w Krakowie

Samotność w rodzinie?

LUTY 2005 (597)

4. Od redakcji

DIAGNOZY

DWUGŁOS

5. *Guilhem Labouret*
„Laickość” a pamięć zbiorowa
8. *Liliana Sonik*
Cudzoziemcy we własnej kulturze

TEMAT MIESIĄCA

DEFINICJE

15. *Jacek Bomba*
Rodzina w dzisiejszej Polsce
21. *Chantal Delsol*
Jak dzisiaj przekazywać wartości?
29. *Krystyna Slany*
Modele życia rodzinnego
41. *Józef Augustyn SJ*
Jeżeli chrześcijaństwo nie chce się samo zabić
53. **Matka**
Z Haliną Bortnowską rozmawia Jolanta Steciuk
60. **Rodzina – dziecko swoich czasów**
Ankieta
86. **Inspiracje**

TEMATY I REFLEKSJE

87. **„Możliwa jest nawet zmiana na lepsze”**
Ze Stefanem Wilkanowiczem
rozmawiają Dorota Zańko i Jarosław Gowin

99. *Marta Tarabuła*
Sztuka sformatowana
DOSKONAŁY SMAK ORIENTU
107. *Piotr Kłodkowski*
Dziecko
RUBRYKA POD RÓŻĄ
112. *Małgorzata Łukasiewicz*
Buty też są ważne
O RÓŻNYCH GODZINACH
117. *Halina Bortnowska*
* * *
POWROTY
128. *Ks. Wojciech Bartkiewicz*
Ubóstwo w epoce konsumpcjonizmu

ZDARZENIA – KSIĄŻKI – LUDZIE

132. *Ryszard Kasperowicz*
Światłość umysłu
137. *Sławomir Popławski*
O naprawie filozofii katolickiej
141. *Janina Katz*
LIST Z KOPENHAGI: Piękni dwudziestoletni
144. *Krzysztof Biedrzycki*
Powrót taty
150. *Łukasz Maciejewski*
Szkola życia
SPOŁECZEŃSTWO NIEOBOJĘTNYCH
154. *Anna Głąb*
Oswoić odrzucone dziecko
158. REKOMENDACJE
161. ROK 1984

Od redakcji

Czym jest rodzina? Idyllicznym urzeczywistnieniem najbardziej naturalnej dla człowieka drogi życiowej? Zakonem o surowej regule, w którym powieść się może tylko wtedy, gdy wszyscy członkowie wspólnoty rozumieją konieczność stałej wewnętrznej pracy nad sobą? Stopniową utratą złudzeń na temat prawdy o człowieku? Instytucją wytwarzającą dochód według założonego biznesplanu? Samotnością pośród najbliższych? Ciepłym punktem w kosmosie, skałą, na której zawsze można się oprzeć?

Czy dzieci to spełnienie pragnień, duma i nadzieja na przyszłość – czy wraza armia, która zagarnia najlepszą część naszego życia i idzie dalej? Czy wspólne życie rozwija w nas ofiarność, czy przeciwnie – instynkt dbania o swoje, jak w osławionej kwestii z *Króla Lwa*: „O piątej rano to jest TWÓJ syn”. Czy wychowując dzieci z poświęceniem, trwale wygrywamy walkę z miłością własną, czy, kiedy odchodzą, powracamy w dawne koleiny egoizmu?

Odpowiedzi na te pytania jest pewno tyle, ile indywidualnych doświadczeń. Część z nich znajdzie Państwo w ankiecie dopełniającej lutowy numer „Znaku”. Rozpoczynamy go tekstem Chantal Delsol, która pisze, dlaczego tak trudno przekazywać dzisiaj dzieciom wartości. Krystyna Slany pokazuje, jak zmieniał się model rodziny na przestrzeni ostatnich stu lat, natomiast ks. Józef Augustyn omawia problem związków homoseksualnych. Halina Bortnowska wspomina swoje dzieciństwo i opowiada o złożonej relacji z matką, a Stefan Wilkanowicz mówi między innymi o tym, czego nauczył się od własnych dzieci. Ponadto w numerze stałe rubryki i *Rok 1984*, którego redaktorzy zajmują się tym razem razem tematem sukcesu.

fol. Daniel Malak



Jan Nowak-Jeziorański

urodzony 15 maja 1913 w Warszawie
– zmarł w Warszawie 20 stycznia 2005

*Człowiek niezwyklej odwagi i prawości, niespożytej energii, którą w całości poświęcił walce o niepodległą Polskę i pracy dla Polski – swojej wielkiej miłości. Służył krajowi na polu bitwy, pełniąc najtrudniejsze zadania kurierskie w AK-owskiej konspiracji, i w Radiu Wolna Europa, którym kierował blisko ćwierć wieku, podtrzymując w Polakach ducha wolności. Był niestrudzonym i skutecznym lobbystą sprawy Polski w USA. Wróciwszy do kraju, służył mu piórem i żywym słowem.
Z Jego śmiercią tracimy wielki autorytet, a zarazem wiernego Przyjaciela.*



Lęk przed obecnością religii w życiu publicznym zaczyna (zwłaszcza w Europie Zachodniej) przybierać karykaturalną postać. Do czego to prowadzi? Czy może być tak, że europejscy chrześcijanie staną się „cudzoziemcami” we własnym domu? Poniżej publikujemy dwugłos na ten temat.

Guilhem Labouret

„Laickość” a pamięć zbiorowa

Święty Mikołaj nie popisał się: był chrześcijaninem, a w dodatku biskupem. Jego pastorał i mitra wprawiają w zakłopotanie. Udowodniono to Pas-de-Calais, gdzie czekoladowe figurki tego świętego objęto zakazem obecności w szkołach, gdy okazało się, że próby wyskrobania krzyża z biskupiego kapelusza nie dają dobrych rezultatów.

Zabawna historia, podobnie jak usunięcie z wielu szkół szopek. Szopek zakazano nawet w Bouches-du-Rhône, regionie znanym z tradycyjnego wyrobu bożonarodzeniowych świątków, chociaż Jezusek jest tam raczej glinianą figurką niż sakralnym wizerunkiem Bożego Syna. W obydwu przypadkach prasa podkreślała ekonomiczne skutki tak ścisłego stosowania ustawy o laickości: pozbawienie zysków producentów czekolady na północy, rozczarowanie rzeźbiarzy ludowych z południa.

Ale czy za tymi działaniami, o które dopominają się przedstawiciele związków rodziców, przy wsparciu kuratoriów a nawet zainteresowanych diecezji¹, nie kryje się coś poważniejszego?

¹ Francuscy biskupi wyznają zasadę: „Im więcej laickości, tym głębsza wiara” (przyp. red.).



Skutkiem wprowadzenia w tych szkołach ustawy o laickości jest zanegowanie części naszego kulturowego dziedzictwa. Kto bowiem z mieszkańców Alzacji, Lotaryngii, Szampanii czy Pikardii wierzy w cuda czynione przez św. Mikołaja, biskupa z Myry, zmarłego 6 grudnia, prawdopodobnie między rokiem 329 a 350? Kto jeszcze czeka na 25 grudnia, żeby ułożyć w żłobku owiniętego w pieluszki Jezuska? Często można go oglądać już z końcem listopada.

Wyeliminowanie obu tych symboli zbiorowej pamięci jest działaniem przeciwko naszym kulturowym dziejom, a nie pracą na rzecz laickości. Żeby być konsekwentnym, należałoby również zabronić wyrobu na święto Objawienia Pańskiego *galette des rois*, „ciasta Trzech Króli” (ponieważ o jakich królów może tu chodzić, jeśli nie o tych z Ewangelii?), czekoladowych dzwonek na Wielkanoc (czy nie nasuwają skojarzenia z Rzymem i powrotem do dzwonnicy?), ale także *croissants* – naturalnych, maślanych albo z szynką – które, przypomnijmy, są wyobrażeniem muzułmańskiego półksiężyca stworzonym niegdyś przez wiedeńskiego cukiernika.

Przy odrobinie wyobraźni można posunąć się jeszcze dalej – wyobraźnia jest jednak twórcza i pracuje szybko, widać już więc jej przejawy w szkolnictwie. Wpiszcie przed datą śmierci jakiejś postaci historycznej krzyżyk, a uznają was za prozelitę; kaźcie czytać swoim uczniom Bossueta czy Claudela, a zostaniecie oskarżeni, że chcecie ich nawracać. Uważajcie, jakie lektury uzupełniające polecacie im kupić: na okładce *Atali* lub *Geniuszu chrześcijaństwa* może pojawić się postać księdza lub krucyfiks... Każąc uczniom śpiewać na lekcjach cywilizacji niemieckiej *Stille Nacht, Heilige Nacht*, tradycyjną kolędę z za Renu, narazicie się na poważne problemy z ich rodzicami i kierownictwem szkoły.

Spotyka się dzisiaj studentów, całkiem zresztą poważnych i bardzo inteligentnych, którzy mają ambicję zdać egzamin konkursowy do Wyższej Szkoły Nauk Humanistycznych w Lyonie, a szczytą się tym, że „powstrzymują się od zaglądania do Pisma Świętego, a przede wszystkim do Ewangelii”, choć to lektura ułatwiająca zrozumienie takiego objętego programem dzieła jak „Historia podróży do Brazylii” Jeana de Léry, francuskiego misjonarza, który wyruszył do Ameryki w okresie wojen religijnych XVI wieku. Inni, studiujący na uni-



wersytecie historię prasy, akceptują czytanie „Le Monde” czy „Le Figaro”, ale niestosowna lub wręcz rażąca wydaje im się lektura „La Croix”², wielkiego krajowego dziennika, jednego z najstarszych, utrzymują bowiem, że ze względu na tytuł gazety jej lektura powinna być opcjonalna. W o wiele mniejszym stopniu stosuje się to z pewnością do pism takich jak „Métro” czy „20 minutes”. I na tym właśnie polega problem: chcąc przesadnie zakazywać mówienia o Bogu – czy oglądania Go, nawet pod postacią wyobrażeń ludowych artystów – w imię rzekomej laickości, zapominamy o historii naszej kultury i fundamentach zbiorowej pamięci. Nieliczni będą więc studenci, którzy potrafią zrozumieć, o co chodzi w *Proboszczu z Tours* i *Lekarzu wiejskim* Balzaka, czy ogarnąć zasięg krytyki Woltera, bo nie będą już nawet wiedzieli, do jakiej religii się odnosi.

Bądźmy poważni: św. Mikołaj i Dzieciątko Jezus są częścią naszego kulturowego dziedzictwa i – podobnie jak wielcy autorzy chrześcijańscy – odcisnęli swój ślad na historii literatury. Obdarowanie przedszkolaka taką czekoladową figurką, podobnie jak polecenie licealiście czytania Lamartine’a to nie próba ewangelizowania ich, lecz uświadamianie im kulturowej tożsamości i otwieranie na świat.

Zawsze można zatrzeć krzyż na mitrze św. Mikołaja: zrobił tak pewien amerykański rysownik, powołując w ten sposób do życia „Gwiazdora”. Ale nie da się wymazać odniesień do Boga i religii w wielkich tekstach literackich. Ci, którzy ocenzurowali dzień św. Mikołaja i okres Adwentu, myślą pojęcia: chcąc zaprowadzać laickość, niweczą jedyny związek uczniów szkoły świeckiej, publicznej, bezpłatnej i obowiązkowej ze zjawiskiem religii – związek kulturowy, którego nośnikiem jest odwieczna tradycja.

Cóż więc w tym działaniu „laickiego”? W rzeczywistości niewiele. Być kimś świeckim to być niezależnym od jakiejkolwiek wiary religijnej: niezależnym, lecz nie nietolerancyjnym. Pułapką ustawy o laickości jest w istocie to, że otworzyła drogę wszelkiego rodzaju protestom, w większości wypadków nieuzasadnionym, jak dowodzi tego przykład spornej choinki z liceum Van-Dongen de Lagny-sur-Marne³ („Le Monde” z dnia 17 grudnia 2004).

² *La croix* to po francusku krzyż.

³ Choinka ustawiona w hallu szkoły została usunięta trzy dni później na polecenie dyrektora liceum, u którego interweniowały w tej sprawie dwie uczennice (dyrektor od-



Zaczynam marzyć o jakiejś nieistniejącej świeckiej szkole, gdzie muzułmanki nosiłyby czadory, chrześcijanie krzyże, a Żydzi kipy. Gdzie Boże Narodzenie byłoby wolne od zajęć, podobnie jak wielkie święta żydowskie i muzułmańskie. Gdzie respektowano by nawzajem swoje tradycje, tak by dzieci poznawały się i uczyły akceptować innego. Gdzie wszyscy czuliby się dobrze.

Kończąc: co pozostanie więc uczniom ze szkół w Pas-de-Calais, jeśli pozbawimy ich św. Mikołaja? Dziadek z różgą czy też, bardziej komiczny, osioł (jak wiemy, „ośla czapka” miała dawniej swoje całkowicie uprawnione miejsce w świeckiej szkole)? Być może jeden i drugi.

© Artykuł, który ukazał się w dzienniku „Le Monde” z dnia 25 grudnia 2004 roku, publikujemy za uprzejmą zgodą Redakcji.

Tłum. Dorota Zańko

GUILHEM LABOURET jest wykładowcą uniwersytetu Paris-Sorbonne.

Liliana Sonik

Cudzoziemcy we własnej kulturze

Argumenty ideowe, pragmatyczne i historyczno-prawne z dyskusji wokół francuskiego prawa o laickości czy preambuły Konstytucji Europejskiej zostały już zapomniane, co nie oznacza, że konsekwencje czysto prawne obydwu aktów są bez znaczenia. W po-

mawia ujawnienia ich wyznania) reprezentujące pewną (niewielką) część uczniów uważających ustawienie drzewka za pogwałcenie zasady laickości. Choinka została ponownie ustawiona przez inną grupę uczniów, tym razem w stolówce, po tym, jak dyrektor polecił odczytanie w klasach napisanego wraz z częścią profesorów listu, w którym wyjaśnił, że drzewko jest symbolem odrodzenia i życia, a tradycja dekorowania go po przesileniu zimowym jest starsza niż chrześcijaństwo (przyp. tłum.).



wszechnej świadomości pozostało jednak wrażenie, że religia (chrześcijaństwo) jest źródłem wykluczenia, konfliktów, społecznego niepokoju i przemocy. Wywodząca się z XIX-wiecznego antyklerykalizmu laickość polityczna została wzmocniona przez laickość paroksytyczną. Staje się ona przyczyną zachowań nie wynikających wprost z faktycznego stanu prawnego.

Jak się zdaje, reakcje społeczne można podzielić na dwie grupy:

1) Odruch dyskryminacyjny płynący z nieufności wobec religii i ludzi religijnych.

Przykładem najsłynniejszym, chociaż – ze względu na specyfikę gry polityczno-dyplomatycznej – nie do końca typowym będzie *casus* Rocco Buttiglione. Ciekawszym, bo politycznie neutralnym, wydaje się przypadek znanej psycholog – Edith Tartar-Goddet. W ubiegłym roku podparyskie gimnazjum zaproponowało rodzicom i nauczycielom serię wykładów Tartar-Goddet. Spotkania miały uczyć dorosłych dialogu z kłopotliwymi nastolatkami. Gdy jedna z matek znalazła w Internecie informację, że prelegentka jest członkiem Protestantkiej Federacji Nauczycielskiej, rodzice zażądali natychmiastowego wstrzymania projektu, bo „z nazwiskiem tej pani łączą się rzeczy związane z Biblią...”. Komentarz tygodnika „L’Express”: „Czy ze szkół winno się usunąć wierzących nauczycieli pod pretekstem, że będą praktykować prozelityzm? Można wierzyć w Boga i respektować laickie prawo. To oczywistość w naszych czasach wcale nieoczywista”.

2) Refleks sprzeciwu wobec obecności w przestrzeni publicznej symboli mających swe źródło, choćby odległe, w religii.

Rok temu Francja wprowadziła następujące prawo: „W szkołach, gimnazjach i liceach zabrania się noszenia symboli i ubiorów, poprzez które uczniowie ostentacyjnie manifestują swą przynależność religijną”. Ustawa ma zapobiegać bójkom na szkolnych podwórkach i dyskryminacji muzułmańskich dziewcząt. Notabene pomysł, by broniąc praw dziewcząt, karać wyrzuceniem ze szkoły właśnie je (chłopcom nic nie grozi) – brzmi dość oryginalnie. Jeśli chusty są sprzeczne z zasadami Republiki, można było zakazać chust jako dyskryminującego obyczaju – na tej samej zasadzie, na jakiej prawo zakazuje poligamii. Wybrano inne rozwiązanie, bo nie tylko o równe traktowanie płci chodziło. Figury listek w postaci uwzględnienia

wszystkich religii – podczas gdy chodziło o islam – nikogo jednak nie wprowadził w błąd. Najlepszym dowodem fakt, iż w potocznym języku przyjęła się nazwa „prawo o chustach”. Fortel zrównujący wszystkie religie nie okazał się li tylko niewinnym zabiegiem uzasadnionym wymogiem równego traktowania. Młodzi ludzie, których ustawa dotyczy, odczytali „prawo o chustach” dosłownie. Zaczęli instynktownie „przywracać sprawiedliwość”: jeśli prawo w praktyce dotyczy głównie muzułmanów, należy przywrócić proporcje w praktyce. Z braku czegoś bardziej wyrazistego postanowili usunąć ze szkoły choinkę. Inni zaprotestowali przeciw św. Mikołajowi z czekolady, a jeszcze inni przeciw szopkom z figurką Jezusa. Skoro religia skłóca i konfliktuje – usuńmy religię!

Gdyby tylko sprawy chciały być takie proste! Czy bezreligijność łągodzi obyczaje? W ubiegłym wieku, w ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat, pod sztandarami ateizmu wymordowano dziesiątki milionów. „Święte” wojny rzadko są wojnami religijnymi.

Dlaczego zatem Europa wydaje się akceptować pozorną logikę alternatywy: albo wojna religii, albo wojna z religią? Teren przygotowany był nie od dzisiaj. Po wielkich oskarżycielach (Comte, Feuerbach, Freud, Marks, Nietzsche) przyszło doświadczenie dwu wojen światowych i holokaustu. Fakt, iż hitleryzm był kultem pogańskim, fundowanym na obcej chrześcijaństwu idolatrii krwi i rasy, uświadamia sobie niewielu. Za to wszyscy pamiętają: „*Gott mit Uns!*”

Chrześcijaństwo jednak rzeziom nie zapobiegło i stopniowo traciło wiarę, że może zbawić świat¹. Dziś prezentuje skromniejszą ambicję: proponuje zbawienie każdej duszy pojedynczo i z osobna – zgodnie z doktryną. Ale niezależnie od aspektu teologicznego każda wielka religia posiada wymiar cywilizacyjny: współtworzy całość kultury. Rezygnacja z uniwersalizmu ma swe konsekwencje dla całego Zachodu.

Z koncepcją zbawienia „prywatnego” przyjęte w ubiegłym roku w Europie prawa nie kolidują. Podkreślić jednak wypada, że przedmiotem „sporu o preambułę” wcale nie było *invocatio Dei*, czyli we-

¹ Używam terminu „chrześcijaństwo” na określenie stanu świadomości wielkiej liczby chrześcijan Zachodu, a nie w odniesieniu do oficjalnego stanowiska Kościoła.



zwanie do Stwórcy, lecz uznanie historycznej i ewidentnej roli chrześcijaństwa w kształtowaniu europejskiej kultury. Brak czy obecność odniesienia do tradycji chrześcijańskiej w Traktacie nie wpływa na przygodę duszy z Bogiem. To jedna z przyczyn, dla których tak niewielu chrześcijan włączyło się w obronę tekstu zawierającego odniesienie do chrześcijaństwa.

Przyczyną drugą jest zaskakująca ewolucja charakteru religijności w krajach Zachodu. Wydawało się, że postępująca sekularyzacja nie ma końca, że Bóg przestanie być ludziom potrzebny, że „oratorium” zostanie skutecznie zepchnięte w niebyt przez „laboratorium”. Tymczasem Peter Berger mówi o procesie „desekularyzacji”², Gilles Kepel – o „zemście Boga”³, Enzo Pace o „powrocie *sacrum*”... Ożywienie religijne nie oznacza jednak powrotu do religii instytucjonalnej. Ani tradycja, ani tym bardziej instytucja Kościoła nie są powszechnie uznanym gwarantem prawdziwości czy roztropności. Nic zatem nie jest dane, ale też niewiele jest zadane. Od zaangażowania duchowego oczekuje się szybkiej rekompensaty w postaci pełnej akceptacji, poczucia „uszcześliwienia”, ewentualnie ukojenia cierpienia (stresu?). Można do woli wybierać w ofercie szkoleń obiecujących w ciągu tygodnia, za kilkaset euro, przyswojenie sobie całych wieków mądrości Azji. To duchowość swobodnie unosząca się w sferze przekonań konstruowanych na życzenie, na obrzeżach religii tradycyjnych. Fascynacji ezoteryzmem, magią, astrologią, towarzyszą rekonstruowane wedle nowej mody kultury przedchrześcijańskie, także satanistyczne, czy praktyki w stylu woodoo. Modny jest szamanizm zapewniający, jak w reklamie, „dwa w jednym”: Syberia i Indianie, spirytualizacja i medykalizacja, narkotyk i wiedza. Wiele osób „wierzących” nie wierzy w Boga osobowego. Mówi się: „Boskość”, „Moc”, „Energia”, „Siła Wyższa”, „Dusza Świata” – w każdym z tych określeń widać charakterystyczne przesunięcie w stronę pierwiastka kobiecego. Mamy do czynienia z prawdziwym wysypem sekt. Także sekt chrześcijańskich, które Kościół toleruje z nieśmiałości lub niewiedzy. Zresztą księża nie chcą być urzędni-

² P. Berger, *Le réenchantement du monde*, Paris 2001.

³ G. Kepel, *La revanche de Dieu*, Paris 2003.



kami Pana Boga, chcą się – jak wszyscy – samorealizować, a pojęcie „służby” czy posłuszeństwa zanika. W takiej sytuacji lepiej zbyt wiele nie mówić o doktrynie, o grzechu, o dogmatach. Obserwujemy rozejście się pojęć, które w przeszłości wydawały się nieodłącznie ze sobą powiązane: wiara, kodeks moralny, przynależność do Kościoła, praktyki, Credo. Wiara niekoniecznie idzie w parze z akceptacją wymogów moralnych, przynależność do Kościoła nie oznacza wypełniania praktyk, a wszystko razem luźno wiąże się ze swobodną interpretacją dogmatów.

Religijność niestandardowa, „osobista”, oznacza zazwyczaj synkretyczną składankę wedle własnych zapotrzebowań i własnych wyobrażeń. Często jest to religijność gorąca, ekstatyczna, której „osobny” charakter domaga się potwierdzenia w grupie i poprzez grupę dzielącą podobne doświadczenia.

Czyżby „zbawienie” było w politeizmie? Takie głosy słyszymy coraz częściej. 14 sierpnia 2004, podczas wizyty papieskiej w Lourdes i dzień po otwarciu igrzysk ateńskich, dziennik „Liberation” zamieścił następujący komentarz redakcyjny:

Jan Paweł II jest za stary, by po wizycie u Bernadety spodziewać się cudu, zwłaszcza że Kościół nieco przykręcił kurek cudownych właściwości lokalnej wody. Zresztą, jeśli cud jest komuś potrzebny, to chyba samemu Kościołowi. 20 lat po pierwszej wizycie we Francji papież może tylko stwierdzić erozję instytucji, którą kieruje. Francja, która od stuleci zawsze wyprzedza inne kultury europejskie, przestała być krajem chrześcijańskim. (...) Od rychło zapomnianego festiwalu paryskich Dni Młodzieży w sierpniu 1997 roku papież bardzo się postarzał. W tym cierpiącym ciele można dostrzec symbol historycznej słabości instytucji. Od czasów tryumfu nad upadającym Antykiem Kościół nigdy jeszcze nie był równie słaby. Czy jest przypadkiem, że dzisiaj Antyk powraca i poprzez piękne, półnagie, tańczące w greckim świetle ciała, świętuje swój spektakularny powrót do Olimpu, do Jupitera?

Autor tych słów daje upust fantazmatom, lecz nic lepiej nie definiuje stanu świadomości niż fantazmaty, które kreuje. Problem w tym, że nie ma powrotu. Nie ma powrotu ani do Olimpu, ani do bogów Olimpu. Jest oczywiste, że jesteśmy skazani na permanentną przygodę w świecie, który istnieje tylko raz. Lepiej jednak być świadomym, że formułując opinię o linearnym rozwoju historii, myślimy w kategoriach judeochrześcijańskich...



Neopogańskie tendencje wiążą się jednak ze zjawiskiem innej natury. Biskup Hyppolyte Simon, z wykształcenia filozof, z zamiłowania socjolog, w nadspodziewanie dobrze sprzedającej się książce *W stronę Francji pogańskiej?* pisze: „Jeśli nie nastąpi zbiorowe otrzeźwienie Francja znajdzie się w impasie. Głusi na Słowo, które ich ukształtowało, nasi współcześni wracają do niemych bóstw pogańskich. Innymi słowy: do niewolnictwa przeznaczenia. Nie traktują życia jako powołanie, lecz jak los...”⁴.

Czyżby chrześcijaństwo miało się aż tak źle? Socjolog religii D. Hervieu-Léger⁵ mówi o bezgłośnym tąpnięciu, o cichej zapaści. Schyłkowi instytucji, która stworzyła kulturę, system wartości i odniesień, oraz wynikające zeń struktury społeczne i państwowe, towarzyszy kryzys tychże. Pojęcia zaczerpnięte bezpośrednio z katolickiej wizji świata (rodzina, sprawiedliwość, edukacja, autorytet) zmieniają swą naturę, pozostawiając Kościół „w stanie nieważkości”, samotnie funkcjonujący wedle kodu coraz trudniej czytelnego dla ogółu. Natomiast wartości chrześcijańskie (solidarność, równa godność wszystkich ludzi, wolność, uniwersalizm, miłość i miłosierdzie) tak głęboko przeniknęły kulturę, że dawno zapomniano, iż ich twórcą i nośnikiem był Kościół. Aksjologiczny kidnaping nie jest jednak rzeczą obojętną. Sekularyzacja wartości wiąże się ze zmianą sensu lub/i uzasadnienia.

Wydaje się, że katolicyzm nie ma dzisiaj ani siły, ani ambicji, by bronić wartości, które współtworzył.

Dla Hervieu-Léger ważnym dowodem schyłku katolicyzmu jest atonia: „coraz większa liczba katolików sądzi, że są ostatnimi przedstawicielami ginącego świata”. Kościół, zwłaszcza we Francji, nie z takich kryzysów wychodził obronną ręką. Katolików praktykujących jest coraz mniej, lecz jakość, głębia, żarliwość ich wiary bywa imponująca. Kościół z pewnością nie powiedział ostatniego słowa. Niepokoi coś innego. Wydaje się, że katolicyzm nie ma dzisiaj ani siły, ani ambicji, by bronić wartości, które współtworzył.

Gdy już nikt nie będzie czerpał ze źródła Kościoła – pisze H. Simon – jak długo przestanie Ewangelii przetrwać w społeczeństwie? Dla kogo amnezja oka-

⁴ H. Simon, *Vers une France païenne?*, Paris 1999.

⁵ D. Hervieu-Léger, *Catholicisme, la fin d'un monde*, Paris 2003.

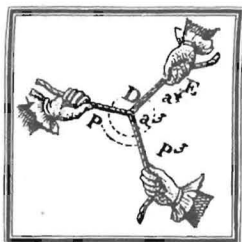
że się bardziej niebezpieczna: dla Kościoła czy dla przyszłych pokoleń? Co stanie się główną religią Francuzów, gdy w niedalekiej przyszłości katolicy stanowiąc będą 15% ludności? Co stanie się z naszą kulturą, ukształtowaną – jak wolno sądzić – przez 15 wieków chrześcijaństwa? A nade wszystko, jaka będzie przyszłość idei dla niej podstawowych, czyli przekonania o podstawowej równości wszystkich ludzi i godności osoby ludzkiej? Czy społeczeństwo zobojętniałe na apel tych wartości potrafi poradzić sobie ze strategią tych wszystkich, którzy chcieliby nas nawrócić na ideę pogańskiego politeizmu, perspektywę legitymizującą zasadniczą nierówność ludzi, ludów i narodów?

W obrazie, jaki nakreśla biskup Simon, opustoszałe kościoły i sale katechetyczne są więc nie tylko problemem duszpasterskim czy teologicznym, lecz przede wszystkim problemem politycznym.

Guilhem Labouret, autor podręcznika metodologii nauczania literatury francuskiej, wskazuje na skutki zakwestionowania prawomocności samego istnienia symboliki chrześcijańskiej w przestrzeni publicznej. Zanik kultury religijnej zmienia naturę recepcji kultury. Ani literatura, ani rzeźba, ani malarstwo czy architektura, ani nawet najbardziej abstrakcyjna ze sztuk – muzyka – nie ocaleją nietknięte. W dawnej sztuce, gdzie wątki religijne są wszechobecne, istotna była funkcja narracyjna. Ta narracja przestanie być czytelna. To naturalnie nie oznacza końca sztuki, wprowadza tylko inną jej lekturę, opartą na alfabecie walorów dekoracyjnych. Przeżycie estetyczne może być równie intensywne – potrafimy „bezinteresownie” kontemplować piękno hieroglifów. Nawet jeśli nie rozumiemy ich sensu. Cudzoziemcy we własnej kulturze?

Na koniec anegdota z własnego doświadczenia: Paryż. Wielki dom towarowy pełen przedświątecznych dekoracji. Wśród zajęczków, króliczków, kurek, piskląt i baranków przechadza się egzotycznie wyglądająca para cudzoziemców. Zastanawiają się półszepcetem, o jakie święto może chodzić. Wreszcie znajdują odpowiedź – „to musi być święto zwierząt”.

LILIANA SONIK, publicystka. Pisała m.in. w „Rzeczpospolitej” i „Tygodniku Powszechnym”.



Jacek Bomba

Rodzina w dzisiejszej Polsce

Spojrzenie psychiatry

Rodzina, nawet najlepiej formalnie zabezpieczona, nie jest automatem produkującym szczęście osobiste i społeczne. Jest raczej wyzwaniem i zadaniem. W razie niepowodzeń może być, niestety, gniazdem krzywdy i zła.

Dlaczego spojrzenie psychiatry? Perspektywa, jaką daje zajmowanie się ochroną zdrowia psychicznego – to znaczy zapobieganiem zaburzeniom psychicznym, ich leczeniem i rehabilitacją psychospołeczną – pozwala spojrzeć na życie rodzinne w szczególny sposób. Prawo stanowione przez parlament i deklaracje polityków eksponują naczelną rolę rodziny dla społeczeństwa i należącej z tego powodu ochronę. Gwarancje tej ochrony stanowią też liczne rozporządzenia wykonawcze, a ich efekty są widoczne w, przynajmniej niektórych, działaniach administracji samorządowej i państwowej czy pracy sądów rodzinnych. Prawo precyzyjnie określa, jaka forma relacji

między ludźmi czyni z nich rodzinę. Są to więzy pokrewieństwa oraz określone przez prawo więzy małżeńskie i przysposobienia. Ale prawo stwarza także kategorie pośrednie, takie jak rodzina zastępcza, kiedy komuś, kto nie musi być związany wymienionymi wyżej formami z osobą potrzebującą, powierzane jest sprawowanie opieki wraz ze wszystkimi wynikającymi z tego uprawnieniami, zobowiązaniami i przywilejami.

Prawo nie potrafi jednak, i nie czyni tego, zdefiniować podstawowej cechy więzi rodzinnych, to znaczy więzi uczuciowych. Może jedynie zalecić ich ocenę przed podjęciem decyzji o rozwiązaniu rodziny – na przykład orzeczeniem o rozwo-

dzie lub pozbawieniem rodzica prawa do opieki nad dzieckiem.

Psychiatra w oparciu o swoje doświadczenie zawodowe nie może nie doceniać i nie podejmować prób zdefiniowania właśnie tych ostatnich. W Polsce badania nad znaczeniem więzi rodzinnych dla zdrowia psychicznego zainicjowane zostały przez Marię Orwid ponad ćwierć wieku temu¹. Najważniejsze okazują się więzi uczuciowe oraz ich dynamiczny rozwój, niezależnie od tego, czy grupa ludzi spełnia formalne kryteria prawne bycia rodziną czy nie. Te dwa czynniki – siła związków i ich dynamika – w ogromnej mierze wpływają na indywidualny rozwój poszczególnych osób tworzących rodzinę, a także na to, jak każda osoba i cała rodzina radzą sobie z przeciwnościami losu, takimi na przykład jak poważna choroba².

Także radzenie sobie ze stresem innymi niż spowodowane poważną chorobą w ogromnej mierze związane jest z możliwością znalezienia bezpiecznego oparcia w rela-

cjach z bliskimi uczuciowo osobami – najczęściej w rodzinie. Badania socjologiczne wskazują, że w okresach bardzo nasilonego stresu makrospołecznego relacje rodzinne są szczególnie doceniane i wartość tych więzi wyraźnie wzrasta w subiektywnym poczuciu badanych osób³. Równocześnie daje się zauważyć tendencja do rozbieżności między deklaracjami a rzeczywistością możliwością znalezienia u partnerów życiowych oparcia w trudnych sytuacjach. Z prowadzonych w drugiej połowie lat 80. badań krakowskich wynikało, że rodzice dorastających dzieci częściej zwracają się w kłopotach do własnych rodziców lub dzieci niż do małżonka⁴.

Jeśli wziąć pod uwagę, że w XX wieku nastąpiła zmiana wzoru życia rodzinnego polegająca na zmniejszeniu liczby rodzin wielopokoleniowych na rzecz rodzin nuklearnych (rodzice i dzieci), to słabość i zawodność relacji między partnerami (małżonkami) może być jedną z przyczyn dysfunkcyjności rodzin.

¹ M. Orwid, *Sytuacja rodzinna a powstawanie zaburzeń psychicznych u młodzieży dojrzewającej*, „Folia Medica Cracoviensis”, 1976, 17, 2.

² I. Namysłowska, B. de Barbaro, P. Dawidowski, L. Drożdżowicz, B. Józefik, M. Furgal, *Charakterystyka rodzin osób chorych na schizofrenię, jądłowstręt psychiczny, choroby niedokrwienne serca oraz przeżywających kryzys rodziny*, KBN 4PO5 1309313, 2001 (wyniki niepublikowane); B. Józefik, *Terapia rodzin w leczeniu zaburzeń odżywiania się*, w: J. Bomba, B. Józefik (red.), *Leczenie anoreksji i bulimii psychicznej: co, kiedy, komu?*, Biblioteka Psychiatrii Polskiej, Kraków 2003; K. Widelska, *Badanie relacji rodzice-dzieci w rodzinach pacjentów młodzieżowych z różnymi obrazami zaburzeń psychicznych*, „Przegląd Lekarski”, 2004, 61, 11, 1224-1227.

³ M. Jarosz, M. Marody, S. Nowak, *Spoleczeństwo polskie drugiej połowy lat 80. – Próba diagnozy stanu świadomości społecznej. Raport opracowany przez Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Socjologicznego*, styczeń 1987 (rękopis).

⁴ J. Bomba, B. Kurzydło, *Przebieg rozwoju biologicznego i społecznego a występowanie zaburzeń psychicznych o obrazie depresyjnym u dzieci i młodzieży*, „Psychiatria Polska”, 1990, 24, 4, 7-14.



Funkcjonalność i dysfunkcjonalność rodziny

Badacze życia rodzin wskazują, że współczesna rodzina nuklearna jest grupą naturalną, której celem jest wzajemne zaspokajanie potrzeb emocjonalnych tworzących ją osób, umożliwienie i wspieranie ich indywidualnego rozwoju, wychowanie dzieci, pomoc w osiągnięciu niezależności i samodzielności, a także stworzenie relacji partnerskiej, kiedy opuszczają gniazdo rodzinne. Badacze ci podkreślają, że rodzina jako całość także rozwija się, a w kolejnych fazach staje przed nowymi zadaniami i znajduje sposoby ich zadowalającego rozwiązania.

Niestety, często tak się nie dzieje i rodzina reaguje kryzysem, który może rozwiązać sama, uzyskując większą dojrzałość. Może jednak dojść do utrwalenia takich sposobów postępowania, które nie rozwiązują problemu, lecz raczej go nasilają lub generują nowe, poważniejsze problemy. Najbardziej znane to rozpad więzi między partnerami i dążenie do rozwiązania związku (rozwód) lub utrwalenie się relacji opartej na wrogości i agresji. Ta ostatnia sytuacja sprzyja pojawieniu się w rodzinie przemocy w postaci agresji fizycznej (bicie), agresji psychologicznej (wyzwiska, upokarzanie, dręczenie) lub zaniegbywaniu podstawowych potrzeb członków rodziny. Ofiarami przemocy zostają najczęściej te osoby, które są w rodzinie najsłabsze, z reguły kobiety lub dzieci.

Maltretowanie, wykorzystywanie i zaniedbywanie w rodzinie

Kultura, w której żyjemy i którą tworzymy, zapewnia rodzinie prawo do prywatności, własnych wzorów i stylów życia oraz do zachowania w tajemnicy tego, czego członkowie rodziny nie chcą ujawniać przed innymi osobami w społeczności. W tradycyjnym europejskim wzorze rodziny, także w Polsce, przeważa struktura rodziny, w której władza sprawowana jest przez męża-ojca. Odpowiada on za dostarczanie rodzinie środków materialnych, zapewnienie bezpieczeństwa, a także wymierza kary za odstępstwa od norm życia rodzinnego. W tradycyjnej roli kobiety najważniejsze są: macierzyństwo, troska o wyżywienie i zapewnienie ciepła uczuciowego. Do rodzinnych ról społecznych kobiet i mężczyzn należało przekazanie dzieciom odmiennego zestawu wartości. Mężczyzn-ojców uczył wartości związanych z życiem społecznym, kobieta-matka – z życiem rodzinnym. Przekazywać też mieli nieco inne aspekty tradycji religijnej i kulturowej. Zadania te mogły być spełniane przy zachowaniu wyraźnych, ale jednak przepuszczalnych granic zewnętrznych rodziny (oddzielających ją od reszty świata społecznego) oraz równie wyraźnych granic między poszczególnymi członkami rodziny.

Jeśli struktura rodziny nie zapewnia należytej wyrazistości i przepuszczalności granic, zwłaszcza we-



wewnętrznych, zwiększa się ryzyko wystąpienia zjawisk nieprawidłowych, z których – przynajmniej ostatnio – wymienia się najczęściej wykorzystywanie i maltretowanie. Trzeba od razu powiedzieć, że nie jest pewne, czy pojawiły się one w życiu rodzinnym teraz, w okresie, w którym tradycyjne role ulegają wyraźnej przemianie. Jest bardzo prawdopodobne, że istniały i dawniej, ukryte za zamkniętymi drzwiami prywatności rodzinnej. Uwaga, jaką się im poświęca teraz, wynika raczej ze zmiany stosunku do praw człowieka – niezależnie od tego, jakiej jest płci, ile ma lat i jaka jest jego pozycja w rodzinie. Można też z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że maltretowanie i wykorzystywanie – przy zwiększonej wrażliwości społecznej na te zjawiska – dostrzegane jest łatwiej, a zatem częściej w rodzinach o wyraźnym rozmyciu granic i ogólnej niewydolności. Można jednak odpowiedzialnie powiedzieć, że stworzone przez kulturę i prawo warunki mające zabezpieczyć funkcjonowanie rodziny nie przeciwdziałają skutecznie ani zaniedbywaniu, ani maltretowaniu, ani wykorzystywaniu. Ich rozmiar jest bardzo znaczny, a brak odpowiednich środków przeciwdziałania powinien budzić niepokój.

Poszukiwanie przyczyn

Chociaż wiele już wiadomo o mechanizmach dysfunkcyjności ro-

dzin i pojawianiu się zaniedbywania, wykorzystywania i maltretowania, nie jest to wiedza pełna. Przypuszcza się, że ich pojawianiu się sprzyja niedojrzałość do życia rodzinnego osób zakładających rodzinę, niedostateczne przygotowanie w rodzinie generacyjnej (to znaczy tej, w której się urodzili i wychowali) oraz skomplikowany proces nazywany między-pokoleniowym przekazem traumy. Doświadczenie poważnych urazów ma, jak się dowodzi, niekorzystne następstwa w kolejnych pokoleniach. Z drugiej strony zwraca się uwagę na wpływ, jaki na życie rodziny mają procesy makrospołeczne, takie jak przebudowa systemu politycznego, gospodarki, rozwój przekazów masowych itd. W szczególności podkreśla się wpływ bezrobocia na poczucie wartości i wydolność rodzicielską. A także na nowy rodzaj rozżewu między rodzicami a dziećmi wynikający z odmiennej sprawności w korzystaniu z informacji.

Zmiany w życiu rodzinnym

Konserwatywnie nastawieni badacze ubolewają nad tym, że przemiany w ogóle zachodzą, i skłonni są do idealizowania tradycyjnego wzoru rodziny wielopokoleniowej, patriarchalnej, silną ręką rządzonej przez seniora rodziny. Zmiany w życiu społecznym, także rodzinnym, zachodzą jednak mimo takich ubolewań. Nuklearyzacja życia rodzinnego właściwie już się dokonała.



Podobnie jak urbanizacja społeczeństwa, która taki wzór życia rodzinnego wymusza. Tradycyjny podział ról w rodzinie również uległ zamazaniu wobec coraz większego rozpowszechnienia rozwoju zawodowego kobiet. Prawo do kształcenia się i kariery zawodowej początkowo czyniło życie matek-żon podwójnie trudnym. W ostatnich latach jednak coraz wyraźniejszy jest udział ojców-mężów w pracach domowych i bezpośredniej opiece nad dziećmi. Bieżące obserwacje nie wskazują przy tym na związki między takim wzorem życia rodzinnego a ryzykiem dysfunkcyjności.

Stosunkowo nowym zjawiskiem jest tendencja do budowania związków partnerskich bez odwoływania się do tradycyjnych zabezpieczeń prawnych (cywilnych lub religijnych). Współczesne pokolenie młodych dorosłych coraz częściej, jak się wydaje, rezygnuje z formalności i podejmuje indywidualne poszukiwania budowania rodziny w oparciu o uczucia, szacunek, partnerstwo. Także wówczas, gdy celem takiego związku nieformalnego jest spłodzenie i wychowanie dzieci.

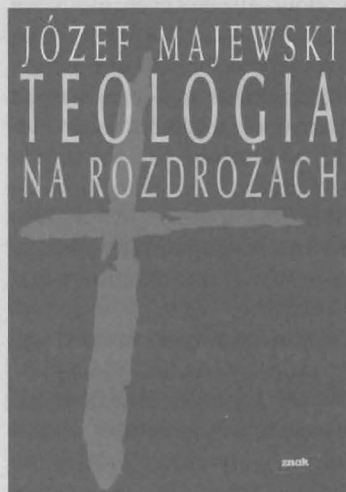
Podstawowym argumentem krytyki związków nieformalnych jest dopatrywanie się u ich podstaw hedonistycznego dążenia do zaspokojenia własnych potrzeb seksualnych oraz egoistycznego odrzucania obowiązku prokreacyjnego (niezależnie od tego, czy rozumie się go jako zobowiązanie wobec przyszłości społeczeństwa czy jako powinność religijną). Potrzeba rodzicielstwa jest

głęboką potrzebą ludzi doświadczaną przez każdego dorosłego, a szczególnie silnie i boleśnie wówczas, gdy z powodów zdrowotnych nie może być zrealizowana. Ale przecież rodzicielstwo jest nie tylko „obowiązkiem” (religijnym, społecznym). Jest także aktem wymagającym odpowiedzialności. Wielowiekowa tradycja redukcji potrzeb seksualnych do funkcji służebnej prokreacji przesłoniła ich inną ważną funkcję, jaką jest budowanie i wzmacnianie więzi uczuciowej.

Trzeba jeszcze wspomnieć o wyraźnej tendencji do budowania partnerstw osób tej samej płci, domagających się uznania ich prawa do miłości. Argumenty przeciw rodzinom homoseksualnym są jeszcze bardziej gwałtowne niż przeciw heteroseksualnym rodzinom nieformalnym. I podobnie bronią *status quo* z pominięciem przemian społecznych, które zachodzą.

Idea rodziny – a właściwie jej idealizowany obraz – nie przeciwdziałała w przeszłości istnieniu rodzin niekompletnych. Najczęściej były to rodziny, w których matka sama wychowywała dzieci. Przyczyny nieobecności ojca w tych rodzinach są bardzo różnorodne. Jeszcze nie tak dawno samotna matka nie mogła, ponieważ nie przyznawano jej do tego prawa, wychowywać swoich dzieci. Prawo wymagało kurateli mężczyzny, a społeczność potępiała ją, jeśli była niezamężna. Trzeba się spodziewać, że skoro tendencje do budowania rodzin nieformalnych, do wychowywania dzieci przez partne-

znak



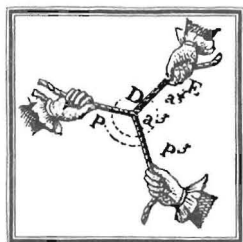
Józef Majewski
**Teologia
 na rozdrożach**

Przewodnik po problemach, przed jakimi w ostatnich latach stanęła katolicka teologia. Młody świecki teolog pisze m.in. o stosunku Kościoła do innych religii i innych wyznań chrześcijańskich, o nowych wątkach w teologii maryjnej i teologii feministycznej, o konsekwencjach reformy liturgii oraz o ścierających się wizjach Kościoła przyszłości. *Teologia na rozdrożach* to książka dla wszystkich, którzy chcą zrozumieć, w jaki sposób wyznaje swoją wiarę dzisiejszy Kościół.

rów jednej płci już się pojawiły, to prawdopodobnie ulegną wzmocnieniu i staną się czymś może nie powszechnym, ale trwale obecnym.

Bliskość, więź, własne gniazdo są człowiekowi potrzebne. Niezależnie od regulacji prawnych rodzina – formalna i nieformalna – jest rozwiązaniem, które powtarza się w różnych kręgach kulturowych jako najlepszy sposób na życie i wychowanie potomstwa. Rodzina jednak, nawet najlepiej formalnie zabezpieczona, nie jest automatem produkującym szczęście osobiste i społeczne. Jest raczej wyzwaniem i zadaniem. W razie niepowodzeń może być, niestety, gniazdem krzywdy i zła.

JACEK BOMBA, ur. 1941, prof. dr hab. med., kierownik Katedry Psychiatrii i Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży CMUJ. Studia podyplomowe odbywał pod kierunkiem Antoniego Kępińskiego i Marii Orwid.



Chantal Delsol

Jak dzisiaj przekazywać wartości?

Dziecko będzie mogło odstąpić po pewnym czasie od tego, w co ja wierzę, i zwrócić się ku czemuś innemu, nie będzie to jednak możliwe, jeśli nie zostanie wychowane w oparciu o jakieś szczególne przekonania moralne, poprzez które nauczy się relacji i uzna inność.

Rodzina to między innymi przekazywanie wartości. Problem ten nastrocza obecnie wiele trudności, których powody chciałabym tu omówić. Spróbuję też odpowiedzieć na pytanie, dlaczego przekazywanie jest konieczne.

Aby określić ramy tego zagadnienia, zauważmy najpierw, że zanika przekazywanie rzeczy. Dawniej syn przejmował firmę po ojcu lub poświęcał swoje osobiste plany, żeby zachować własność, która była środowiskiem życia jego przodków. Człowiek miał niegdyś poczucie, że jest ogniwem długiego łańcucha („a jeśli jedno oczko w łańcuchu puści...”), z tego powodu często bywał więc zmuszony do rezygnacji ze swoich talentów czy zamiłowań. Dzisiaj daje mu się możliwość samorealizacji. W reklamówce ubrań zamieszcza się stwierdzenie: „Życie jest zbyt krótkie, żeby ubierać się ponuro”. Nikt z nas nie wpadłby już teraz na pomysł, żeby posłużyć się szantażem emocjonalnym po to, by zmusić swojego syna do kierowania rodzinną firmą.

W dzisiejszych czasach zerwana została jednak nie tylko ciągłość przekazywania rzeczy: nie przekazuje się również wartości i przekonania. Jeśli rodzice mają nawet jakieś własne przekonania na temat tego, czym jest „dobre życie”, wahają się, czy je przekazywać, uważając, że to, co było wartością dla nich, niekoniecznie będzie nią dla ich dzieci. Innymi słowy, nie tylko rzeczy utraciły swą symboliczną nieśmiertelność (przedsiębiorstwo, dom rodzinny czy rodzinne dzieło nie są już tak ważne, by od młodych pokoleń można było wymagać poświęcenia siebie), ale też same idee stały się nietrwałe. Przekonania ulegają więc „przeterminowaniu”. Kiedy zostajemy rodzicami, mamy dojmujące, choć często niewytłumaczalne uczucie, że nasze ideały niekoniecznie mają jeszcze znaczenie dla naszych dzieci. Od tego momentu nie wiemy już, co im przekazywać. Dlaczego? Widzę trzy tego przyczyny.

Po pierwsze, pewności, które były naszymi wspólnymi przekonaniem, wywołały w XX wieku niedopuszczalną opresję polityczną i społeczną. Na własne oczy zobaczyliśmy terroryzm przekonań. Widzieliśmy, jak tysiące młodych ludzi, początkowo niewinnych i czystych, zaczynało zabijać albo stawało się ofiarami zabijania – w imię lepszego jutra, tysiącletniej Rzeszy lub dla jakiegoś oszalałego dyktatora. Tym, co nas połączyło pod koniec tamtego wieku, była nieufność do jakichkolwiek ideałów i przywiązywania się do nich. Trzeba tu dodać, że ideologie, które zaczęły naśladować religie po uprzednim ich wyparciu, zdyskredytowały ideał religijny, karykaturując jego sposoby przejawiania się (od tamtej pory każdy katechizm przypomina nam o katechizmach totalitarnych, a dzisiejsze religie podejrzewa się o ducha sekciarskiego). Na skutki nie trzeba było długo czekać: boimy się przekazywać taką wiarę, która z definicji wydaje nam się niebezpieczna.

Powód drugi to nieprawdopodobnie szybka na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci ubiegłego wieku ewolucja w dziedzinie moralności. Wiele zachowań i czynów, które jeszcze pięćdziesiąt lat temu wydawały nam się albo uprawnione (kolonizacja, wojny zdobywcze), albo jawiły się jako ostateczność (tortury), dzisiaj niezależnie od okoliczności wywołuje w nas uczucie grozy. Moralność zachodnia w krótkim czasie tak bardzo się zmieniła, że pojawiło się zjawisko skruchy. Zabu-



rzona została etyka życia codziennego: relacje między kobietą a mężczyzną i podział ról między nimi, życie seksualne i obyczajowość w ogóle, etyka pracy i samo nawet pojęcie „projektu życiowego”. Ta błyskawiczna ewolucja rzuciła nas w bardzo niestabilny świat – czyż mamy więc prawo przekazywać naszym dzieciom zachowania, które za trzydzieści lat mogą zostać potępione? Jeśli jeszcze nie tak dawno zdolni byliśmy bronić tego, co dzisiejszy świat przejmuje grozą, to co właściwie oznacza „dobre życie”? Przekazywać można to tylko, co uważa się za godne unieśmiertelnienia – tymczasem my nie wiemy już, co to jest.

Jedyną rzeczą, jaka wydaje nam się warta ocalenia z pokolenia na pokolenie, jest osobista wolność wyboru własnych przekonań. Jest to trzeci powód nieprzekazywania. Zależy nam przede wszystkim na tym, żeby dziecko mogło żyć zgodnie z własnymi uzdolnieniami i osobistym planem życiowym. Osoba dziecka wydaje nam się ważniejsza niż jakakolwiek prawda wiary. Innymi słowy, nasze podejście jest dokładnym przeciwieństwem postawy Blanki Kastylijskiej, która mawiała o swoim synu, przyszłym Ludwiku Świątym: „Wolę, żeby był prawy niż szczęśliwy”. Należy zauważyć, że nie jest to zerwanie z przeszłością, lecz apogeum powolnej ewolucji, w toku której osoba osiąga pełnię swej godności wyrażającej się autonomią i wolnością.

W ten sposób dochodzimy do bardzo współczesnego pytania: czy przekazywanie rzeczywiście jest konieczne?

Jestem wierzący, mówi ojciec rodziny. Ale nie mam odwagi przekonywać dziecka do mojej wiary. To takie proste, kiedy jest jeszcze małe! Miałbym jednak poczucie, że popełniam gwałt na jego sumieniu, że pozbawiam go przyszłej wolności. Dokona wyboru, gdy dorośnie. Albo zostanie ateistą, albo przyjmie jakąś inną religię niż moja. A jeśli wybierze moją religię, dokona się to przynajmniej bez mojego wpływu.

Czy nie można przekazywać formy bez zawartości? Wyrobić w dziecku zmysłu krytycznego, zdolności osądu, tolerancji: nauczyć je bycia wolnym, po to by kiedyś później samo mogło nadać sens tej wolności i dać tej formie zawartość? Pozwolę sobie udzielić na to pytanie mojej osobistej odpowiedzi. Wiem, że jest ona kontrowersyjna. Ale tym, co łączy nas w tych dociekaniach, są przekonania, które chcemy pogłębić.



Nie można nauczyć się sądenia, nie wydając żadnej opinii. Ani nauczyć się tolerancji, nie mając jakiegoś adwersarza, którego trudno nam jest tolerować. Ani poznać, co to religia, nie nauczywszy się wierzyć. Podobnie też nikt nie jest w stanie poznać miłości w sposób intelektualny, jeśli nie kochał najpierw ojca i matki. Chcę przez to powiedzieć, że nie możemy przekazywać formy bez zawartości ani pytania bez odpowiedzi, choćby prowizorycznej. Dziecko będzie mogło odstąpić po pewnym czasie od tego, w co ja wierzę, i zwrócić się ku czemuś innemu, nie będzie to jednak możliwe, jeśli nie zostanie wychowane w oparciu o jakieś szczegółowe przekonania moralne, poprzez które nauczy się relacji i uzna inność.

Mówiąc inaczej, problem wolności dziecka nie wygląda tak, jak się go dzisiaj powszechnie postrzega. Wszyscy jesteśmy przekonani, że powinno być ono wolne, ma bowiem – jako osoba – stać się kimś autonomicznym i odpowiedzialnym. Ale nie uczynimy go wolnym, zaprzestając przekazywania mu tego, w co wierzymy, z obawy, że mogłyby poczuć się wyobcowane. Uczynimy je wolnym, przekazując mu nasze przekonania jednocześnie ze zmysłem krytycznym, tak aby samo mogło je zweryfikować, gdy przyjdzie na to czas. Wiem, że to zadanie dla akrobaty: przekazywać przekonania i uczyć jednocześnie zdolności rozróżniania, która będzie je oceniać. Ale gra warta jest świeczki.

Jesteśmy bytami wcielonymi. Wszystko, czego się uczymy, musi wcielać się w jakiś konkret, który daje dziecku oręż. Przywołując poprzedni przykład: dziecko nauczy się kochać dzięki konkretnej miłości do matki i w tej pierwszej relacji zobaczy, że miłość może być wspaniała albo przysparzać cierpienia, że może być szlachetna albo zaborcza. Utopią jest próba wychowania dziecka uniwersalnego, które będzie bezgranicznie wolne, ponieważ bezgranicznie puste. Wolność jest tylko możliwością wybrania punktów odniesienia, za które stajemy się odpowiedzialni. Ale żeby istnieć, już u podstaw musi się ona określać według tych punktów odniesienia i tej odpowiedzialności. Dziecko nie uczy się najpierw wolności, a potem dopiero się nią posługuje. Uczy się jej, gdy się nią posługuje, nieporadnie. Doświadczając, jak trudna jest odpowiedzialność, zdaje sobie sprawę, jak trudna jest wolność.

Dlaczego tak jest? Ponieważ człowiek jest istotą kulturową. Właśnie to odróżnia go od zwierząt. Czym jest kultura? Zespołem odpowiedzi, zawsze niedoskonałych i niedokończonych, na niespokojne pytania, które zadaje sobie to zwierzę zwane człowiekiem: dlaczego muszę umrzeć?, skąd przychodzimy?, jak dobrze żyć?, co to jest prawda? Odpowiedzi – moralne, religijne, polityczne, społeczne – są spójne w obrębie danej grupy ludzi, tworząc w ten sposób za każdym razem specyficzny – a więc relatywny – świat kulturowy. Świat kulturowy Chińczyków jest inny niż nasz. Ale ich religia i polityka tworzą spójną całość z ich moralnością czy estetyką. Każda kultura tworzy jakiś świat. Wszyscy ludzie należą do tego samego gatunku, ponieważ stawiają takie same pytania, i należą do różnych kultur, gdyż na te pytania udzielają różnych odpowiedzi.

Te odpowiedzi kulturowe musi się przekazywać, gdyż są one zgromadzonym skarbem, dzięki któremu żadne dziecko nie musi zaczynać historii od początku. Ponieważ jesteśmy istotami kulturowymi, ponieważ z tego tytułu od pierwszych ludzi – tak bliskich zwierzętom – różni nas gigantyczne dziedzictwo, można powiedzieć, że rodzimy się dwa razy.

Dziecko jest człowiekiem (istotą człekokształtną), kiedy opuszcza łono matki. Staje się istotą ludzką (istotą ucywilizowaną) dzięki przekazowi kulturowemu. Stać się istotą ludzką to wyrwać się z pierwotnego barbarzyństwa. Barbarzyńca to człowiek, który nie posługuje się językiem i jest tak prymitywny, że w starożytności uważano go za członka innego gatunku. Pierwszy przekaz to przekazywanie słów. Każdemu pokoleniu trzeba przekazać przeogromny kapitał świata kultury, jego słowa i znaki, historię, wiedzę i marzenia, jego organizację i rytuały. Jest to gigantyczna praca, praca syzyfowa, ponieważ za każdym razem trzeba zaczynać od nowa, a im więcej stuleci mamy za sobą, tym zadanie jest trudniejsze, tym bardziej złożone jest pojmowanie spraw. Tymczasem przekazywać trzeba wątpliwości wraz z wiarą, pytania wraz z namiętnościami. Albowiem przekazać nie znaczy przynieść gotową, zapakowaną paczkę, którą podaje się z ręki do ręki, jak piłkę w grze.

Dzieło przekazywania polega na wpisywaniu dzikiego stworzenia w świat – bez tego natychmiast musiałoby ono powrócić na drzewo.

Każde pokolenie musi kulturę ocenić i zweryfikować na nowo, uporządkować ją, usuwając przestarzałe przesady, musi z drzeniem przekazywać stare pytania, na które nikt nigdy nie potrafił znaleźć odpowiedzi, ofiarowując równocześnie odkryte właśnie skarby, najświeższe doświadczenia, nowe rozróżnienia, nie burząc przy tym całej budowli. Istnieją rodziny, w których ta tytaniczna praca prowadzona jest z taką pieczołowitością, tak cierpliwie i z tak niezwykłą uwagą, że wyrastają w nich wspaniali ludzie, tak doskonali, jakby polerowały ich stulecia. Przypomina mi się obraz przedstawiający małego Tocqueville'a pracującego pod okiem ojca. Z postaci chłopca emanuje bystrość, skromność, wyrozumiałość, które cechować miały później wielkiego pisarza. Dzieło przekazywania polega na wpisywaniu dzikiego stworzenia w świat – bez tego natychmiast musiałoby ono powrócić na drzewo.

Zachwyt żyjącym w stanie natury dzieckiem, jak pamiętamy, zaczyna się zasadniczo w XVIII wieku, kiedy wykrystalizował się mit *tabula rasa*. Według tego mitu, związanego z ideą nieokreślonej dekadencji, który przyczyni się do narodzin XX-wiecznych totalitaryzmów, człowiek jest bardziej ludzki w stanie niecywilizowanym – kultura bowiem szkodzi naturze i psuje ją. Chodzi więc o to, by przekazywać jak najmniej, pozwalając tym samym, by dziecko mogło rozwinąć w sobie utraconą dobroć naturalną. Po doświadczeniach ostatnich dwóch wieków wiemy dziś, że kultura nie przeciwstawia się naturze, lecz barbarzyństwu, a dziecko, któremu niczego się nie przekazuje, nie zostaje dobrym dzikusiem, lecz młodym barbarzyńcą. Nie istnieje zresztą coś takiego jak „dobry dzikus”.

Bezpośrednią przyczyną sytuacji, jaką dobrze znamy z niektórych naszych szkół, jest ciągle świetnie się mający mit *tabula rasa*. Dorośli w dzisiejszych czasach odczuwają lęk przed wychowywaniem. Boją się, mówiąc dosłownie, przekazywać kulturę, do której nie mają zaufania, bo uważają ją za niedoskonałą (jaką jest w rzeczywistości – jak wszelka rzecz pochodząca od człowieka). Własną historię postrzegają jako pasmo zbrodni, wiara wydaje im się zawsze wystawiona na pokusę fanatyzmu, wielkich pisarzy uważają za autorytarnych macho. I zrozpaczeni, że nie mogą zaproponować nic doskonałego, nie chcąc ograniczać wolności dziecka wpisywaniem go w świat z ko-



nieczności partykularny, zbyt leniwi, być może, by podjąć pracę wychowawczą krępującą ich własną wolność – rezygnują z przekazywania. Efektem tego są dzieci „pozbawione marki”, niemające punktów odniesienia, czasem zupełnie niezainteresowane życiem i błędzące z jednego miejsca w drugie, nie wiedząc, na co mają skierować swą uwagę, czasem dzieci-barbarzyńcy, niszczące swoje otoczenie i zniekształcające język, aby faktami potwierdzić tragizm egzystencji, na który dorośli nie mieli odwagi zaproponować jakiegś niedoskonałej odpowiedzi. Dorośli dają w ten sposób dowód swojego nihilizmu i przesytu cywilizacją – uczuć, które ukształtowały ich samych. Pozbawiając dzieci znaczeń, które uczyniłyby z nich istoty ucywilizowane, głoszą, że sami odrzucają człowieczeństwo godne tego miana.

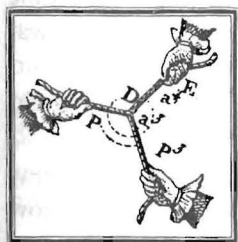
Chcę jeszcze powiedzieć o czymś, co wydaje mi się najbardziej istotne, kiedy zastanawiamy się, jak przekazywać. Wszyscy doświadczyliśmy trudności z przekazem, ponieważ nasze punkty odniesienia bezustannie ewoluują, a wolność dziecka wydaje nam się obecnie ważniejsza niż kiedykolwiek. Dlatego nie możemy przekazywać tak jak dawniej: argument z autorytetu nie ma już teraz sensu („masz tak robić, bo tak zawsze robił twój ojciec; masz tak myśleć, bo ja ci to mówię”). Tego, co my mówimy, oni już nie przyjmują. Pozostają nam tylko czyny. Kiedy prawdy są niepewne, kiedy otacza nas atmosfera nihilizmu, ci, którzy chcą przekazywać, mają już tylko jedno wyjście: muszą być świadkami tego, co przekazują. „Świadcami”, czyli „męczennikami” – ludźmi, którzy dają dowód swej wiary, a nie tylko ją głoszą. Ci, którzy chcą przekazywać, nie mogą więc tylko rozprawiać czy argumentować (choć to również jest konieczne): muszą tym żyć. Żyć możliwie jak najbardziej wiernie temu, w co wierzą, i być szczęśliwi, że tak żyją. Myślę, że tylko pod takim warunkiem możemy dzisiaj przekazywać. Tego, w co wierzymy, społeczeństwo nie uważa już niezmiennie za słuszne. Przeciwnie – wyśmiewa to i niszczy ironią. Inaczej mówiąc, nie ma już wielu instytucji, które podtrzymywałyby i przechowywały nasze przekonania (instytucje są strażnikami przekonań). To my sami jesteśmy więc ostatnim schronieniem dla naszej wiary. Dlatego nie wolno nam opierać się tylko na prawdach odziedziczonych. Musimy bezustannie pod-



dawać nasze przekonania weryfikacji i kwestionować ich zasadność. Musimy wypróbować je na sobie: na tym polega bycie świadkiem. Odślaniamy w ten sposób naszą kruchość (jesteśmy bowiem raczej samotni i pozbawieni punktów oparcia), zmusza nas to jednak do stania w prawdzie. Nasza epoka jest doskonałą szkołą dla rodziców.

Tłum. Dorota Zańko

CHANTAL DELSOL, profesor filozofii politycznej i dyrektor Ośrodka Studiów Europejskich na Uniwersytecie Marne-la-Vallée (Paryż). Po polsku ukazała się: *Zasada pomocniczości* (1995), *Esej o człowieku późnej nowoczesności* (2003).



Krystyna Slany

Modele życia rodzinnego

Pesymiści podkreślają, że radykalne przemiany wzorca małżeństwa i rodziny oraz dominacja modelu rodziny jednodzietnej prowadzą do katastrofy demograficznej społeczeństw i że w XXIV wieku na świecie będzie żyło około 200 mln ludzi, a więc tyle ile w okresie neolitu.

„Żyjemy w świecie niezwykłym, jedynym w swoim rodzaju w ludzkiej historii, w świecie, który nasi przodkowie ledwie mogliby sobie wyobrazić. Zachodzące obecnie przemiany zmieniły podstawowe aspekty ludzkiego istnienia – począwszy od spraw życia i śmierci, długości i faz indywidualnego biegu życia, aż do rodzajów pracy, jaką wykonujemy, naszego sposobu myślenia i odczuwania. (...) Tak więc formy rodzinne, które istniały i miały sens w 1800 czy 1900, a nawet w 1950 roku, mają słaby związek z naszym obecnym sposobem życia” (M. A. Mason, A. Skolnick, S. D. Sugarman, *All Families. New Policies for a New Century*, Oksford 1998).

Przeobrażenia w sferze małżeństwa i rodziny analizuje się – na gruncie socjologii – w paradygmacie zmiany społecznej i „przejścia demograficznego”¹. (Przyjęcie tych paradygmatów pozwala na uka-

¹ Zob. M. Okólski (red.), *Teoria przejścia demograficznego*, Warszawa 1990; R. Lesthaeghe, D. J. van de Kaa, *Twee Demografische Transitities*, [w:] R. Lesthaeghe, D. J. van de Kaa (eds.), *Bevolking – Groei en Krimp*, Deventer 1986.



zanie małżeństwa i rodziny w aspekcie dynamicznym i diachronicznym). Zmiany w modelu rodziny można najogólniej określić jako:

- przejście od modelu rodziny tradycyjnej (poprzez rodzinę nowoczesną) do modelu rodziny ponowoczesnej (albo: post-rodzinnej);
- przejście od modelu rodziny homogenicznej (poprzez rodzinę *quasi*-heterogeniczną) do modelu rodziny heterogenicznej (nazwanej tak ze względu na różnorodność jej form);
- przejście od modelu społeczeństw familiarnych (kolektywnych) do modelu społeczeństw indywidualistycznych.

Wyróżniając te modele, odnoszę analizę małżeństwa i rodziny do trzech faz rozwoju społeczeństw, określanych przez socjologów jako społeczeństwa tradycyjne, modernizacyjne i postmodernizacyjne.

1. Rodzina tradycyjna

W tradycyjnym, agrarnym typie społeczeństwa dominuje rodzina, którą – ze względu na jej jednorodność – określić można jako homogeniczną, tradycyjną i familiarną. W Europie Zachodniej taki typ rodziny wyraziście utrzymywał się do XIX wieku (w Polsce do lat 30. XX wieku). Przeważa tu zatem model rodziny wiejskiej, wielopokoleniowej, dużej. Ziemia stanowi podstawę jej utrzymania, co powoduje, że rodzina jest wspólnotą ekonomiczną i wspólnotą życia.

Funkcja ekonomiczno-produkcyjna rodziny to funkcja centralna,

Rodzina tradycyjna to instytucja trwała, sakralna, niemobilna przestrzennie i zawodowo, zwrócona raczej ku przeszłości, a nie ku przyszłości.

stanowiąca jej czynnik integracyjny (każda jednostka, włącznie z dziećmi, jest tutaj przydatna ekonomicznie). Rodzina tradycyjna wyznacza pozycję i status jednostki, określa jej drogę życia. Interes rodziny jest nadrzędny względem interesu i szczęścia jednostki. Rodzina tradycyjna ma charakter patriarchalny, z niską pozycją kobiety i dziecka, które – jak pokazują badania – jest traktowane instrumentalnie i pozbawione dzieciństwa.

Podsumowując: rodzina tradycyjna to instytucja trwała, sakralna, niemobilna przestrzennie i zawodowo, zwrócona raczej ku prze-



szłości, a nie ku przeszłości. Charakteryzuje ją również wysoki poziom analfabetyzmu.

Demografowie zwracają uwagę na tzw. tradycyjny wzór reprodukcji ludności, nazywany także „rozrzutnym”, ponieważ charakteryzuje się niezwykle wysokim poziomem rozrodczości i umieralności (w tym niemowląt i dzieci). Zachowania reprodukcyjne człowieka determinuje szeroko rozumiane środowisko naturalne. Wysoka fizjologicznie rozrodczość była odpowiedzią na masową umieralność, wywołaną epidemiami, głodem, wojnami i naturalnymi katastrofami. Przeciętna długość trwania życia w Europie w okresie średniowiecza wynosiła około 30 lat, a na początku XX wieku tylko ponad 50 lat². Kobiety zawierały pierwsze małżeństwo w wieku 18 lat, a w momencie urodzenia ostatniego dziecka miały ok. 40 lat. Odstęp czasu między datą zawarcia związku małżeńskiego i urodzenia ostatniego dziecka wynosił zatem 22 lata. Oznaczało to, że przez całe swoje prokreacyjne życie kobieta rodziła dzieci. Współczynnik dzietności (liczba urodzeń przez kobietę żywych dzieci) był bardzo wysoki i wynosił ponad 6.

Model rodziny tradycyjnej jest najbardziej utrwalony w świadomości społecznej, najbardziej „oswojony”, ponieważ trwał najdłużej, niemal od zarania dziejów aż po wiek XIX. Bardzo często wiele grup społecznych i instytucji odwołuje się do tego modelu, pomijając niejednokrotnie lub nie mając pełnej świadomości, jaki jest pełny „zestaw” jego cech i co one oznaczają.

2. Rodzina quasi-heterogeniczna

Zmiana modernizacyjna, rozpoczynająca się w Europie Zachodniej od połowy XVIII wieku, zapoczątkowuje radykalne przeobraże-

² W Polsce w połowie XIX wieku przeciętna długość życia wynosiła ok. 29 lat; w końcu XIX wieku: dla mężczyzn – 41,7 lat, a dla kobiet ok. 45 lat; w 1927 roku zaś – ok. 52 lata. Dramatyczne skutki społeczne, ekonomiczne i polityczne rozbiorów miały swoje reperkusje w II Rzeczypospolitej. Według danych spisu z 1921 roku Polska liczyła 27,2 mln ludności, przeważająca jej część mieszkała na wsi (75%), a 66% utrzymywało się z rolnictwa. Aż 33,1% ludności w wieku 10 lat i więcej stanowili analfabeci; najniższy ich odsetek (4,2%) występował w województwach zachodnich; na kresach wschodnich było aż 65% analfabetów. Polska to wtedy kraj niedorozwinięty gospodarczo, a wieś była przeludniona. Rodzina bardzo wysokie bezrobocie, generujące ogromną biedę i w rezultacie masowe wychodźstwo za chlebem. Bezrobociu i biedzie towarzyszył wysoki poziom zgonów niemowląt (150 na 1000 urodzeń żywych) i nielegalnych aborcji.

nia społeczne i stopniowo rozbija tradycyjny model rodziny. Wielkie procesy industrializacji i urbanizacji, zainaugurowane pierwszą rewolucją naukowo-techniczną, powadzą do wyłonienia się rodziny *quasi*-heterogenicznej, miejsko-przemysłowej. Jej specyfika determinowana jest nowym źródłem utrzymania, którym staje się praca w przemyśle – najpierw mężczyzn, a nieco później także kobiet. Kobiety, tradycyjnie przypisywane do ról matek, żon i gospodyń domowych, początkowo nie występują w rolach żywicielki rodziny czy uczestniczek życia publicznego – ani jako jednostki samorealizujące się. W początkowym okresie modernizacji kształtuje się więc system jedyne go żywiciela rodziny, którym jest mężczyzna. Pracę domową i rodzinną kobiety uważa się za mniej wartościową od pracy „na zewnątrz” jej męża.

Już wkrótce nierówności płci staną się coraz bardziej zauważalne, bowiem podniesie się poziom edukacji mas. Wraz z postępującą modernizacją kobiety na równi z mężczyznami będą współtworzyć budżet gospodarstwa domowego i wstępować do *orbis exterior*, dotąd zarezerwowanego dla mężczyzn. Rozpocznie się powolny proces demokratyzowania rodziny i walki z asymetrią społeczną płci. Należy podkreślić, iż praca zawodowa kobiet dla wielkich mas rodzin staje się konieczną i funkcjonalną strategią ich trwania, czasami nawet przetrwania. Ogromne przemieszczenia ze wsi do miast intensyfikują przemiany rodziny i kreują nowe – miejskie wzory życia rodzinnego. Miejsce pracy odrywa się od miejsca zamieszkania, więź międzypokoleniowa ulega osłabieniu. Obalony zostaje tradycyjny układ zależności, podziału pracy i podporządkowania. Rodzina – z wielopokoleniowej i dużej – przeistacza się w rodzinę małą, dwupokoleniową, określaną jako nuklearna. Proces ten, zapoczątkowany ponad 150 lat temu, coraz bardziej się intensyfikuje i staje się trwałym wzorem.

Zmiana modernizacyjna, przebiegająca na różnych płaszczyznach, rozbija homogeniczną rodzinę tradycyjną, która ewoluje w kierunku egalitarnego i partnerskiego wzorca i staje się nietrwała, laicka, mobilna przestrzennie i zawodowo, małodzietna, dwupokoleniowa, skierowana na przyszłość. Jej funkcje ulegają wyraźnemu ograniczeniu, związki aranżowane zostają zastąpione związ-



kami z wyboru, coraz mocniej podkreśla się rolę miłości i zażyłości. Coraz częściej socjologowie analizują dualny charakter rodziny, to znaczy z jednej strony pojmują ją jako instytucję realizującą ważne cele prokreacyjne i socjalizacyjne, z drugiej – jako grupę pierwotną, gdzie nacisk kładziony jest na więź, miłość, ekspresję uczuć i jakość wzajemnych relacji.

Pierwsze przejście demograficzne w tej fazie oznacza zastępowanie tradycyjnego sposobu odtwarzania ludności przez tzw. nowoczesny wzorzec reprodukcji. Następuje przemiana o charakterze jakościowym, przechodzenie od reprodukcji „rozrzutnej” do reprodukcji „oszczędnej”. Zmianie ulegają wzorce rozrodczości i umieralności, które – jak podkreśla Okólski, autor *Demografii* (Warszawa 2004) – są jednokierunkowe, ciągłe i nieodwracalne. Następuje uderzający spadek dzietności, racjonalizacja zachowań prokreacyjnych (między innymi powszechne stosowanie regulacji urodzeń), wydłużenie przeciętnej długości życia, gwałtowne starzenie się społeczeństw i wyrównanie proporcji między poszczególnymi generacjami. Takie zachowania demograficzne prowadzą do kształtowania się modelu ludności zastojowej, a w dalszej przyszłości – nawet regresywnego modelu ludności. W końcowej fazie pierwszego przejścia demograficznego (koniec lat 50. na zachodzie Europy) współczynnik dzietności wynosił ok. dwoje dzieci (wyższy poziom dzietności wywołałby nierównowagę pomiędzy środowiskiem a ludnością, mniejszy zaś – szybką depopulację). Postęp społeczny, generujący poprawę warunków w zakresie umieralności, spowodował wydłużenie życia ludzkiego do 70-80 lat³. Spadek umieralności (w tym niemowląt i dzieci) powoduje szybkie obniżenie się poziomu rozrodczości, który dostosowuje się do nowych uwarunkowań cywilizacyjnych i biologicznych.

³ Należy podkreślić, iż w fazie tej Polska, w porównaniu z krajami Europy Zachodniej, pozostaje krajem opóźnionym modernizacyjnie, co obrazują także parametry demograficzne, zwłaszcza te odnoszące się do długości życia i poziomu zgonów niemowląt; procesy industrializacji kraju przerwała wojna, a po jej zakończeniu budowa społeczeństwa przemysłowego zostaje niedokończona, gdyż od końca lat 60. rozpoczyna się kryzys socjalistycznej gospodarki.



3. Heterogeniczna rodzina ponowoczesna

Cezura lat sześćdziesiątych XX wieku otwiera nowy rozdział w historii małżeństwa i rodziny. Dokonujące się przemiany daleko odbiegają od tego, co jeszcze niedawno uznawano za rewolucje „na zewnątrz świata rodzinnego” i „w jego wnętrzu”. Nowy etap rozwoju społeczeństw ma zaledwie ok. 40 lat, a obserwowane, zintensyfikowane przemiany – wiążące się z kolejnymi ultratechnologicznymi i informacyjnymi rewolucjami, wiedzą i postępem, przeobrażeniami ekonomicznymi (przejście od społeczeństwa bazującego na pracy fizycznej do społeczeństwa wiedzy), społecznymi (m. in. nowe radykalne ruchy społeczne, przejście od kolektywizmu do indywidualizmu, osłabienie więzi i społecznego zaufania), kulturowymi (zmiany w dotychczasowych normach i wartościach, przemiany tożsamości człowieka, oddziaływanie fenomenu globalizacji kulturowej) – napierają z niewyobrażalną siłą na małżeństwo i rodzinę. W „młodym” stosunkowo typie społeczeństw pojawiają się takie formy życia rodzinnego i tak intensywne zmiany jakościowe (wcześniej występujące bardzo rzadko lub w ogóle nieznanne), że coraz częściej mówi się o swoistym fenomenie heterogenicznej rodziny ponowoczesnej.

Czasy ponowoczesne – jak trafnie zauważają Beck i Beck-Gernsheim⁴, odnosząc rozważania do eksponowanej płaszczyzny kulturowej – wymagają od wszystkich tego, czego w przeszłości oczeki-

**Rodzina nie rozpada się,
le przybiera nową formę:
wylaniają się zarysy
„post-rodzinnej rodziny”.**

wano od niewielu: prowadzenia niezależnego życia i manifestowania indywidualizmu. Historia społeczna małżeństwa i rodziny jest doskonałą egzemplifikacją utrwalania się tej nowej ideologii, która prowadzi między innymi do

uwidocznienia się występowania wielorakich form życia małżeńsko-rodzinnego. Ponowoczesność odkrywa, że można z powodzeniem żyć poza tradycyjnie określoną instytucją małżeństwa i rodziny. Zdziwiała różnorodność typów i form strukturalnych małżeństwa i rodzi-

⁴ Zob. U. Beck, E. Beck-Gernsheim, *Individualization. Institutionalized Individualism and Its Social and Political Consequences*, London 2002.



ny oraz dokonujące się przemiany jakościowe, mające swe odzwierciedlenie na płaszczyźnie socjologicznej, psychologicznej i demograficznej. Zdaniem socjologów o orientacji liberalnej, pojawienie się różnorodnych form życia małżeńsko-rodzinnego nie wskazuje na „koniec rodziny”, ale na nowy trend, idący w kierunku indywidualizmu, który odnosi się także do relacji pomiędzy członkami rodziny. W rezultacie tego procesu rodzina nie rozpada się, ale przybiera nową formę: wyłaniają się zarysy „post-rodziny” (Beck, Beck-Gernsheim), czy „post-małżeńskiego społeczeństwa” (por. J. Q. Wilson, *The Marriage Problem. How Our Culture Has Weakened Families*, New York 2002).

W ponowoczesnych społeczeństwach nie da się już pomijać grup nie pasujących do obrazu „normalnego społeczeństwa”: kobiet i mężczyzn nie wchodzących w związki małżeńskie, a żyjących samotnie lub w związkach kohabitacyjnych, bezdzietnych, samotnie wychowujących dzieci, żyjących w związkach homoseksualnych, czy związkach osób starszych, tzw. *renewed oldies*, którzy nie poświęcają się wnukom (jak nakazuje tradycja), ale poszukują satysfakcjonującego życia, samorealizacji w późniejszej fazie życia. Nie można nie zwracać uwagi na nasilanie się zjawiska urodzeń pozamałżeńskich, rozwodów czy na przykład powiększenia się bazy konfliktowej partnerów, które są pochodną coraz szerzej uświadamianej – zwłaszcza przez kobiety – nierówności płci. Tak więc, według Becków, w społeczeństwie następuje nowa konstrukcja normalności, która niekoniecznie wiąże się z legalizacją, przywiązaniem, trwałością itd. (Termin „rodzina tradycyjna”, kiedyś jednoznacznie odnoszący się do rodziny funkcjonującej w społeczeństwie rolniczym, w wielu publikacjach stosowany jest do fazy rozwoju małżeństwa i rodziny w społeczeństwie przemysłowym).

Zadziwia różnorodność typów i form strukturalnych małżeństwa i rodziny. Wiele z nich ma charakter alternatywny wobec podstawowej formy rodziny, którą jest formalne, monogamiczne małżeństwo pary heteroseksualnej. Zawarcie takiego małżeństwa prowadzi do powstania rodziny nuklearnej, uznanej dziś za najkorzystniejszą dla człowieka. W związku z nasileniem się zjawiska rozpadu rodziny, głównie przez rozwód, tworzą się małżeń-



stwa powtórne – ich efektem jest powstawanie rodzin zrekonstruowanych. Szczególnie często występuje taka forma życia rodzinnego jak monoparentalność (rodziny samotnych matek/ojców), wywołana różnymi czynnikami. Uwagę zwraca podkreślana w wielu pracach moda na bezdzietność par heteroseksualnych (ideologia DINK'S – *Double Income No Kids*). Związki kohabitacyjne to nowa forma, która – jak podkreśla wielu autorów – staje się konkurencyjna wobec małżeństwa formalnego. Pojawia się w różnych fazach cyklu życia, dotyczy ludzi młodych, w średnim wieku i starszych, różnego stanu cywilnego: wolnych, rozwiedzionych, żyjących w separacji, owdowiałych, a nawet znajdujących się już w związku formalnym. Upowszechnia się ponadto szczególny typ związku kohabitacyjnego: *Living Apart Together* (LAT – razem, ale oddzielnie) lub *Live in Lover* (LiL – życie z ukochanym), który nie wymaga stałego wspólnego zamieszkiwania. W związku z rewolucją seksualną lat 60. we wszystkich typach społeczeństw pojawiły się jawnie i często legalnie związki homoseksualne. Kolejną alternatywną formą jest życie w samotności (tzw. *single life*) – często z wyboru, które wzbudza z jednej strony podziw i zainteresowanie, a z drugiej strony niepokój o przebieg i ład życia społecznego, opierającego się na rodzinie. „Solos” – to określenie nowego „pokolenia S” (lub *quirkyalone* – „odlotowych singli”), znamiennego dla naszych czasów, tj. dobrze wykształconego, mobilnego, zwracającego uwagę bardziej na relacje przelotne i instrumentalne niż trwałe i czyste. Pokolenie to przypomina żeglarzy mających w wielu portach licznych przyjaciół; ich sposób życia nie sprzyja formowaniu tradycyjnie rozumianego małżeństwa i rodziny. Przyglądamy się z uwagą takiemu fenomenowi jak małżeństwa-seriale, określane też poligamią sukcesywną. Określenie to odnosi się do osób wielokrotnie wchodzących w formalne związki lub zmieniających partnerów w trakcie trwania związku formalnego. Powraca również – w nowoczesnej wersji – małżeństwo kontraktowe (jego trwanie i rozpad określone są zazwyczaj formalną umową; zawarty kontrakt może chronić ten związek przed rozpadem). Formę daleko odchodzącą od klasycznie rozumianej wspólnoty małżeńskiej stanowi tzw. małżeństwo diasporowe (potocznie zwane małżeństwem weekendowym). Jego znamiennej cechą jest dystans fizyczny dzielący małżon-



ków (wynikający na przykład z podejmowania pracy w odległym mieście, wyjazdu za granicę itp.), wpływający zasadniczo na funkcjonowanie rodziny w jej wymiarze instytucjonalnym (realizacja funkcji) i emocjonalnym.

W obliczu wielości form proponuje się przyjęcie wielu możliwości definiowania rodziny. Dlatego właśnie pojawiają się nowe, tzw. inkluzywne (otwarte) definicje, podkreślające znaczenie relacji pomiędzy członkami grupy rodzinnej. Odchodzi się tam od postrzegania rodziny w kategoriach instytucjonalnych i opisuje się ją jako prywatną, dobrowolną grupę społeczną, którą charakteryzują szczególne związki.

Dokonujące się w tej sferze przemiany socjologiczne i demograficzne wyjaśnia teoria drugiego przejścia demograficznego. Wskazując na demograficzne przesłanki zmian, należy podkreślić wyraźne zmiany wzorca małżeńskiego i rozrodczego. Wyraża się to w:

1. spadku liczby urodzeń i współczynnika urodzeń;
2. obniżaniu się płodności wynikającemu z radykalnych i głębokich zmian wzorca płodności przejawiających się między innymi:
 - a) spadkiem natężenia urodzeń przez kobiety we wszystkich grupach wieku rozrodczego,
 - b) wzroście udziału grup wiekowych 25-29 lat i 30-34 lata w wartości współczynnika dzietności ogólnej;
3. opóźnieniu zawierania małżeństwa przez młodych ludzi (średni wiek dla Europy zachodniej to ok. 30 lat), co wymuszają z kolei wymogi związane z systemem kształcenia (zdobywanie najwyższego poziomu wykształcenia) i nowoczesnymi wymogami rynku pracy.

Młodzi dorośli, zamiast usamodzielniać się i opuszczać rodzinę pochodzenia, zamieszkują nadal ze swoimi rodzicami. Pojawia się nowy fenomen określany jako *crowded nest* – przepełnione gniazdo rodzinne. Demografowie piszą więc o kryzysie małżeństw; wskaźniki zawieranych małżeństw obniżyły się do niewiarygodnie niskiego poziomu (poniżej lub ok. 5 małżeństw na 1000 mieszkańców). Opóźnianie zawierania małżeństw prowadzi do odkładania na dalszą przyszłość realizacji zadań prokreacyjnych, co w rezultacie prowadzi do dramatycznego ograniczenia liczby dzieci w rodzinie (jedno) lub wyboru bezdzietności. Współczynnik dzietności w większości kra-



jów zachodnich znajduje się na poziomie bardzo niskim (ok. 1,5⁵), co nie gwarantuje nawet prostej zastępowalności pokoleń. W całym regionie Europy środkowowschodniej od lat 90. trendy demograficzne upodabniają się do tych obserwowanych w krajach zachodnich i wskazują na ogromną depresję populacyjną. Wartości współczynników dzietności pozostają tu najniższe w świecie: ok. 1,1 (Polska: 1,3; miasto: 1,2; wieś: 1,4). Tylko kraje skandynawskie i Francja posiadają wyróżniający się poziom dzietności: ok. 1,9. W krajach tych prowadzi się taką politykę rodzinną, która ułatwia kobiecie i mężczyźnie godzenie pracy z wychowaniem dzieci.

Badacze podkreślają, że niekorzystna zmiana demograficznego wzorca rodziny jest najbardziej widoczna w krajach, które nie orientują się – jak to się fachowo określa – na *gender system*. Płodność kobiet obniża się zatem szczególnie w tych krajach, gdzie publiczny system kształtowania egalitarnych i symetrycznych relacji płci demokratyzuje się, natomiast prywatny system rodziny pozostaje niezmieniony i jest nakierowany na tradycyjne zadania kobiet, pomimo dywersyfikacji ich ról społecznych. Egzemplifikacją krajów o niesprzyjającym *private gender system*, w których jednocześnie płodność kobiet najbardziej się obniża, są: Włochy, Japonia, Grecja, Hiszpania, Portugalia i Polska. Przyspieszenie zmian instytucjonalnych i edukacyjnych, obejmujących przede wszystkim „świat wewnętrzny rodziny”, na rzecz „symetrii genderowej” to sposób na podniesienie poziomu dzietności kobiet (*vide* przykład Skandynawii i Francji).

Kluczowe dla ponowoczesności jest pytanie: dlaczego rodzi się tak mało dzieci? Szukanie przyczyn tego zjawiska w czynnikach *stricte* ekonomicznych nie wydaje się zasadne. Czynniki ekonomiczne istotnie oddziaływały na liczbę dzieci w rodzinie, ale w okresie bogacenia się społeczeństw. Lesthaeghe i van de Kaa, twórcy teorii drugiego przejścia demograficznego, wskazują, że w krajach bogatych pod koniec XX wieku nastąpiła zmiana wartości. Społeczeństwo prze-

⁵ Najniższy jest dla Włoch – 1,1. Włoscy socjologowie i demografowie apelują: jeśli chcemy mieć więcej dzieci w społeczeństwie, wypchnijmy dorosłe dzieci z domów, nie przetrzymujmy ich przy sobie. Występuje wyraźna korelacja między niską dzietnością a kohabitacją i zamieszkiwaniem w domu rodziców (zob.: S. Salvini, *Low Italian Fertility: the Bonaccia of the Antilles?* oraz Z. G. Dalla, *Few Children in Strong Families. Values and Low Fertility in Italy*. Oba teksty można znaleźć w: „Genus”, 2004, vol. LX, nr 1).



orientowało się z wartości materialnych na wartości postmaterialistyczne i ponowoczesne – dotyczy to zwłaszcza młodszych generacji. Wśród tych „post-ludzi” upowszechniają się takie związki i zachowania demograficzne, które kilkadziesiąt lat temu były niezwykle rzadkie. Preferowana przez nich liczba dzieci – dwoje – nie jest osiągnięta w związku z istnieniem konkurencyjnych wobec dziecka wartości oraz przystępowaniem do realizacji zadań prokreacyjnych w starszych reprodukcyjnie grupach wieku. Pogodzenie osiągnięcia wartości postmaterialistycznych i posiadania dzieci nie jest łatwe⁶, chociaż na przykładzie krajów skandynawskich i Francji widać, że jest ono możliwe. Dostępny dzisiaj dla kobiet kapitał społeczny (wykształcenie, praca, zdrowie, wypoczynek) jest po raz pierwszy w dziejach ludzkości niewyobrażalnie ogromny, nieporównywalnie większy od tego, który posiadały ich matki. Podkreśla się przy tym, że utrudnianie kobietom dostępu do osiągnięcia wartości powszechnie cenionych byłoby pogwałceniem praw jednostki.

W wyjaśnianiu niskiej dzietności badacze zwracają się również w stronę czynników biologicznych (pomijając rosnącą bezpłodność). Badania wskazują, iż na chęć posiadania dzieci ma wpływ poziom hormonów w pierwszych miesiącach życia płodowego. Murphy⁷ pokazał, iż bardziej płodni rodzice posiadają również bardziej płodne dzieci i że taka zależność jest silniejsza niż oddziaływanie na płodność zmiennych o charakterze społeczno-ekonomicznym. Inni badacze podkreślają, że ważne jest nie tylko „genetyczne dziedzictwo”, ale także wzory wychowania dzieci. Poziom płodności kobiet determinowany jest zatem oddziaływaniem czynników biologicznych i socjologicznych.

* * *

Pesymiści podkreślają, że tak radykalne przemiany wzorca małżeństwa i rodziny oraz dominacja modelu rodziny jednodzietnej (we-

⁶ W radykalnych ponowoczesnych ideologiach pojawia się na przykład hasło: niekoniecznie trzeba mieć dzieci, lepszym zabezpieczeniem na starość jest bardzo dobre ubezpieczenie społeczne niż czekanie na pomoc dzieci i bycie od nich uzależnionym.

⁷ M. Murphy, *Is the Relationship Between Fertility of Parents and Children Really Weak?*, „Social Biology”, 1999, nr 46(1-2).



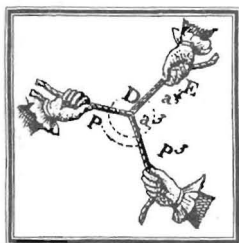
dług prognoz zdominuje on cały świat w latach 2050-2085) prowadzą do katastrofy demograficznej społeczeństw i że w XXIV wieku na świecie będzie żyło ok. 200 mln ludzi, a więc tyle ile w okresie neolitu. Andrzej Jagielski pisze na przykład:

Korzenie populacji ludzkiej – ludności naszej planety – tkwią w początkach życia organicznego, a jej dzieje i dalsze losy są kształtowane przez rządzące nim prawa ewolucji i kosmiczne prawo wszechrzeczy: narodzin, rozwoju i końca. Ale właśnie dalszy rozwój i jego zakończenie wzbudza obawy, które wszakże nie wynikają z praw rozwoju wszechświata. Lecz z kierunku i tempa rozwoju współczesnej cywilizacji i coraz bardziej gmatwających się stosunków między-ludzkich⁸.

Optymiści wskazują natomiast, że „rodzina ma się dobrze”, różne alternatywne formy życia rodzinnego nie są niczym nowym, a niski poziom dzietności jest historycznym wypadkiem i *quantum* płodności w długiej perspektywie czasowej powróci do poziomu gwarantującego prostą zastępowalność pokoleń. Zmienne oddziałujące na tempo tej zmiany wpłyną zaś na przejściowe przemiany całkowitego poziomu dzietności. Po różnych wstrząsach wywołanych szybkimi zmianami cywilizacyjnymi rodzina zawsze powraca do równowagi.

KRYSTYNA SLANY, prof. dr hab., wicedyrektor Instytutu Socjologii UJ. Specjalizuje się w demografii społecznej, socjologii migracji oraz socjologii rodziny i płci. Wydała m.in.: *Elementy demografii* (1989; wspólnie z K. Kluz i W. Czarkowską); *Malżeństwa powtórne w Polsce* (wspólnie z K. Kluz, F. Kusz); *Orientacje emigracyjne Polaków* (1997); *Alternatywne formy życia małżeńsko-rodzinnego w ponowoczesnym świecie* (2002).

⁸ A. Jagielski, *Refleksje na temat zadań badawczych współczesnej demografii*, w: J. T. Kowalewski i inni (red.), *Wybrane problemy współczesnej demografii*, Łódź 2004, s. 23.



Józef Augustyn SJ

Jeżeli chrześcijaństwo nie chce się samo zabić

Nadawanie mocy prawnej związkom homoseksualnym i równanie ich z rzeczywistymi małżeństwami jest uznane za niemoralne i szkodliwe społecznie, gdyż poważnie zagraża wspólnemu dobru.

„Pary homoseksualne coraz częściej pragną mieć dziecko i wstępować w związki małżeńskie. obrońcy tradycyjnych małżeństw zapowiadają, że nigdy się na to nie zgodzą. Obie strony powołują się na najwyższe wartości. Czy grozi nam wojna o nowy kształt rodziny?”¹. Taki podtytuł daje „Die Zeit” artykułowi *Nieświęte rodziny* poświęconemu problemowi tak zwanych małżeństw homoseksualnych. Autorzy chcą pokazać sprzeczności, jakie dają o sobie znać we współczesnym świecie: „Podczas gdy tradycyjne małżeństwa coraz częściej decydują się na bezdzietność, rośnie liczba gejów i lesbijek pragnących mieć dzieci”². Henri Joyeux, francuski lekarz zajmujący się problematyką wychowania do życia w rodzinie, mówi z kolei, że pary heteroseksualne rezygnują z pojęcia małżeństwa jako zbyt tra-

¹ Zob. „Forum”, 16/2004, s. 26.

² Tamże, s. 27.



dycyjnego na rzecz dziwacznych neologizmów, np. koabitacja, podczas gdy „zużyty” tradycyjnym pojęciem chętnie posługują się homoseksualiści.

Czy grozi nam wojna o rodzinę?

Wojna o nowy kształt rodziny w sensie rozumianym przez autorów artykułu z „Die Zeit” z pewnością nam nie grozi, przynajmniej w Polsce. Grozi nam jednak coraz większe rozmywanie pojęć w świadomości społecznej (szczególnie w umysłach ludzi młodych), nowe ustawodawstwo zrównujące prawa małżeństw ze związkami homoseksualnymi i – w dalszej perspektywie – także prawo dopuszczające adopcję dzieci przez homoseksualne pary. Prawo państwowe krajów zachodnich staje dzisiaj wyraźnie po stronie homoseksualistów, nie licząc się z konsekwencjami moralnymi.

Nastawienie społeczne do homoseksualizmu oraz postawy polityków w tej materii zmieniają się gwałtownie. Dotyczy to zwłaszcza zachodniej Europy. (Jak pokazały ostatnie wybory prezydenckie w USA, za oceanem kształtuje się nieco inny klimat społeczny wokół homoseksualizmu). Polska, stając się członkiem Unii Europejskiej, podlega wszystkim naciskom politycznym, społecznym, kulturalnym, jakie ona stwarza. Jak skuteczny bywa to nacisk, pokazał kazuś Rocco Buttiglione. Z powodu bezkompromisowej oceny moralnej homoseksualizmu nie tylko zatrzymano jego karierę w strukturach Unii, ale uznano go za katolickiego integralistę, a tu i ówdzie nazywano fundamentalistą i „katolickim talibem”³.

Co prawda wielu katolików uczestniczy w życiu politycznym w strukturach państwowych i międzynarodowych, jednak niewielu z nich jest gotowych zapłacić taką cenę za wierność swoim przekonaniom religijnym i moralnym. Politycy chadeccy, którzy dalecy są od sprzyjania homoseksualizmowi, zachowują się jednak na ogół konformistycznie, by nie narazić się na epitety, jakimi obrzucono włoskiego polityka. Aleksander Solżenicyn w swojej prorockiej mo-

³ Serwis KAI z 13 X 2004.



wie do studentów na Uniwersytecie Harvarda w 1978 roku powiedział o politykach Zachodu: „Wszyscy wasi znani mężowie stanu twierdzą: skoro raz weszliśmy na teren wielkiej polityki, nie możemy brać pod uwagę czynników moralnych. Takie właśnie pomieszanie dobra ze złem, słusznego prawa z niesłusznym znakomicie przygotowuje teren pod absolutny tryumf absolutnego zła na świecie”⁴.

Wobec coraz większej relatywizacji wartości moralnych oraz jej wpływu na postawy polityków uchwalenie w Polsce prawodawstwa na rzecz homoseksualistów wydaje się tylko kwestią czasu. Obym był złym prorokiem. Jeżeli nie dojdzie do tego w najbliższych kilku latach prawicowych rządów, to może dojść do tego podczas kolejnych kadencji. Przez kilka lat możemy, co prawda, opierać się naciskom i pozostawać europejską wysepką, ale – jak pokazuje życie – w polityce w końcu zwycięża pragmatyzm. Mocne oparcie w tradycyjnym katolicyzmie okazuje się dzisiaj dość zwodnicze. W katolickich krajach, takich jak: Irlandia, Hiszpania, Słowacja, Kanada (Quebec), o analogicznej do naszej religijności i historii, powstają mocne atyklerykalne i antykościelne trendy, które sprawiają, że nawoływanie hierarchii do protestu wiernych w takiej czy innej sprawie trafia w próżnię. Uchwalanie ustaw sprzecznych z moralnością katolicką postrzegane bywa jako problem papieża i biskupów.

Cywilizacyjne korzenie homoseksualnego ruchu

Jakie są te najwyższe wartości, o których pisze „Die Zeit”, a na które powołuje się homoseksualizm? Odpowiedź na to pytanie jest kluczem do rozumienia istoty konfliktu. I choć swój wielki pochód cywilizacyjny homoseksualizm rozpoczął zaledwie ponad trzydzieści lat temu⁵, to jednak grunt był przygotowywany już od czasów

⁴ A. Solżenicyn, *Zmierzch odwagi*, Biblioteka Literacka 1980, s. 11.

⁵ Za przelomową datę dla ruchu homoseksualnego uważa się 27 czerwca 1969 roku, kiedy klienci baru dla homoseksualistów Stonewall w Nowym Jorku stawili czoło szykującej ich policji. Dwadzieścia trzy lata później WHO (1993) wydała oświadczenie, że ani heteroseksualna, ani homoseksualna orientacja nie może być rozpatrywana jako zaburzenie. W ten sposób dokonano korekty freudowskiego widzenia homoseksualizmu, który postrzegal je jako zaburzenie w rozwoju.



Oświecenia. Aleksander Sołżenicyn mówił amerykańskim studentom: „We wszystkich krajach zachodnich wolność uległa erozji, ludzie definitywnie wyzwolili się z chrześcijańskiego dziedzictwa poprzednich wieków, z jego ogromnymi zasobami litości i poświęcenia, a systemy państwowe bezustannie nabierały cech coraz doskonalszego zmaterializowania. W rezultacie Zachód bronił (...) aż nadto gorliwie praw człowieka, podczas gdy całkowicie zatracił poczucie odpowiedzialności wobec Boga i społeczeństwa”⁶. Sołżenicyn podkreśla następnie, że „droga, jaką przebyliśmy od czasów Renesansu, wzbogaciła, co prawda, nasze doświadczenia, ale straciliśmy Całość, to, co Najważniejsze, to, co ongiś stawiało granice naszym namiętnościom i naszej nieodpowiedzialności. Zbyt wiele nadziei pokładaliśmy w przemianach polityczno-społecznych, a okazuje się, że odebrano nam to, co mamy najcenniejszego: nasze życie wewnętrzne. Na Wschodzie depcze je jarmark Partii, na Zachodzie jarmark Handlu”⁷. Po upadku komunizmu na Wchodzie, jak i na Zachodzie króluje niepodzielnie już tylko jarmark Handlu.

To odżegnanie się od świata wartości chrześcijańskich, utrata całościowego spojrzenia na ludzkie życie oraz brak jakiegokolwiek odpowiedzialności przed Bogiem i społeczeństwem – jak określa to Sołżenicyn – leżą u źródeł relatywizmu moralnego

i wynikającego z niego krańcowego subiektywizmu, który głosi, że przyjemność staje się jedyną i najwyższą wartością. Leszek Kołakowski mówi wprost, że cywilizacja nasza oparta jest na „niewypowiedzianym, ale przyjętym założeniu, że

największym czy też jedynym dobrem jest przyjemność”⁸.

I o tej „wartości” świata homoseksualnego mówi „Die Zeit”. Współczesny homoseksualizm jest jednym z najbardziej wyrazistych przejawów niewypowiedzianego założenia, że jedynym i najwyższym dobrem jest przyjemność. Bardziej intelektualnie nastawione środowiska homoseksualne pragną być zwiastunami „nowej cywilizacji”

⁶ A. Sołżenicyn, dz. cyt., s. 13.

⁷ Tamże, s. 14.

⁸ L. Kołakowski, *Amatorskie kazanie o wartościach chrześcijańskich*, „Gazeta Wyborcza”, 20-21 I 1996, s. 10.



i nowej kultury: kultury przyjemności⁹. Mówi się wręcz o tworzeniu kultury homoseksualnej, która byłaby alternatywą dla kultury heteroseksualnej. Jeden z jej zwolenników, Maciej Broński, pisze, iż „budzenie i rozwijanie wrażliwości homoseksualnej prowadzi do nowego kształtu kultury, a mianowicie kultury przyjemności! Miłość homoseksualna nie da się bowiem podporządkować, tak jak miłość heteroseksualna regułom patriarchalnej (re)produktywności i subordynacji, stwarza ona nowe pole podporządkowania wszelkich organizacji stosunków międzyludzkich (także o charakterze ekonomicznym) regule zwiększania przyjemności”¹⁰. Podobną filozofię – choć nie odnoszącą się do homoseksualnej orientacji – wyznaje wielu polityków, psychologów, wydawców, producentów, stąd tak duże zrozumienie dla racji przedstawianych przez środowiska homoseksualne.

Ale takiej wizji świata „chrześcijaństwo nie może uznać – mówi Kołakowski – jeśli nie chce się samo zabić. Będzie zatem, jak już się zdarzało, »przeciwko światu« i ostanie się tylko pod tym warunkiem”¹¹. I właśnie dlatego Kościół był i będzie przeciwko homoseksualnemu stylowi życia i promowaniu go tak w świecie polityki, kultury, jak i w codziennym życiu społecznym. W 1994 roku, po przyjęciu przez Parlament Europejski rezolucji wzywającej kraje członkowskie do uchwalania prawodawstwa na rzecz homoseksualistów, Jan Paweł II powiedział: „Mówię to ze smutkiem. (...) Parlament w sposób nieuprawniony nadał walor prawny zachowaniom dewiacyjnym, niezgodnym z zamysłem Bożym. (...) Nie wolno fałszować norm moralnych”¹².

Obraz homoseksualizmu w mediach

Media to główne narzędzie promocji homoseksualizmu w zachodniej cywilizacji. To właśnie dzięki nim mniejszość homoseksualna,

⁹ Por. K. Pospiszył, *Narcyzm*, WSiP, Warszawa 1995, s. 151.

¹⁰ M. Broński, cyt. za: K. Pospiszył, dz. cyt., 146.

¹¹ L. Kołakowski, dz. cyt., s. 10.

¹² „L'Osservatore Romano”, wydanie polskie, 4/1994, s. 39.



która do niedawna była podziemnym gettem ściganym przez prawo i prześladowanym przez policję, w ciągu zaledwie kilkunastu lat stała się znaczącą siłą polityczną i społeczną. Media gonią za sensacją i żyją z niej; interesuje je nie tyle „ciężka dola” homoseksualistów czy też zjawisko jako takie, ile raczej konflikt środowiska homoseksualnego z Kościołem katolickim. Już w mniejszym stopniu interesują się spolegliwością Kościołów reformowanych wobec żądań homoseksualnych wiernych. Stąd też każdy watykański dokument na temat homoseksualizmu staje się ważnym wydarzeniem medialnym tylko z tego względu, że bywa mocno oprotestowany przez środowiska homoseksualne.

Media są też dla większości ludzi głównym źródłem wiedzy o homoseksualizmie. I choć często nie popierają one wprost żądań homoseksualistów, to jednak wobec agresywnych reakcji działaczy i środowisk homoseksualnych, usiłują zachować pozory bezstronności. Raczej rzadko można spotkać rzeczowe artykuły w prasie niekonfesyjnej, polemizujące otwarcie i poważnie z argumentami wysuwanymi przez zwolenników homoseksualistów i oddające rzeczywisty obraz społecznego myślenia o homoseksualizmie. Na uznanie zasługują w tym kontekście publikacje dziennika „Rzeczpospolita”¹³.

Programy i artykuły mediów katolickich, poza tym, że mają bardzo ograniczony zasięg, posługują się nieraz argumentami i językiem „kościelnym”, który przemawia do bardzo zawężonego grona wiernych. Czasami widoczny jest też brak przygotowania merytorycznego do rzeczowego dialogu z argumentami homoseksualistów. Aby polemizować z argumentami homoseksualistów o mocnym zabarwieniu subiektywnym, trzeba wykazać się nie tylko znajomością problemu, ale także sztuką rozmawiania. Gwałtowne zaś ataki pewnych środowisk czy mediów katolickich na osoby czy środowiska homoseksualne nie tylko nie zmieniają nastrojów społecznych, ale raczej przysparzają zwolenników stronie homoseksualnej.

Niestety media, w tym nieraz i katolickie, upraszczając problem, sprowadzają go do konfliktu środowisk homoseksualnych z hierarchią kościelną. Do takiego właśnie postrzegania problemu przyczyniają się nadgorliwi duszpasterze i dziennikarze, którzy w swoich wypo-

¹³ „Rzeczpospolita”, 23 II 2004, s. A10; 23 IV 2004, s. A8; 16 V 2004, s. A9.



wiedziach nie ukrywają niechęci czy wrogości wobec środowiska homoseksualnego. I choć takie zachowania bywają może i usprawiedliwione w kontekście jawnie prowokacyjnych zachowań tego ostatniego (np. planowany w zeszłym roku w Krakowie marsz homoseksualistów tuż po procesji ku czci św. Stanisława), nie jest to żaden argument rzeczowy. Demonstrowanie nieuporządkowanych emocji zawsze źle służy sprawie, choćby była ona najlepsza. Potwierdzają to doświadczenia wielu mało opanowanych emocjonalnie polityków.

Niemożliwość dialogu

Trudno mówić dzisiaj o dialogu Kościoła ze środowiskami homoseksualnymi. Tak naprawdę żadna ze stron nie deklaruje otwarcie chęci takiego dialogu. Jeżeli nawet niektóre środowiska homoseksualne od czasu do czasu głośno domagają się zainteresowania ze strony Kościoła i szczególnej opieki duszpasterskiej, to jednak najczęściej okazuje się to okazją do medialnej autoprezentacji.

Przedstawiciele Kościoła wychodzą z założenia, że nie można uprawiać poważnej duszpasterskiej posługi wobec osób, które w sposób jednoznaczny i wyraźny negują fundamentalne nauczanie moralne Kościoła. Ich zachowania nie wynikają ze słabości i zagubienia, jak dzieje się to w przypadku innych grup społecznych otoczonych szczególną opieką, ale ze świadomego i deklarowanego publicznie wyboru moralnego. Domaganie się dialogu przez zdeklarowanych homoseksualistów można porównać do propozycji ekumenizmu wysuwanej w okresie komunizmu przez księży narodowców, którzy najpierw zbuntowali się przeciwko Kościołowi, a po formalnym odłączeniu się od niego proponowali mu ekumeniczny dialog.

Domaganie się przez środowiska homoseksualne zmiany zasad moralnych w odniesieniu do zachowań homoseksualnych jest wyrazem nieznamości rudymentów katolickiej teologii moralnej. Sukces polityczny i cywilizacyjny środowisk homoseksualnych każe im – wbrew wszelkim rozumowym racjom – naciskać na ostatni niezdo-
 byty bastion, jakim jest Kościół. Środowiska sprzyjające politycznie homoseksualizmowi lub też sami homoseksualiści myślą nieraz ofi-



cialne nauczanie Stolicy Apostolskiej z personalnymi problemami kilku księży.

Ważny dokument

Ponieważ kolejne rządy krajów zachodnich rozpatrują sprawę legalizacji związków homoseksualnych oraz adopcji dzieci przez pary homoseksualne, stąd też Kongregacja Nauki Wiary ogłosiła *Uwagi dotyczące projektów legalizacji prawnej związków między osobami homoseksualnymi*¹⁴. I choć dokument ten nie zawierał żadnych nowych stwierdzeń doktrynalnych, to jednak odbił się szerokim echem w mediach. Precyzuje on i porządkuje „argumenty o charakterze racjonalnym z uwzględnieniem sytuacji istniejącej w różnych regionach świata”. Podpisany pod tym dokumentem kard. Ratzinger, choć odwołuje się do Biblii i Tradycji, posługuje się przede wszystkim argumentacją opartą na przesłankach racjonalnych, przyjętych „przez wszystkie wielkie kultury świata”: biologicznych, antropologicznych, społecznych i prawnych.

Analiza argumentów zmierza do jednoznacznego stwierdzenia, że nie ma żadnych analogii, nawet bardzo dalekich, pomiędzy związkami homoseksualnymi a małżeństwem w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Ustawodawstwa dopuszczające zawieranie związków homoseksualnych są wyraźnym nadużyciem i pozostają w sprzeczności z *recta ratio* – prawym rozumem. „Żadna ideologia bowiem – pisze Ratzinger – nie może pozbawić ludzkiego ducha pewności, że małżeństwo istnieje tylko między dwiema osobami różnej płci, które przez wzajemne osobowe oddanie, im właściwe i wyłączne, dążą do jedności ich osób. W ten sposób udoskonalają się wzajemnie, by współpracować z Bogiem w przekazywaniu i wychowaniu nowego życia ludzkiego”¹⁵.

Nadawanie mocy prawnej związkom homoseksualnym i równanie ich z rzeczywistymi małżeństwami jest uznane za niemoralne i szko-

¹⁴ Kongregacja Nauki Wiary, *Uwagi dotyczące projektów legalizacji prawnej związków między osobami homoseksualnymi*, Rzym 2003.

¹⁵ Tamże, 2.



dliwe społecznie, gdyż poważnie zagraża wspólnemu dobru. Nie można bowiem mówić o jakiegokolwiek równości praw par homoseksualnych i małżeństw, jeżeli nie może istnieć jakakolwiek równość w ponoszeniu obowiązków społecznych. Kościół nie widzi żadnej racji, dla której działania homoseksualne nie wnoszące pozytywnego wkładu „w rozwój osoby i społeczności, miałyby otrzymać od państwa specyficzne i określone uznanie prawne”¹⁶. Mocno brzmią słowa dokumentu: „Małżeństwo jest święte, natomiast związki homoseksualne pozostają w sprzeczności w naturalnym prawem moralnym”¹⁷.

Przewodniczący Kongregacji Nauki Wiary zachęca polityków akceptujących rozwiązanie moralne Kościoła katolickiego do podjęcia stanowczych i odważnych kroków, które uniemożliwiłyby nadawanie mocy prawnej związkom par homoseksualnych, a w krajach, gdzie takie prawo zostało już przyjęte, do wszczęcia działań, które ograniczyłyby szkodliwość ustaw. Nie wystarczy jedynie wstrzymywanie się od formalnej współpracy przy uchwalaniu i wprowadzaniu w życie prawa dopuszczającego zawieranie związków homoseksualnych, ale także – w razie potrzeby – konieczna jest odmowa posłuszeństwa z pobudek sumienia. Podobnie jak w wielu wcześniejszych dokumentach, tak i tu podkreśla się potrzebę odnoszenia się z szacunkiem, współczuciem i delikatnością do osób o orientacji homoseksualnej. Jasne wypowiedzianie się Kościoła w sprawie związków homoseksualnych – stwierdza Ratzinger – nie jest wymierzone przeciwko nikomu, ale broni jedynie naturalnego porządku

Wyzwania

Niewątpliwie problem homoseksualny będzie jednym z trudniejszych dla chrześcijan. Już dzisiaj widać, że ocena moralna działań homoseksualnych staje się przyczyną dodatkowego podziału w łonie chrześcijan. Także z tego powodu dialog ekumeniczny z Kościołami reformowanymi staje się trudniejszy. Ponieważ Stolica Apostolska w sposób jednoznaczny wypowiada się przeciwko cywilizacyjnej

¹⁶ Tamże, 8.

¹⁷ Tamże, 4.



promocji homoseksualizmu, niektóre środowiska homoseksualne mówią wręcz o walce z Kościołem. Dziś jest to – być może – tylko pewna nieszkodliwa retoryka. Trudno jednak przewidzieć, co przyniesie w tym względzie przyszłość.

Na pewno cały ruch homoseksualny stanowi dzisiaj bardzo ważne wyzwanie dla Kościoła i dlatego potrzebuje on bardzo mądrej refleksji, profetycznej myśli. Rodzi się pytanie, jak pozostać wiernym Ewangelii, wychodząc jednocześnie naprzeciw ludziom głęboko zranionym emocjonalnie i duchowo w sferze ludzkiej miłości i seksualności. Jak dotąd Kościół w Polsce traktuje problem homoseksualizmu ostrożnie i oględnie. Nawet zbyt ostrożnie i zbyt oględnie. Dlaczego? Trudno do końca powiedzieć. Ale do tego niewątpliwie przyczynia się problem homoseksualny wśród samych księży. Watykan nie obawia się publikować jednoznacznych wypowiedzi o homoseksualizmie, a Jan Paweł II nie boi się odważnie rozwiązywać problemów nadużyć w tej materii. Pokazały to przykłady ostatnich lat. I nam potrzebna jest ta sama odwaga.

Stąd też pierwszym wyzwaniem jest dzisiaj większa przejrzystość moralna ludzi Kościoła w tym zakresie. Kościół niewątpliwie boryka się z problemem homoseksualizmu swoich księży. Udawanie, że problem nie istnieje, to rozwiązanie bardzo krótkowzroczne. „Dobrą stroną” afer, do jakich doszło w ostatnich latach, jest to, że dziś o problemie mówi się otwarcie. Zbadanie jednak jego rozmiaru jest praktyczne niemożliwe. Rozeznanie bowiem sytuacji jednej diecezji czy jednego zgromadzenia zakonnego nie uprawnia bynajmniej do wyciągania wniosków odnośnie do całej Polski czy – tym bardziej – całego Kościoła. Kościół, co prawda, nie może się obronić przed jednostkami nieuczciwymi (Jezus sam zresztą „nie obronił” się przed obecnością zdrajcy w gronie Apostołów), kiedy jednak ujawniają się sytuacje nadużyć, winien zachować się w sposób jednoznaczny i przejrzysty. Tej jednoznaczności wymaga także formacja seminaryjna. Po każdym niemal dokumencie watykańskim, jaki ukazuje się na temat homoseksualizmu, powtarza się jeden i ten sam argument w ustach gorliwych jego obrońców: „Niech Kościół rozwiąże najpierw własny problem księży homoseksualnych, a później będzie nas pouczał, jak mamy postępować”. I choć taki argument jest mało logiczny, to



jednak w ten sposób przypomina się nam, że skuteczność głoszenia zasad moralnych jest uzależniona od zachowania ich najpierw przez nas samych, którzy je głosimy.

Kolejne wyzwanie, to pozytywna praca duszpasterska z narzeczonymi, małżonkami i rodzinami. Nie należy koncentrować się najpierw na nadużyciach, ale zaprezentować pozytywny obraz życia małżeńskiego i rodzinnego. Szczególnie ważnym polem działania jest przygotowywanie ludzi młodych do życia w rodzinie. Tak zwane przedmałżeńskie kursy bywają często prowadzone w sposób powierzchowny, formalny, choć stwarzają niepowtarzalną okazję udzielenia pomocy ludziom młodym w odpowiednim przygotowaniu się do małżeństwa. Pomoc Kościoła w tym zakresie wydaje się tym bardziej konieczna, że wielu kandydatów do małżeństwa wynosi z własnej rodziny zniekształcony, a nieraz bardzo okaleczony obraz życia rodzinnego. Stąd jest rzeczą ważną, aby stwarzać młodzieży okazję do leczenia własnych zranień i budowania pozytywnej wizji ludzkiej miłości, małżeństwa i rodziny.

Wielkim wyzwaniem staje się potrzeba otoczenia opieką ludzi młodych zagrożonych szkodliwym oddziaływaniem emocjonalnym i moralnym. Kultura śmierci uderza najpierw w najłabszych: „Najgroźniejsze dla czasów współczesnych jest to, że wraz ze wzrostem permissywności powiększa się ryzyko kierowania seksualnych upodobań na ludzi bardzo młodych, niedojrzałych, a nawet dzieci”¹⁸. I chociaż nadużycia seksualne wobec dzieci i młodzieży są jednakowo problemem osób heteroseksualnych, jak i homoseksualnych, to jednak „jednostki »folgujące« swym homoseksualnym skłonnościom wykazują ogólnie mniejszy stopień skłonności do tłumienia swych impulsów seksualnych, mogą przez to wykazywać także mniej oporów przed kierowaniem uwodzieleńskich zapędów do dzieci”¹⁹ i młodzieży. Tak więc chodzi nie tylko o ochronę dzieci przed adopcją przez pary homoseksualne, ale także o przedsięwzięcie odpowiednich środków w obronie młodzieży, która wystawiona jest na ryzyko destrukcyjnego oddziaływania moralnego. Akcje środowisk homoseksualnych promujące swoje zachowania i postawy mogą tej młodzieży wyrządzić ogromną krzywdę.

¹⁸ K. Pospiszyl, dz. cyt., s. 148.

¹⁹ Tamże, s. 148.



Kolejne wyzwanie to potrzeba udzielania pomocy osobom z trudnościami homoseksualnymi. Kościół nie może jedynie ograniczyć się do przypominania zasad moralnych. Winien ofiarować tym ludziom wsparcie ludzkie i duchowe. *List do biskupów Kościoła katolickiego o duszpasterstwie osób homoseksualnych* Kongregacji Nauki Wiary sprzed dwudziestu prawie lat ciągle czeka w Polsce na swoją realizację. Obok bowiem małej grupy krzykliwych nieraz działaczy środowiska homoseksualnego, istnieje wiele osób – szczególnie młodych – które są udręczone swoimi lękami, rzeczywistymi skłonnościami czy też upadkami moralnymi. Aby mogły prostować swoje kręte drogi życia, potrzebują tak duchowego, jak i psychologicznego wsparcia.

Wobec otwarcie wrogiego nieraz stosunku środowisk homoseksualnych do Kościoła ważnym wyzwaniem jest zwrócenie uwagi na kulturę naszego odnoszenia się do tych ludzi i grup. Nie możemy odpowiadać metodą starotestamentalną „ząb za ząb”. Potępienia niemoralnych czynów nie można nigdy utożsamiać się z odrzuceniem człowieka i brakiem akceptacji dla jego osoby. Jako ludzie wierzący musimy nie tylko deklarować życzliwość i szacunek do osób homoseksualnych, ale rzeczywiście odnosić się do nich w ten sposób. Używanie epitetów, obraźliwych sformułowań świadczy o tym, że nie kierujemy się rzeczywistą troską o tych ludzi, ale niechęcią i gniewem wobec nich. Trzeba mieć świadomość, że za „innym” przeżywaniem miłości ludzkiej kryje się nieraz wielkie cierpienie. Jeżeli osoby homoseksualne są rzeczywiście w jakiegokolwiek formie dyskryminowane i prześladowane, Kościół zobowiązuje nas do bronienia ich godności: „Należy ubolewać – czytamy w *Liście o duszpasterstwie osób homoseksualnych* – że osoby homoseksualne były i wciąż są przedmiotem złośliwych określeń i aktów przemocy. Tego rodzaju zachowania, gdziekolwiek miałyby miejsce, zasługują na potępienie ze strony pasterzy Kościoła”²⁰.

JÓZEF AUGUSTYN SJ, ur. 1950, rekolekcjonista, kierownik duchowy, wykładowca w Wyższej Szkole Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatianum” w Krakowie, redaktor naczelny kwartalnika „Życie Duchowe”. Ostatnio wydał: *O miłości i akceptacji* (Kraków 2004).

²⁰ Kongregacja Nauki Wiary, *List do biskupów Kościoła katolickiego o duszpasterstwie osób homoseksualnych*, Rzym 1986, 10.



Matka

Z Haliną Bortnowską rozmawia
Jolanta Steciuk

Warto, żeby więcej matek wiedziało, że jest jakaś nienawiść wieku dojrzewania. Tego momentu, w którym człowiek musi się zerwać. Tylko lepiej, żeby to się działo w warunkach, w których matka, odpychana gwałtownie, ma się do kogo przytulić i jest bezpieczna. Nie tak jak było z nami.

JOLANTA STECIUK: *Przyszłaś na świat w 1931 roku, w Toruniu...*

HALINA BORTNOWSKA: Ojciec ukończył wyższą szkołę wojskową i jako dyplomowany porucznik dostał przydział do Torunia. Mama przyjechała tam po absolutorium z polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. W Toruniu się pobrali. Rodzice mieli własne życie. Wyjeżdżali często za granicę: do Włoch, do Francji... Ja wtedy zostawałam u babci w Dąbkach. Ale pamiętam też wspólne wakacje nad Dniestrem w przedwojennych Zaleszczykach i nad morzem w Hallerowie.

Rodzice mnie kochali. Miałam poczucie, że ojciec mnie rozumie i że przy nim zupełnie nic mi nie zagraża; natomiast przy mamie zagrażało mi to, że ja mogę jej zrobić przykrość.



Istniał podział: to jest świat męski – świat taty, a to jest świat kobiecy – świat mamy?

Nie pamiętam myślenia w takich kategoriach. Raczej świat rodziców razem i świat ojca osobno. On jest w swojej pracy – wyjeżdża, nie ma go... Już przed wojną jako oficer Sztabu Generalnego bywał często nieobecny. Jeździł na różne misje, dzisiaj sędzę, że porządnie niebezpieczne.

A świat mamy?

Nie miałam poczucia, że ona ma jeszcze jakiś świat. Za granicę rodzice wyjeżdżali razem, do teatru chodzili razem... Mam takie wspomnienie: jest wieczór, bona mnie kąpie, a rodzice szykują się na bal. Mama na chwilę wchodzi do łazienki powiedzieć mi „dobranoc”, a ja bardzo nie chcę, żeby poszła na ten bal i oblewam ją wodą z wanny – całą śliczną błękitną suknię z przypiętymi pączkami róży ma mokrą. Dostałam wtedy klapsa w gołą pupę. Chyba słusznie [śmiech].

Mama uchodziła za osobę, na którą trzeba chuchać i dmuchać. Sama jeździła do uzdrowisk, na przykład do Truskawca.

Kiedy wszyscy byliście jeszcze razem w waszym przedwojennym domu, kim była matka?

Panią...

Co robiła?

Rozporządzała osobami: moją boną, kucharką, w pewnym stopniu ordynansem. W innych domach oficerskich ordynans wykonywał wszelkie prace domowe, u nas należało do niego tylko froterowanie podłogi i służba ojcu.

Dla mamy bardzo ważny był teatr. W Złoczowie, gdzie na jakiś czas przeprowadziliśmy się z powodu pracy ojca, wyreżyserowała sztukę, *Dom kobiet* Nałkowskiej, amatorskie przedstawienie z udziałem żon oficerów.



Uważała się za istotę bardziej wyrafinowaną niż one. Z całą pewnością nie zrobiłaby tego, co inne panie oficerowe, które kazały ordynansom prac podpaski. Pamiętam, że moja mama piętnowała takie kobiety. Robiła to zawsze sama i mnie też nauczyła, że muszę to robić sama. Całe szczęście, że dzisiejsze dziewczyny nie muszą już znać tego zajęcia.

To matka wprowadziła Cię w temat menstruacji?

Tak, oczywiście, z dużym wyprzedzeniem. Pod tym względem była bardzo nowoczesna, serdeczna i rzeczowa. Mówiła mi: to jest dobre, tak działa ludzki organizm, w ten sposób się objawia to, że jest się kobietą gotową do urodzenia dzieci, chociaż trzeba jeszcze zmatrzeć. Sama interesowałam się biologią i po prostu wiedziałam, że świat jest płciowy, istnieje wymiana chromosomów i stąd wywodzi się precudowna różnorodność istot i świata. Miałam ewolucyjną wizję świata, trochę teilhardowską, jako takiej wspaniałości.

Pamiętam awanturę w parku: wszystko, co wiedziałam na temat przychodzenia dzieci na świat, wytłumaczyłam rówieśnikom. Ich matki przeraziły się i zgorszyły okropnie. Kazały odwołać. Moja mama odwoływać nie kazała, ale nie pozwoliła mi już więcej o tym mówić: „Wiesz to dla siebie, jak będzie trzeba, ich mamy im powiedzą”.

Menstruacja to było coś ważnego, jakiś patent na dorosłość. Czekałam i właściwie chciałam, żeby to już przyszło. Później, kiedy po Powstaniu Warszawskim znalazłyśmy się z mamą w obozie przejściowym w Burgweide i z wygłodzenia, szoku i wszystkiego razem menstruacja obu nam zanikła, wiedziałam, że to niepokojący sygnał, że nie jest z nami dobrze.

Ojca nie było z Wami od 1939 roku, bo jako oficer Sztabu Generalnego zajmował się wojną.

Ojciec powiedział mamie: „Macie miejsce w pociągu ewakuacyjnym, ale będziecie sobie radzić same, ja się Wami nie będę zajmować, bo mam swoje zadania”. Rodziny oficerów dość często usiłowały ucie-

kać z Warszawy na wschód. Ale mama nie zgodziła się na wyjazd, przynajmniej na takich warunkach. Całe szczęście zresztą, bo te pociągi były bombardowane i zginęło tam mnóstwo ludzi.

Pamiętam moment, kiedy ojciec wyszedł z domu na dobre, a my z mamą stałyśmy na balkonie. Balkon był obsadzony fasolą i pomiędzy liśćmi tej fasoli widziałam, jak ojciec idzie ulicą – wysoka postać, spodnie lekko bufiaste, oficerskie. I ogieniek papierosa. Musiał się denerwować, bo oficerowie wtedy nie palili na ulicy...

Miałś siedem lat. Dzieciństwo się skończyło.

Tak, między jednym a drugim światem nie ma żadnej ciągłości. Skończył się zasobny dom, skończyła się służba, pewność czegokolwiek. Skończyło się także osłanianie mnie przed wszystkim. Teraz ja szłam zbierać węgiel za wozem, biłam się z chłopakami o cenne znalezi-sko. Ja przynosiłam kawałki asfaltu do palenia, szłam do studni do kolejki po wodę. Wcześniej było w ogóle nie do pomyślenia, żebym miała uczestniczyć w walce o byt. W ogóle nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Widzę to jak przejście do innego oświecenia. W jednym świecie było jasno, w drugim kompletnie ciemno: nie było prądu, jakieś świeczki tylko czy lampki. Piwnice, bombardowanie.

Gdzie wtedy był ojciec?

To jest cała odyseja. Opuścił Polskę przez Rumunię. Stamtąd dostał się do Francji, potem do Anglii, ale na bardzo krótko. Z Anglii pojechał do Rosji z ważną misją wojskową, był tam bardzo długo, potem jakiś czas w Afryce i znowu wrócił do Anglii. Przez całą wojnę usiłował nam pomagać materialnie, przysyłał paczki. Pamiętam, że mama sprzedawała ich zawartość – kawę, kakao – i z tego żyłyśmy.

Minęły dwadzieścia dwa lata, zanim zobaczyłaś ojca ponownie.

Tak, od pewnego momentu wychowywałam się w rodzinie niepełnej, jakby powiedziała dzisiejsza socjologia. Pamiętam zabawy z koleżankami. Lubiłam zabawy fabularne, kiedy coś się działo, była jakaś



akcja, przygody, wędrówki. Brały w nich udział nasze lalki i my, ale zupełnie nie wiedziałyśmy, co zrobić z chłopcami, nie miałyśmy dla nich funkcji, ojców przecież w domu nie było. Więc tych chłopców należało gdzieś odesłać, mówiłyśmy więc: „Wy idźcie na wojnę”.

Czy w osobie matki była ciągłość?

Tak. Chociaż naturalnie nie była już panią... Ale to wszystko wydawało się tymczasowe. Zaraz się miało skończyć, za miesiąc, za dwa, za pół roku. Nie było poczucia, że będzie trwało długo. Potem już zaczęło trwać...

Nie wyobrażałam sobie, żeby moja mama mogła być jakąś ważną osobą w konspiracji; nie przychodziło mi to do głowy. Wszystko, na co ją było stać, to walka o nasze przetrwanie.

Mocne słowa.

Niepomiernie bardziej mi imponowali ludzie, którzy w czymś aktywnie działali. W '44 roku chciałam przyłączyć się do Powstania, pójść do jakiegoś oddziału, choć nie bardzo wiedziałam gdzie... Ale miałam poczucie, że nie mogę mamy zostawić i byłam wściekła z tego powodu. Gdyby Powstanie trwało w naszej okolicy dłużej, może bym się zdobyła, żeby się przedostać na drugą stronę ulicy, przez którą strzelano, i do czegoś przyłączyć. W pewnym sensie nie zdążyłam, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że nie podjęłam takiej natychmiastowej decyzji. Byłam wobec matki lojalna, ale jednocześnie nienawidziłam jej z tego powodu. Cały bunt dojrzewania, jaki przeżywałam, był związany właśnie z tym. „Pod spodem” miałam poczucie, że uczestnikom akcji jest lepiej, bo mają tę akcję. A tu trzeba wszystko biernie znosić. Choroba morska panuje pod pokładem, funkcyjni – tak sądziłam – na pokładzie jej nie mają. I wobec tego trzeba być na pokładzie, trzeba być funkcyjnym. Postanowiłam sobie wtedy, że więcej nie pozwolę się tak usytuować. Że się już więcej nie dam – nawet dla dobra matki. Bo z tego nie wyrasta dobro. Nienawidziłam jej wtedy.



Minęło sześćdziesiąt lat. W okresie przygotowań do rocznicy Powstania Warszawskiego zbierano relacje do filmu dokumentalnego Powstanie zwykłych ludzi.

Autorom filmu chodziło nie o relacje kombatantów, które są względnie dobrze udokumentowane, ale właśnie o spojrzenie na te same wydarzenia z perspektywy „pod pokładem”. Okazało się, że zebrali relacje dowodzące takiego heroizmu, jaki według mnie przekraczał bohaterstwo kombatantów. W filmie kluczowa jest relacja kobiety, która urodziła dziecko 1 sierpnia, w momencie wybuchu Powstania. Jej mąż poszedł wykonywać swoje obowiązki powstańcze, a ona została z noworodkiem sama. I to dziecko przeżyło: dzięki niej i dzięki pomocy wszystkich, którzy się w pobliżu tej dramatycznej sytuacji znaleźli. W filmie widać wyraźnie, że prawdziwymi uczestnikami są nie tylko kombatanci, ale także ci, którzy brali udział w pomocy wzajemnej i ludzie, którzy po prostu przetrwali i uchwali przy życiu swoich bliskich.

W filmie jest też Twoja relacja o matce.

Tak. Po upadku Powstania ten kawałek Warszawy, gdzie mieszkaliśmy z mamą, znalazł się w rękach jednostki pomocniczej – byłych żołnierzy radzieckich, którzy przeszli na służbę niemiecką. Oni wygarniali ludzi z podpalanych domów i pędzili kolumny na plac na Ochocie, tak zwany Zieleniak, duży plac ogrodzony murem. Zaginali ludzi, aż plac cały się zapełnił: byli tam ciężko chorzy, ranni, staruszkowie doniesieni na noszach lub dowleczeni przez swoich bliskich... Tłum tak gęsty, że kiedy ludzie porozsiadali się czy pokładli, trudno było przejść. Żołnierze, którzy nas pilnowali, chodzili po placu grupami i w dzień i w nocy wyciągali kobiety, dziewczyny, dziewczynki, żeby je gwałcić tam, na miejscu, pomiędzy ludźmi, w tym tłumie. I zabijając od razu. Tak zginęła koleżanka z mojej klasy, o kilkanaście metrów ode mnie.

Jeden z nich podszedł też do mnie i zaczął mnie ciągnąć za ramię. Mama jeszcze przedtem, o co byłem na nią wściekła, zawinęła mi głowę jakimiś szmatami, że niby jestem ranna. Teraz mnie nie



puszczała, mówiła, że się nie nadaje... I nagle zaczęła na niego krzy-
czeć po rosyjsku! Nie wiem, skąd w niej brała się taka siła, żeby wy-
myślać temu człowiekowi. Tak jak przed wojną była panią, tak na
tym placu była babą, babą w furii! Pełną dzikiej odwagi! On mógł ją
zastrzelić na miejscu, mógł wybrać ją zamiast mnie, mógł wziąć nas
obie. Tymczasem jakoś się przestraszył, tego krzyku, tych słów i tej
pogardy, która była w tym wszystkim, bo to była pogarda dla kogoś,
kto sięga po dziecko...

Przez wszystkie te lata, kiedy mama zaczynała mówić o Ziele-
niaku, wychodziłam. Nie chciałam tego wspominać. Teraz opo-
wiedziałam sama. Jako tło mojej filmowej relacji pokazano starą
fotografię: mnie i mamę. No i tak zobaczyłam matkę i córkę... I do-
piero teraz odkryłam, że jest w tym coś więcej niż to, z czego zda-
wałam sobie sprawę przez tyle lat. Że właściwie zawdzięczam jej
życie dwa razy. Mimo że wtedy czułam do niej wręcz nienawiść.
Warto, by więcej matek wiedziało, że jest jakaś nienawiść wieku
dojrzewania. Tego momentu, w którym człowiek musi się zerwać.
Tylko lepiej, żeby to się działo w warunkach, w których matka,
odpychana gwałtownie, ma się do kogo przytulić i jest bezpieczna.
Nie tak jak było z nami.

Rozmawiała Jolanta Steciuk

Tekst jest fragmentem przygotowywanej książki – rozmów z Haliną
Bortnowską.

HALINA BORTNOWSKA, publicystka, działaczka społeczna, anima-
tor grupy „Wirydarz” przeciw antysemityzmowi i ksenofobii (<http://wirydarz.org>), a także warsztatów dziennikarskich Stowarzyszenia Młodych Dziennikarzy POLIS; członek zespołu miesięcznika „Znak”.



Rodzina – dziecko swoich czasów

Dlaczego warto założyć rodzinę? Czym uzasadnić można obawy przed jej założeniem? Z takimi pytaniami zwróciliśmy się do trzech grup Czytelników: tych, którzy rodzinę już założyli, tych, którzy ze względu na własny wybór lub okoliczności życiowe żyją sami, oraz do ludzi całkiem młodych, którzy stoją jeszcze przed taką decyzją.

Naszych respondentów zapytaliśmy także, jakie z przekazanych przez rodziców wartości uważają za najcenniejsze, w czym chcieli rodziców naśladować, a w czym się od nich odróżnić oraz w jakim momencie życia uzyskali z ich strony najmocniejsze wsparcie. I wreszcie, czy wiedzą, jak można rozwiązywać rodzinne kryzysy.

Redakcja

L. S.

Warto? Nie warto? Gdyby należało „dać świadectwo”, musiałabym przeprowadzić rachunek zysków i strat. A ja odmawiam takiego bilansowania! Nie z obawy o wynik, lecz z powodów zasadniczych. Jak na naszą osobistą matematykę w grę wchodzi równanie o zbyt wielu niewiadomych: nie mamy ani pełnej wiedzy o rzeczywistości,



ani możliwości precyzyjnego planowania życia. I żadna teoria chaosu nie udzieli nam odpowiedzi na pytanie: „co by było, gdyby...”. W tej materii uczciwa rachunkowość musi uwzględnić słupek pod tytułem „dzieci”. W moim przypadku one po prostu są. Jakże więc zastanawiać się nad tym „istnieniem” w kategoriach „warto – nie warto”? Mogę tylko stwierdzić, że w moim doświadczeniu osobistym jest, jak jest, i tak właśnie jest dobrze. Myślę, że zakwestionowanie „oczywistego”, „naturalnego”, niemal instynktownego charakteru rodziny jest pierwszym symptomem – już wtedy nieuniknionego – kryzysu (*vide*: słabość matematycznego bilansowania).

Sytuacji nie ułatwia obraz rodziny postrzeganej jako instytucja opresyjna i kastrująca – jak wszystkie struktury odziedziczone: naród, religia, kultura, a nawet płeć... Więc wyzwalamy się od wszelkich, kiedyś instynktownie akceptowanych, schematów. Wydaje nam się, że musimy wybierać siebie, własną opcję życiową, własną orientację, własną przynależność, tożsamość... Jest *cool*? Wręcz przeciwnie, bo ceną płaconą za tak rozumianą wolność jest powszechny skowyt samotności i epidemia depresji...

Gdy decyzja o założeniu rodziny traci swój „naturalny” charakter, pojawia się kalkulacja, a wraz z nią „Ja” prowadzące rachunek opłacalności. A więc rodzina jako związek realizujących swe interesy „singli”, jako kontrakt swobodnie zawierany i niemal równie swobodnie rozwiązywany. Dotyczy to nie tylko małżeństwa – pojawiły się pierwsze rozwody dzieci z rodzicami.

Skoro żadne więzy nie zobowiązują definitywnie, skoro wszystkie są kwestią nieustannego wyboru to – aby trwać – muszą być potwierdzane w drodze permanentnej negocjacji. To męczące zajęcie. Zwłaszcza że negocjatorami stały się również dzieci wyswobodzone spod kurateli posłuszeństwa zesłanego do lamusa narzędzi dominacji. Rodzina funkcjonująca w kontekście „warto – nie warto” jest teatrem nieustannej próby sił wszystkich ze wszystkimi. A nawet więcej... Bo w domową przestrzeń wkradł się, silniej niż kiedykolwiek do tej pory, świat zewnętrzny: jest współtwórcą domowego języka, uczestniczy w wychowaniu dzieci, dostarcza argumentów, „prawd”, bodźców, wzorców i modeli. Miejsce zdetronizowanego Ojca zajął

Telewizor (kto naprawdę trzyma ster rządów w domu? Ten, kto ma w ręku pilota).

Konieczność negocjacji ze „światem” nie jest niczym nowym. (Konfucjusz: „Pamiętaj, że twój syn nie jest twoim synem, lecz synem swych czasów...”). Nową jakością jest zanik kodyfikującej normy i bezprecedensowa emancypacja indywidualnego losu. Już nie obyczaj, nie autorytety, nie religia określają wzory postępowania. Jedynym ustawodawcą, a zarazem prokuratorem, adwokatem, pod-sądnym i sędzią naszych wyborów jesteśmy my sami, nasze „Ja”. A jedynym „uchwytnym” kryterium oceny – sukces (niekoniecznie sukces materialny, ale – sukces).

Emancypacja nie okazała się ani bezgrzeszna, ani bezkarna. Paradoksalnie – zdjęcie z „Ja” ciężaru uwarunkowań osłabiło je, rozchwiało, skazało na swobodne wirowanie w przestrzeni nieokreślonej, wystawiło na podmuchy emocji, trendów, kaprysów i mód.

Już nie dławi nas poczucie uwięzienia w kadrze zobowiązań – zastąpiła je niepewność. Za stabilność i bezpieczeństwo płaciliśmy podporządkowaniem; autonomię (lub to, co nam się autonomią wydaje) opłacamy permanentnym zmęczeniem i niepewnością dotyczącą wyborów cudzych oraz – bardziej destrukcyjną – niepewnością co do słuszności wyborów własnych.

Dlaczego rodzina?

Bo to najciekawsza z przygód. Bóg ceduje wtedy na nas część swych prerogatyw: powołaj do istnienia własny świat, daj życie, chroń i pielęgnuj, zapewnij mu harmonię, trwałość i równowagę.

Rodzina jest pokornym porządkowaniem chaosu. Oswajanie, nieustanne porządkowanie świata ulegającego korozji, tej delikatnej materii poddanej psuciu i obumieraniu, wystawionej na potężne siły dezintegracji, wymaga wielkiej mądrości. I większej jeszcze dobroci. Jest zajęciem tyleż trudnym, co fascynującym.

W nagrodę dostajemy mnóstwo premii, drobnych i większych satysfakcji. A najważniejsza? Tu przenikają się dusza i ciało, materia i psyche, rozum i emocje. Rodzina koryguje ekscesy: egoistów zmu-



sza do myślenia o innych, skłonny do lewitowania przypomina o wadze ciała, materialistów uczy metafizyki, ideologom ukazuje rzeczywiste problemy realnego życia, uczy uczuć mózgowców, a wyznawcom wszelkich cudownych metod: zen-, psy-... itp. -terapii szykuje niespodzianki...

Rodzina chroni przed zabłądzeniem w świat jednowymiarowy.

Kryzysy

Pokusa odejścia? Nie darmo jesteśmy dziećmi naszych czasów, więc kto bez grzechu, niech rzuci kamieniem...

Lepiej wtedy pamiętać, że miłość niejedno ma imię, że potrafi przekształcać się, zmieniać, ewoluować. A wszystkie jej postaci łączy jedno: ten, kogo kochamy, inspiruje, pobudza wyobraźnię, budzi marzenia. Słabo wierzę w wyłączność inspiracji; wierzę jednak, że jedno należy definiować, a innych nie warto.

Czy głęboką przyczyną kryzysów nie jest lenistwo? Lenistwo ducha i ciała, intelektu i wyobraźni? Bo chyba rzadko jest tak, by ten drugi nie mógł nas zaskoczyć nową, jeszcze nieodkrytą wielkością. Cała sztuka w tym, by nie zaciskać powiek. I umieć wyzwalać to wszystko, co sprawi, że ta druga strona będzie lubić życie. Także wspólne.

Może dobrze jest czasem zapomnieć o sobie, oddać i utracić? Jak wtedy, gdy w obliczu bezkresu pustyni, doskonałego piękna czy majestatu wygwieżdżonego nieba zapominamy o sobie i niemal przestajemy istnieć. Wtedy właśnie – nieskończenie mali – czujemy, że istniejemy naprawdę.

Rozmowa jako panaceum na kryzys? Za Freudem jesteśmy skłonni przypisywać słowom magiczną siłę. Czy jednak powściągliwość nie bywa mądrzejsza? Nie ufam rodzinnym wiwisekcjom – zbyt często okazują się kolejną próbą sił. Podobnie jak jedno nieopatrzne zdanie – potrafią zabić. Czy rodziny, w których mówi się wszystko, są trwalsze od innych? Nie przypuszczam. Mowa rzadko bywa lekarstwem, jest natomiast bezcennym środkiem zapobiegawczym. Opowieść, rozmowa, dyskusja chronią przed znudzeniem, przydają atrakcyjno-

ści, tworzą obszary wiedzy wspólnej, a dzieci wyposażają w aparat pojęć niezbędnych, by umiały oddzielać prawdę od fałszu. Język miłości, język rodziny wykracza jednak poza sferę werbalną. W rodzinnym słowniku ważnymi hasłami będą gesty, uśmiechy, spojrzenia, drobne przyzwyczajenia, zapach porannej kawy i domowego ciasta... Nic jednak tak nie spaja i nie cementuje jak rytuał. Sieć rytuałów tworzy kulturę istnienia, tłumaczy Boga na język ludzi i otwiera rodzinę na szerszą wspólnotę. W zmiennym, chybotliwym świecie religia ustanawia kadr stabilny, oparty na odpowiedzialności i zanurzony w czasie wiecznym. Nie wierzę dyskursowi wskazującemu na pustkę rytuałów – posiadają tajemniczą zdolność wypełniania się sensem na tyle, ile tylko sensu jesteśmy gotowi w nie wlać.

Byle nie poddać się iluzji samowystarczalności. Rodzina obojętna na cierpienie świata, nieangażująca się – bezinteresownie – w coś, co ją przekracza, jest skazana na implozję. Wspólne szukanie Sensu, obecność Boga lub tęsknota za Nim relatywizują to, co na relatywizację zasługuje, i tak poszerzają przestrzeń, że zmieści się w niej każdy.

By jedynym drogowskazem nie pozostała reklama szminki: „Jestem tego warta!”.

Wartości

To nie była rodzina idealna. W za dużym ogrodzie za duży dom, a w nim mało słów, rzadki śmiech, starzy rodzice, ścisłe ramy dyscypliny. Deficyt miłości czy może nieufność wobec nastrojów i łatwych emocji?

Co sprawiało, że chłód nie ranił, jak u Mauriaka, lecz hartował?

Pogardzie dla skorumpowanego świata towarzyszył sceptyczny kult sztuki, ale nie artystów, kult natury, ale podporządkowanej, kult religii, która wolność umożliwia, a nie zakuwa w dyby. W tym świecie wiedza o ułomnej rzeczywistości nie była w stanie zakłócić wiary w istnienie Doskonałości.

Jest Wielki Tydzień. Nocne czuwanie w wiejskim kościele. Pochylone w ławkach babiny skrzekliwie zawodzą lamentacyjne pieśni. Mam 14 lat i wyćwiczone lekcjami ucho, cierpię. Pochylam się



w stronę dziadka i syczę przez zęby: „Czy one nie mogą zmilczeć?”. W moją stronę biegnie stroskane spojrzenie i bezapelacyjne: „Każdy, jak umie, Pana Boga chwali!”. Już nigdy nie zakwestionuję wartości cudzej tęsknoty do doskonałości, a w ludowej religijności potrafię, po latach, odnaleźć siebie.

Rzucone mimochodem zdanie kształtuje na zawsze. Dzieje się tak nie tylko w rodzinie. Ale w rodzinie zdarza się to często.


L. S., żona, matka dwojga dzieci.

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA

Zaraz po terminie „życie”, „rodzina” jest jedną z najbardziej egzystencjalnych kategorii ludzkiego systemu pojęciowego. Jak do tej pory nie powiodły się próby kultywowania życia poza rodziną.

Co nie znaczy, że rodzina dziś wygląda dokładnie tak, jak wyglądała w dawnych pokoleniach. Dlatego nurtują nas zagadnienia, nad którymi mamy zastanowić się w tej ankiecie. Pytanie: „Dlaczego warto założyć rodzinę?”, sugeruje, że pozytywnie odpowiedzieliśmy na bardziej podstawowe: „Czy w ogóle warto?”. Już tu wyczuwamy zmianę w porównaniu z przeszłością. Dzisiaj takie pytanie nie wydaje się od rzeczy. My bowiem mamy wybór. Nie musimy zawierać małżeństwa, żeby powołać na świat potomstwo, nie musimy decydować się na dzieci, kiedy wchodzimy w związek małżeński czy partnerski. Nie czujemy się ani na małżeństwo, ani na posiadanie potomstwa „skazani”, jedno i drugie – jesteśmy gotowi się szczyścić – zależy od naszej decyzji. Nie przyświeca nam – jak to drzewiej bywało – zamiśl budowania więzów dynastycznych czy klanowych, nie szukamy w dzieciach koniecznych rąk do pracy na ojcowiznie i często nie do końca liczymy na ich osobistą opiekę w starości.

Nasuują się dalsze wątpliwości. Czy „zakładają rodzinę” ci, a właściwie te coraz liczniejsze kobiety, które decydują się na samotne macierzyństwo? Czy decydują urodzenia dziecka za wszelką cenę – za sprawą mniej lub dalej idącej technologii – jest zawsze zdrowa? Czy aby nader często – zwłaszcza w zamożnych warstwach społecz-



nych – nie ma to charakteru ugruntowania statusu, sprawdzenia się, ucieleśnienia zamysłu nie tyle przedłużenia gatunku, ile przedłużenia siebie? Podejście takie nieobce jest naszemu pokoleniu: w dobie skłonnej do kultuwowania narcyzmu i skrajnej prywatności nader często tak właśnie traktujemy potomstwo. Koncentrujemy się na jego aspekcie „własnościowym”. Tracimy z oczu fakt, że dzieci nie są dla nas, nie są po to, żeby nam dawać przyjemność. Tak jak i my, są także dla innych.

Wielkim niebezpieczeństwem tak dla małżeństwa, jak i dla rodziny, jest niedocenywanie konieczności ciężkiej pracy nad relacjami, w których się znaleźliśmy, zastąpione sentymentalną wiarą w idylliczny obraz rzeczywistości emocjonalnej. Kiedy jedna idylla się psuje, wystarczy wyruszyć na poszukiwanie następnej. Tymczasem sensem rodziny jest mocno zakorzenione w realizmie dbanie o zdrowie fizyczne, emocjonalne, psychiczne i duchowe jej członków, troska o tych, którzy w danej chwili są słabsi i zależni. Słabość niejedno ma imię, a od współzależności nie ucieknie nawet najbardziej niezależny osobnik.

Kryzys rodziny, jeśli zgodzimy się na to sformułowanie, wiąże się również z ekspansywnym charakterem dzisiejszej kultury masowej. Oferowana przez skomercjalizowane media z ich kultem wygody i pieniądza, wprowadza wielki zamęt w kwestii pożądanых wartości, nie nakłania do empatii i altruizmu, na których trudno się wzbogacić, a bez których życie nie może się obyć. O ile bowiem rodzina, a także środowisko społeczne – szkoła, praca, życie publiczne – wymagają umiejętności współżycia, rodzina stanowi najlepsze miejsce dla kształtowania właściwych postaw – kapitału na całe życie. Trud wychowania w dobie ogromnego wpływu czynników pozarodzinnych polega więc dzisiaj na wcielaniu wartości kontrkulturowych. W ucieczce przed zakłamaniami, które jak rzadko co odstręcza młodych, musimy sami dać trudne kontrkulturowe świadectwo.

Sięgając do własnego przykładu, mogę powiedzieć, że jakkolwiek wzrastałam w tzw. pełnej rodzinie, tak się złożyło, że wychowywała mnie wcześniej owdowiała babcia, rocznik 1900. Nie sposób przecenić jej mądrości życiowej. W ponurych i dla wielu grząskich latach 50. i 60. babcia niezmordowanie stała na twardym łądzie zdrowych



zasad. Uważała pewnie, że fantazjowania uczyć się nie trzeba, trzeba się uczyć podejmowania trudu. Chcę wierzyć, że skutecznie przekazała mi zrozumienie dla wartości, w które wyposażyły ją warunki domowe i społeczne, i które dziś często na nowo odkrywamy. Są to wracające gdzieniegdzie do łask cnoty wiktoriańskie (może w Polsce raczej utożsamiane z mieszczchańskimi), między innymi nacisk na odpowiedzialność, umiar, opanowanie, dyscyplinę, szacunek dla drugiego człowieka, pracy i porządku.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego warto założyć rodzinę, dobrze mieści się we wspomnianym etosie. Żadne środowisko nie stanowi lepszego „poligonu” do nauki życia. Moje dzieci nauczyły mnie bardzo wiele. Była to i jest trudna nauka, wymagająca wysiłku fizycznego, psychicznego, emocjonalnego i duchowego. Stały trening, który nie pozwala ani na chwilę osiąść na laurach, ogłosić tryumfu. Ani przedwczesnej porażki. Okazja do wyrabiania cierpliwości, w rodzinie bowiem nie sprawdza się wybieranie drogi „na skróty”. Praca nad rodziną uczy niedocenianej w Polsce wartości rozsądnego kompromisu i kultury. Uczy realizmu i pokory.

Za jedną z najcenniejszych wartości do przekazania w rodzinie uważam wdzięczność. Ileż konfliktów by osłabiła! W dobie roszczeń jest to rzecz deficytowa. Wdzięczność to cecha, która wymaga wyjścia z zaczarowanego kręgu własnego ja. Nie jest to jednak wypad aż tak daleki, jakim byłoby zapuszczenie się w znacznie trudniejszą sferę bezinteresowności i poświęceń. Wdzięczność jest pierwszym krokiem. Każe nam pomyśleć o darze i darczyńcy. Skłania nas do choćby prozaicznej transcendencji. Bez wdzięczności nie będziemy szanować niczego i nikogo. Będziemy struci wiecznymi żądaniem, pretensjami, żalami, porównaniami, szczególnie podatni na gniew, chciwość i zawiść.

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA, żona (od ponad ćwierćwiecza), matka dwojga pełnoletnich, wedle opinii ogółu z gruntu udanych dzieci, które jednakowoż nie są dokładnie takie, jak by sobie tego życzyli rodzice. Obowiązki rodzinne ocenia jako najtrudniejsze spośród tych, jakie jej wypadło spełniać. Niemniej jednak zbudowanie rodziny uważa za bodaj najważniejsze z osiągnięć życiowych.

EWA RATAJCZYK

Nie mam definicji rodziny, ale pewną wizję. Wyobrażam ją sobie jako twór nie mający dokładnie określonych granic i kształtu. Jest w ciągłym ruchu: maleje, zwiększa się, jakaś część się łamie (ale nie odpada), inna wyrasta. Gdy istnieją oddzielnie, to znaczy, że tak naprawdę ich nie ma, bo istnieć mogą tylko jako całość. Możliwe jest, że te części nie znajdują się razem w tym samym miejscu, bo poruszają się w różnych przestrzeniach. Jak to się dzieje, że te części istnieją razem? Co stanowi tkankę, która nie pozwala im się rozpaść?

Po pierwsze, jest to wytrwałość i cierpliwość, które są po to, by jedna część nie „zjadła” drugiej. Dzięki niej części „uczają się” tolerancji dla swoich słabostek, niedociągnięć. Uświadamiają sobie, że rodzina to nie *perpetuum mobile*, ale złożona z niedoskonałych ludzi wspólnota, która wciąż potrzebuje „paliwa”, by działać. Wytrwałość i cierpliwość pomagają być wciąż nakierowanym na drugą osobę, dają siłę do spotkania, wystrzają słuch, nie pozwalają zamknąć oczu w czasie rozmowy. Każą dzwonić, pisać maile, umawiać się do kina, na obiad.

Po drugie, czymś, co łączy części tego tworu, jest nadzieja, która uderza najmocniej, gdy chce się już zrezygnować ze starań o to, by części nie odpadły. Uczy być nieobojętnym i świadomym. Ośmiela do mówienia o swoich uczuciach. Oducza naiwności, to znaczy myślenia, że rodzina to wspólnota już na wstępie otrzymująca zapas szczęścia, którego wystarczy na wszystkie lata.

Niezbędnym składnikiem jest też wiara w sens istnienia tych części jako całości. Brak wiary oznacza, że rodzina nie istnieje. Wiara, że kiedyś siądziemy przy wspólnym stole, choć wydaje się to bajką kończącą się happy endem: „...i żyli długo i szczęśliwie”. Nie chodzi tu jednak o to, czy ten cel zostanie osiągnięty. Najważniejsze, że wiara w niego nadaje sens każdemu gestowi, słowu. Wiara w to, że złamana część znów się zrośnie. Wiara w ideał nawet wtedy, gdy postanawia się złamać obietnicę, „że cię nie opuszczę aż do śmierci”.

Tym, co ogarnia wszystkie poprzednie warunki, jest miłość. Taka, której trzeba wytrwale i z cierpliwością się uczyć, pokładając w niej nadzieję i wiarę. Tę lekcję trzeba codziennie powtarzać.



Mam takie wyobrażenie tylko dlatego, że moja rodzina jest takim tworem. Pod powyższym porównaniem chciałam skryć prawdę o sobie, to, w jakiej rodzinie się wychowałam. Co tworzymy? Nasuwa mi się odpowiedź, że to coś, co zwie się rodziną, ale... Nie mieszkam z tatą, a od kiedy zaczęłam studia, już z nikim nie mieszkam dłużej niż dwa dni, raz na tydzień lub dwa. W czerwcu kolejny raz się przeprowadziłam, a wraz ze zmianą miejsca zmieniła się liczba osób tworzących rodzinę. Przybyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich został mężem mojej mamy, a drugi jest jego synem. Wszyscy mieszkają w jednej miejscowości. Twór ów jest nad wyraz mobilny i zmienny, dlatego musimy wkładać wiele wysiłku, by mógł nazywać się rodziną.

Mam taką wizję rodziny (i taką rodzinę), która nie pasuje do ogólnie przyjętego modelu (dwoje małżonków, tj. rodziców, plus dzieci). Nie wiem, czy mogę nazwać ją komórką społeczną. Moja rodzina jest bardziej zróżnicowana niż ta podstawowa jednostka budulcowa. Jednak nie jej kształt jest najważniejszy, ponieważ fundamentalną sprawą jest to, co znajduje się między ludźmi tworzącymi rodzinę, co stanowi „łącznik” między nimi. Całość opiera się na wytrwałości, cierpliwości, wierze, nadziei i miłości. To są banały, które „się wie”, ale tylko życie w rodzinie umożliwia ich zrozumienie. Wspólne życie jest ciągłym wysiłkiem. To nieustanna lekcja i nie można się zatrzymać w momencie, gdy ma się dwadzieścia kilka lat i podejmuje decyzję o założeniu rodziny. Codziennie trzeba się uczyć siebie na nowo. Rodzina to studiowanie drugiego człowieka. My wciąż się tego uczymy.

Moja rodzina jest dla mnie potwierdzeniem, że warto ją stworzyć (może kolejną, nową, ale będącą przecież częścią tej starej). Ktoś może jednak powiedzieć, że to ogromne ryzyko (i tak jest!) i ogromny wysiłek, który wiąże się z niepewnością, czy wybrało się „właściwą” osobę, czy rodzina będzie trwała, a miłość wieczna. Te obawy spełniły się w mojej rodzinie, ale myślę, że złe decyzje pociągnęły za sobą dobre konsekwencje. Przez to, że ta rodzina się rozpadła, zrozumieliśmy jej wartość i to, jak bardzo trzeba się starać o więzi ją łączące. Czasami tylko taki rodzaj podjęcia ryzyka może ukazać sens jej istnienia.



Mimo że przesłam te trudne lekcje i wyciągnęłam pewne wnioski, sama chciałabym z kimś stworzyć rodzinę „aż do śmierci”. W tym chciałabym różnić się od moich rodziców. Może to jest naiwna wiara w pewien ideał. A może wiara w to, że mi się uda, jest fundamentem, który pozwoli mi na zrealizowanie tego celu? Podobnie jak była i jest podstawą tworzenia rodziny, w której się wychowałam i wychowuję...

EWA RATAJCZYK, studentka socjologii w Wyższej Szkole Europejskiej w Krakowie.

JOANNA OLECH

Z mojej rodzinnej schedy, wyniesionej z domu, najbardziej przydały mi się: poczucie humoru (po Tacie) i poczucie odpowiedzialności (po Mamie). W dniu ślubu moja mama miała lat 19, tata niewiele więcej, a to sprawiło, że byli rodzicami bardzo młodzięcymi. Oszczędzili mnie i siostrze solennych przestróg, okazali za to dużo zaufania. Rodzice nie recenzowali moich życiowych decyzji, nawet wówczas, gdy wszystko przemawiało za tym, że robię błąd. Jestem im za to wdzięczna – dzięki temu mam poczucie, że sama ponoszę odpowiedzialność za swoje życiowe wybory i nikt nie obciąża winą za własne porażki. Pamiętając o tym, powstrzymuję się od wtrącania się w życie mojego dorosłego syna. Nie chcę zasłużyć na miano Strasznej Teściowej z niewybrednych dowcipów.

Z perspektywy lat widzę, że powtórzyłam model rodziny będący mieszanką rodzicielskiej nonszalancji, intuicji i wiary, że wszystko się uda. Niefrasobliwie wyszłam za mąż i równie niefrasobliwie zostałam mamą trójki dzieci. Nie mieliśmy mieszkania ani stałej pracy, ale z domu rodzinnego wyszłam z poczuciem siły i bezpieczeństwa. Wieloletnia opieka nad ciężko chorą babcią, a potem pobyt na studiach w obcym mieście przygotowały mnie na przeciwności losu. Nigdy nie bałam się kłopotów materialnych, chociaż żyliśmy skromnie. W macierzyństwie dokuczało mi natomiast poczucie uwiązania. Do dzisiaj zdarza mi się marzyć o ucieczce od obowiązków na tropikalną wyspę.



Rodzicielstwo postrzegam jako trudny balans pomiędzy powinnościami a egoizmem. Mój egoizm częstokroć okazywał się zbawienny – to, co nazywałam nie dość perfekcyjnym wypełnianiem matczynych obowiązków, paradoksalnie przyczyniło się do większej samodzielności moich dzieci. Gdyby nie ambicje zawodowe, zostałabym matką-kwoką, próbującą kontrolować potomstwo na każdym kroku. A że dużo pracowałam – dzieci zyskiwały przestrzeń dla własnych doświadczeń i eksperymentów życiowych, a ich mama zachowała szacunek dla siebie i poczucie własnej wartości, jakie daje sensowna praca. Mam wolny zawód – jestem Mamą-zawsze-w-domu, co ma swoje ogromne znaczenie. Dzieci nigdy nie nosiły klucza na szyi. Nawet kiedy pracuję zamknięta w swoim pokoju, moje matczyne ucho wędruje po całym mieszkaniu.

Rodzina to elektrownia zasilająca moje życiowe baterie. Daje mi poczucie mocy i wartości. Ja ich lubię, oni mnie lubią, rozumiemy się w pół słowa, śmiesz nas te same rzeczy, możemy na siebie liczyć. Rodzina jest fajna, kiedy wszystko gra, i nieoceniona w kłopotach. Świadomość, że nigdy mnie nie zostawią w biedzie, jest źródłem turbomocy. Kiedy jesteśmy razem, nic nam nie straszne. Najwięcej oparcia doświadczyłam od rodziny w chorobie. Permanentna troska, niezawodna pomoc, rodzinny alert wokół łóżka chorego – to są chwile fantastycznej rekompensaty za tę tropikalną wyspę, której się wyrzekłam.

Aby ten obraz nie był fałszywie podretuszowany, muszę dodać, że są i straty – w rodzinie, która jest bardzo żyta, rany zadane przez bliskich bołą dotkliwie.

Rodzinne kryzysy rozwiązujemy p a s z c z ą. Poprzez gadanie, spory, negocjacje. Czasami złowrogie pomruki, czasami wrzaski, ale zawsze do upragnionego skutku. Bardzo pomaga przyjacielski konfesjonał – mamy grono zaprzyjaźnionych rozjemców. W sytuacjach skrajnych uciekamy się do listów. Gadulstwo całej naszej rodziny jest naprawdę zbawiennie.

Myślę, że najważniejszym spoiwem rodziny jest p r a w d a i l o - j a l n o ś ć.



Pożytki z posiadania rodziny wydają mi się tak oczywiste, że jedynym przeciwwskazaniem dla zakładania rodziny jest, w moim przekonaniu, chroniczna nielojalność i uzależnienie od kłamstwa.

JOANNA OLECH, z wykształcenia grafik, z zawodu publicystka, z zamiłowania mama trojga dzieci (24, 16, 13), od niedawna teściowa. Uprawia macierzyństwo spontaniczne, improwizowane – od nadopiekuńczości ku matczynej nonszalancji i z powrotem.

STANISŁAW KRAJEWSKI

Tytułowe pytanie jest dla mnie o tyle ciekawe, że niegdyś odpowiedź na nie wcale nie była dla mnie oczywista. Gdy byłem młodym człowiekiem, myślałem czasem, że zostanę niezależnym od nikogo myślicielem, włóczęgą, który kroczy gdzieś po marginesach tego świata, może nawet pustelnikiem. Rodzina by w tym przeszkadzała. Jednak gdy tylko zakochałem się, chęć bycia razem przeważała. Gdy zakochałem się na dobre, założenie rodziny wydało się czymś oczywistym.

Naturalnie małżeństwo powoduje wyraźną utratę niezależności. W zamian zyskuje się poczucie, że jest się razem na dobre i na złe i że wspólnie buduje się życie. Jeśli ktoś uważa, że ma do spełnienia w życiu jakieś zadanie, to wsparcie ze strony współmałżonka jest nieocenione, bo trwałe. Mojej żonie zawdzięczam niezmiernie wiele. Nigdy nie żałowałem, że się ożeniłem. Gdyby to się nie stało, moje życie byłoby inne, ale czy lepsze? Bardzo wątpię.

Oczywiście dzieci przynoszą jeszcze większą utratę niezależności. W zamian uzyskuje się nieporównywalne z niczym uczucie wobec dziecka, a ponadto poczucie, że przedłuża się życie, i to życie ludzkie – najbardziej tajemniczy i najświętszy ze znanych mi (nam wszystkim?) sposobów egzystencji. Mam nadzieję, że przekazuję moim synom to, co uzyskałem od moich rodziców: poczucie, że bez względu na wszystko należy być porządnym człowiekiem. Nieraz drżę z niepewności, czy ten przekaz jest niezagrożony. Dla mnie kiedyś znać był on między innymi – choć wprost rodzice o tym raczej nie mówili – że nie można się załamać, zostawszy więźniem (politycznym).



Nie jest dla nikogo jasne, co ten przekaz oznacza w obecnych czasach – gdy mamy wolności polityczne, ale nie mniejsze niż niegdyś trudności w realizacji drogi życiowej.

Ważność rodziny jest powszechnie uznana w Polsce. W żadnym razie nie jestem więc wyjątkiem, choć, w przeciwieństwie do większości, czerpię też wsparcie z tradycji żydowskiej. Staram się zarazem wystrzegać naiwności. Przecież ani związek małżeński, ani związek z dziećmi nie obywa się bez kryzysów. Zarówno napięcia wewnątrz rodziny, jak i pokusy obecne na zewnątrz są dla rodziny groźne. Kryzysy mogą, jak wiadomo, prowadzić do negatywnych uczuć, złych zachowań, załamania zaufania, wreszcie – do domowego piekła. Nie ma, rzecz jasna, przepisu, jak do tego nie doprowadzić i jak się z takich sytuacji wydobywać. Ja mogę stwierdzić tylko coś elementarnego: łatwiej jest, gdy się je potraktuje jako test, czyli uczyni założenie, że chce się uratować te związki, gdy się zdobędzie na determinację, by się nie poddawać, na przekonanie, że trzeba to robić wspólnie. Oczywiście nie należy absolutyzować wartości rodziny: czasem rozwód, a nawet odebranie praw rodzicielskich, jest najmniej złym rozwiązaniem. Wydaje mi się jednak, że poza skrajnymi sytuacjami należy zaczynać od założenia, że nadrzędny jest interes rodziny, a nie sprzeczne za sobą interesy jej poszczególnych członków. Nie wiem, czy jest to możliwe w obecnych czasach, gdy coraz bardziej oczywisty staje się absolutny prymat potrzeb indywidualnych. Wokół mnie pełno jest rozwodów. Po kilku lub kilkunastu latach ludzie zaczynają żyć z kimś innym. Warunki społeczne to umożliwiły, bo kobiety są tak samo wykształcone i mają takie same szanse na pracę. Dzieci są najbardziej zdezorientowane, bo mają kolejnego tatusia lub mamusię. Czy to nowy wzorec życia rodzinnego? Nawet jeśli tak, wskazuje na wagę rodziny.

Uniezależnianie się dziecka od rodziców jest trudnym i bolesnym procesem. Syn jest kontynuacją mojej osoby, a zarazem jest oddzielnym człowiekiem, który ma prawo do swojej niezależności. Wiem, że może iść swoją drogą, co więcej, że własną drogą iść m u s i. Starszy syn interesuje się – i to demonstracyjnie – czymś innym niż ja (utrzymuje więc dystans i wobec matematyki, i filozofii, i religii w ogóle – a judaizmu w szczególności – oraz taternictwa itd.). Ale

przecież jestem z niego dumny: szuka swojej drogi niezależnie i bezkompromisowo. I mam nadzieję, że na dłuższą metę nie odejdzie od dziedzin mi bliskich, a już na pewno od moich wartości. Ja przecież odrzuciłem ateizm moich rodziców, nie tracąc szacunku ani dla nich, ani dla ich ateizmu.

Gdy spotykam małżeństwo bez dzieci, trudno mi się powstrzymać od współczucia, choć wiem, że to mógł być ich świadomy wybór. Wiem, jak wiele tracą. Nawet gdyby mieli mieć dziecko niepełnosprawne. Mój młodszy syn uczy mnie czegoś zupełnie innego niż starszy. Jest upośledzony (ma zespół Downa). Kontynuacja mojego zaangażowania zawodowego czy społecznego nie wchodzi w grę. Uczy mnie jednak lepiej niż ktokolwiek radości życia i czystości relacji z ludźmi. Moje życie stało się przez niego trudniejsze, ale na pewno nie gorsze. Oczywiście jeszcze mniej niezależne w sensie indywidualistycznym, ale w jakimś sensie jeszcze głębsze. A potrzeba prymatu rodziny okazała się dzięki niemu czymś oczywistym. Bo dla niego rodzina – to cały świat. Nie życzę nikomu takiego doświadczenia, ale czasem myślę, że „wypożyczenie” go ludziom w kryzysie pozwoliłoby im docenić wartość rodziny.

STANISŁAW KRAJEWSKI, mieszka w Warszawie z (pierwszą) żoną Moniką i dwoma synami: Gabrielem (18) i Danielem (15).

KATARZYNA STARMACH

Dom jest miejscem, gdzie poznałam i odkryłam najprostsze i podstawowe prawdy o świecie, gdzie spotkałam swoich pierwszych nauczycieli, którzy pokazali i opisali mi ten świat. To oni wpisali we mnie te najbanalniejsze, elementarne zasady i wartości. To jednak, co najbardziej dzisiaj doceniam i za co jestem wdzięczna rodzicom, to całkowita pewność, że akceptują mnie i moje wybory, to uznanie mojej odrębności, niepowtarzalności, wyjątkowości. Dom kojarzy mi się z Wolnością, nie tą pojmovaną jako samowola, ale z możliwością bycia sobą u siebie, z możliwością posiadania własnych poglądów, własnego zdania, które zawsze jest szanowane. Rozwijałam



się w przeświadczeniu, że jestem kochana i akceptowana taka, jaką jestem. Nie wiem, co to znaczy miłość warunkowa, „miłość za...”, miłość rodziców do dzieci, o ile te realizują ich własne, niespełnione ambicje i marzenia. Może brzmi to banalnie i mało oryginalnie, ale to właśnie temu zawdzięczam poczucie własnej wartości i niezależności, a jednocześnie wiem, że czegokolwiek bym nie zrobiła, jakichkolwiek błędów bym nie popełniła, rodzina zawsze będzie moim oparciem i będzie gotowa na to, by mi pomóc.

Mimo iż otrzymałam od rodziców godny naśladowania wzorzec i w gruncie rzeczy wiem, jak chciałabym zbudować więzi i relacje w mojej własnej rodzinie, gdy zaczynam wybiegać myślami w przyszłość i wyobrażać sobie siebie w roli żony i matki, pojawia się we mnie wiele obaw. Jak wiele przecież wokół nas nieudanych związków, pomyłek i jak wiele związanych z tym nieszczęść i dramatów ludzkich. Dziś, w świecie, gdzie wszystko jest relatywne, ulotne, nietrwałe i zmienne, ta poważna i dojrzała decyzja o trwałym związku się z drugą osobą przeraża swoją powagą i ostatecznością. Przez to coraz częściej pojawia się wśród młodych ludzi przekonanie, że na „te” sprawy zawsze jest czas, i że nie warto się do niczego spieszyć. Poglądy te utrwalają też bezmyślnie powielane przez młodych ludzi schematy postępowania, życia, w których wśród pożądanych rzeczy najpierw jednym tchem wymieniane są: praca, kariera, mieszkanie, samochód..., a dopiero potem, gdzieś tam na końcu, rodzina. Myślę, iż przyczyną takiej właśnie postawy jest ciągle poczucie niedojrzałości, obawa przed utratą pełni niezależności i wolności decydowania o sobie samym. W związku dwojga ludzi nasze dotąd autonomiczne „ja” ulega ograniczeniu, co prawda poprzez świadomą i dobrowolną decyzję, ale od tego momentu nie jesteśmy już odpowiedzialni tylko za siebie, ale i za ukochaną osobę. Budowanie małżeństwa, rodziny to nieustanna praca nad sobą, nad nową rolą żony, matki, nad wspólnymi relacjami.

Jednak pomimo tych wszystkich trudności i wyzwań, jakim musimy sprostać, uważam, że założenie rodziny, stworzenie prawdziwego, pełnego ciepła ogniska domowego, gdzie dzieci i rodzice czują się bezpieczni i szczęśliwi, jest i powinno być celem ludzkiego życia. Wszystko bowiem, co tworzymy, zostawiamy po sobie na tym świe-

cie, jest przerażająco nietrwałe i ulotne, nie dające nam pełni spełnienia i satysfakcji. Jedyne, co tak naprawdę prowadzi do pełni szczęścia, to oddanie światu cząstki siebie. To akt stworzenia, wychowania, ukształtowania nowego człowieka, nowej ludzkiej istoty. Nie ma przecież wspanialszego uczucia niż szczerą miłość kobiety i mężczyzny, która owocuje przyjściem na świat dziecka. Nie ma większej satysfakcji jak ta odczuwana, gdy rodzina przez nas założona jest ostoją dla domowników – z niej czerpią aspiracje, motywacje do działania, tu odnajdują pomoc i zrozumienie.

KATARZYNA STARMACH, studentka europeistyki UJ i socjologii w Wyższej Szkole Europejskiej w Krakowie.

MAGDALENA ZIELIŃSKA

Nie wiem, czy warto założyć rodzinę, więc tym bardziej nie umiem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego. Co to w ogóle znaczy „założyć rodzinę”? Czy to znaczy „wziąć ślub”? Co to znaczy „rodzina”? Czy rodzina to kochająca się para, czy małżeństwo, czy może małżeństwo z dzieckiem?

Wydaje mi się, że rodzina jako wspólnota ludzka zawsze będzie istnieć – zmieniać się będzie tylko jej definicja. Myślę jednak, że „rodzina tradycyjna” przestanie mieć rację bytu. Każde pokolenie inaczej rozumie tę „tradycyjność”, stąd pewnie wciąż powtarza się obawa, że „tradycyjna rodzina” przeżywa kryzys, że ulega destrukcji. Na tej samej zasadzie starsze pokolenia ubolewają nad brakiem dobrego wychowania i upadkiem obyczajności wśród młodzieży. Za rodzinę będzie się uważać osoby powiązane niekoniecznie krwią czy powinowactwem, ale na przykład przyjaźnią. Więzy krwi nie zawsze, niestety, idą w parze z więzami emocjonalnymi (chodzi mi o miłość czy choćby o sympatię, bo nienawiść czy strach to przecież też emocje). Jestem jedynaczką, moja rodzina to także w dużej mierze moi przyjaciele (z którymi znam się od dziecka). Gdy brak więzów emocjonalnych, rodzina okazuje się tylko grupą obcych sobie ludzi o podobnym fenotypie.



Sądzę, że w pośpiechu i bylejakości, jakie często towarzyszą stylowi życia współczesnego człowieka, pojawia się potrzeba znalezienia autentycznego, szczerego związku, w którym moglibyśmy zdjąć maski i poczuć się całkowicie akceptowanym (i nie chodzi mi tu koniecznie o związek o charakterze romantycznym). Rosną oczekiwania łączone z bliskością. Dlatego też częściej odczuwa się rozczarowanie, częściej doskwiera świadomość trudności/nieemożliwości zbudowania bliskiej i głębokiej więzi z innym człowiekiem. Rośnie frustracja, zniechęcenie. Paradoksalnie więc: im bardziej szanujemy, cenimy intymność, im bardziej zależy nam na autentycznym kontakcie, tym więcej w nas lęku przed zawierzeniem się drugiej osobie.

Sporo ludzi cofa się przed tym ryzykiem (ja osobiście też nie należę tu do kamikadze). Boi się obciążenia, boi się porażki, nie chce kompromisów w tak ważkiej sprawie (życie jest jedno, w dodatku krótkie), w konsekwencji nie decyduje się na założenie rodziny. Inni z kolei podejmują wyzwanie kompletnie bez namysłu, z powodów, pośród których miłość i chęć budowania związku są na ostatnim miejscu (po: „a bo już czas”, „bo tyle lat jesteśmy razem”, „bo boję się być samotny/a”, „bo będziemy rodzicami”, „bo razem łatwiej się utrzymać”). Istnieje zjawisko opisane przez socjologów jako „syndrom arki Noego”: w społeczności lokalnej wszyscy pozostają w związkach i wywierają presję na „singli” (osoby żyjące w pojedynkę), oczekując, że dopasują się oni do standardu. Jednak prawie połowa gospodarstw domowych w wielkich zachodnich miastach to właśnie gospodarstwa singli, poza tym narodziły się nowe trendy, na przykład: *quirkyalone*¹ czy życie w modelu LAT (*living apart together*). Widać wyraźnie, jak bardzo wrażliwą na przemiany kulturowe strukturą jest rodzina.

Rodzicom zazdroszczę najbardziej tego, że trafili na siebie bez pudła. Od trzydziestu lat chodzą, trzymając się za ręce i wymykają się na spacerzy we dwoje, a gdy jedno z nich wyjeżdża, drugie zaczyna mieć objawy odstawienia. Myślę, że sukcesem dobrej rodzi-

¹ *Quirkyalone* oznacza osobę, która potrafi żyć sama, dobrze się czuje w pojedynkę, nie pcha się na siłę w byle jakie związki tylko po to, żeby za wszelką cenę z kimś być. Wierzy, że istnieje prawdziwa miłość, ale czekając na nią, nie siedzi z założonymi rękami, tylko czerpie z życia pełnymi garściami.



ny jest sukces pary. Jedną z najcenniejszych wartości, jaką przekazali mi rodzice, jest szacunek dla partnera. Dzięki temu znikają problemy typu: niewierność, rozgoryczenie stylem życia czy stanem konta. Szacunek ten procentuje też w wychowywaniu dzieci, bo jeśli w rodzinie ma być porządek, rodzice muszą być konsekwentni i trzymać ze sobą, czyli nie podważać wzajemnie swoich decyzji dotyczących dziecka.

W mojej rodzinie bardzo podoba mi się też liczba kontaktów „czułościowych”. Jest to coś, co chciałabym zastosować w rodzinie, którą założę (jeśli założę). Bliskość fizyczna jest przejawem bliskości psychicznej. Świadomość, że mogę się przytulić do taty czy domagać się „głasków” od mamy, pozwala czuć się ich dzieckiem niezależnie od wieku. Ludzie często są powściągliwi w okazywaniu sobie sympatii i obszar życia rodzinnego nie jest tu wyjątkiem. Znam osoby, które nie przytulały się do mamy od czasów przedszkola. Dla mnie (jako ewentualnej matki) byłaby to porażka wychowawcza.

Jeśli chodzi o wsparcie ze strony rodziców, dostarczają mi go w zasadzie za każdym razem, gdy tego wsparcia potrzebuję, i wydaje mi się, że tak właśnie powinno być. Rodzic powinien być sojusznikiem swojego dziecka, nie ślepym wyznawcą bóstwa, ale mądrą podporą, która w odpowiednich momentach usuwa się w cień i pozwala dziecku samodzielnie działać. Tego nauczyli mnie moi rodzice.

MAGDALENA ZIELIŃSKA, lat 27, niezamężna, psycholog, doktorantka na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

DOROTA DOBROCZYŃSKA

Mam głębokie odczucie, że teza o kryzysie rodziny w czasach obecnych nie jest do końca prawdziwa. Sądzę, że rodzina jest – i była w ogóle – instytucją, w której żyje się raczej niełatwo, mało tego – w pewnym sensie wyrokiem, bo alternatywy (oprócz singlowania) do tej pory nie wymyślono.

Pod pojęciem rodziny będę rozumiała, w kontekście poniższych rozważań, związek mężczyzny i kobiety posiadających potomstwo.



Na razie ten okrojony model (mimo że wydaje się klasyczny) powinien wystarczyć.

Warto może zadać pytanie, dlaczego ludzie umawiają się ze sobą na wspólne życie. Odstawmy na półkę kilka oczywistych odpowiedzi, takich jak naturalna potrzeba prokreacji czy jakiejś sensownej organizacji swojego życia. Chciałabym skoncentrować się w tej chwili na dwóch zagadnieniach: biologicznych aspektach ludzkiego funkcjonowania i wymiarze sakralnym tegoż.

Zacznijmy od natury. Nie jest już dla nikogo tajemnicą, potwierdziły to badania empiryczne, że biologiczne interesy kobiet i mężczyzn różnią się znacznie od siebie. O ile dla samca człowieka priorytetem jest obdarzanie swoją informacją genetyczną jak największej liczby samic, dla kobiet opieka nad istniejącą już w rzeczywistości emanacją tego kodu i poczucie bezpieczeństwa wydają się podstawowe. Przy czym wydaje się, że zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn monogamia jest stanem nienaturalnym: panom blokuje najważniejszy z popędów (rozprzestrzenianie kodu genetycznego), panie skazuje na mękę niepewności (po kilku latach zainteresowanie partnera słabnie, a poczucie koncentracji uwagi na sobie jest warunkiem *sine qua non* poczucia bezpieczeństwa).

Jednakże istota ludzka nie jest, jak wiadomo (skąd wiadomo – to wielkie pytanie...), zbiorem impulsów biologicznych ukierunkowanych na przetrwanie i prokreację. Cała boska sfera naszej natury pragnie i dąży do nieobjętego i nieskończonego, chce miłować i nienawidzić, być blisko z istotami własnego, a też i innych gatunków, przemieniać się i rozwijać, ogrzewać w blasku nienazwanego, a także niszczyć i zaprzepaszczać się w sobie tylko wiadomych dążeniach. Czy żeby jakoś uporać się z tą dramatyczną wielością i różnością potrzeb, wymyślono dla kobiet małżeństwo, a dla mężczyzn wojny? Czy dlatego, że popędy i marzenia są tak niesamowicie sprzeczne, nie ma ani dobrych wojen, ani udanych małżeństw? A może jednak są, a jeśli tak (tylko związki, bo fajnej wojny chyba nie da się poprowadzić...), to od czego w takim razie to zależy?

Trudno mówić o zamierzchłych czasach, chociaż w hordach i małych plemionach spędziłyśmy większość naszego czasu na Ziemi. Jak w takich społecznościach układały się sprawy męsko-damskie,

a jak relacje rodziców z dziećmi, niewiele wiemy, ale już czasy starożytnie malują cały fresk szalonej ludzkiej działalności na tej planecie. Wszystkie odmiany promiskuityzmu, zdrady, przemoc, gwałty i kazirodztwo, okrucieństwo wobec dzieci i siebie nawzajem, niepomowane dążenie do władzy i posiadania, a też i dziesiątki lat trwające piękne związki, wierność ponad wszystko, tęsknota za Tym Jedynym i Tą Jediną, uporczywe powroty do pewnej wyspy i czuła tkliwość...

Czasy nowożytnie chyba nie różnią się za bardzo od tych zamierzchłych. Przez co najmniej dwa tysiące lat niepodzielnie panował na prawdę groźny dla kobiet patriarchalizm, który pojawił się i rozwijał jakby kompletnie wbrew jednemu z głównych zdań Starego Testamentu: „mężczyznę i kobietą stworzył ich...”. W warunkach takiej, duchowej, a często i fizycznej, przemocy trudno było chyba realizować partnerstwo, bez którego niemożliwe jest, jak się wydaje, zbudowanie dobrego i trwałego związku. Ale i tak najgorszy los spotykał dzieci. Niewiele się nimi przejmowano, rodziły się i marły, a jeśli już udało im się przeżyć, to często po to tylko, by mogły być maltretowane przez swych rodziców i opiekunów.

Oczywiście, chcę to mocno podkreślić, przemoc wobec kobiet i dzieci nie była zapewne powszechną regułą, ale przypadki takie musiały być jednak bardzo częste, skoro już Bronisław Ferdynand Trentowski w 1842 roku odradzał rodzicom karanie chłostą niemowlęcia (*sic!*), bowiem: „Różga zapali w niem nieświadome siebie, lecz przecież nieznośne uczucie niesłuszności, jakiej doznaje”. Również Korczak starał się uświadomić swych współobywateli, że dziecko jest po prostu istotą ludzką i można ją szanować. Jak wiadomo, nie wszystkich to obeszło. Oprócz dotkliwej przemocy fizycznej dzieci spotykało w tzw. procesie wychowawczym upokarzanie, karanie, przemoc słowna i molestowanie seksualne. (Na marginesie dodam, że obecne przełamywanie tabu w tym względzie i nagłaśnianie spraw przemocy seksualnej wobec dzieci jest tylko nieśmiałym dotknięciem czubka góry lodowej, a ogromna większość tego rodzaju przestępstw popełniana jest przez najbliższych członków rodziny dziecka).



Wszystko to w rodzinach ciągle istnieje. Niemal codziennie można przeczytać doniesienia o okrucieństwach wobec dzieci, ostatnio na przykład „Gazeta Wyborcza” opublikowała wywiad z dr Moniką Płatek, skoncentrowany wokół dramatycznego pytania (którego, moim zdaniem, w ogóle nie powinno być, jeśli mówimy o rodzinie): dlaczego nie wolno bić dzieci? Tak więc jest smutno, a dla wielu po prostu strasznie.

Tematem na zupełnie inny tekst byłaby próba opisanie kondycji społecznej w ogóle, bo przecież my sami i ludzie wokół nas wyrosli w takich właśnie, mniej lub bardziej trudnych warunkach i z tym smutnym dziedzictwem weszli w dorosłe życie.

„Śpieszmy się kochać ludzi...”. Ale może nie dlatego, że tak szybko odchodzą, tylko dlatego, że po prostu są. Zaczniemy od siebie. Pokochać siebie wydaje się oczywiste, a jednak wcale nie jest takie łatwe. Ale jeśli to się uda, można tą cudownością kogoś obdarzyć. I to jest najlepszy fundament do zbudowania dobrego związku. I już wcale nie trzeba się przejmować wychowaniem dzieci...

DOROTA DOBROCZYŃSKA, w lutym tego roku siądzie na dwóch krzeselkach – psychologa i przedsiębiorcy. Od wielu lat pozostaje w mniej więcej monogamicznym związku. Stara się zapewnić wspólnej progeniturze miłe wspomnienia z dzieciństwa.

AGNIESZKA PELC

Ośmielę się stwierdzić, że pytania postanowione w ankiecie z góry sugerują, jak należy wartościować posiadanie rodziny, a jak – jej brak. Zakłada się tu jako możliwe tylko dwie odpowiedzi: 1) tak, warto zakładać rodzinę, i 2) tak, warto zakładać rodzinę, ale... Nie dopuszcza się myśli o ludziach, którzy po prostu tego nie chcą. Urodzenie dziecka, zmienianie mu pieluch przez pierwsze kilka miesięcy jego życia, sprzątanie, gotowanie i robienie wszystkiego wokół niego nie jest, jak przypuszczam, największym marzeniem pewnej części ludzi na świecie.

Dlaczego większość z nas uważa, że rodzina to schemat przynajmniej 2 + 1? Dlaczego wydaje nam się, że rodzina pojawia się dopie-



ro z przyjściem dziecka na świat? Czy mamy prawo uważać, że osoba, która nie chce mieć dzieci, jest niepełnowartościowym człowiekiem? Odpowiedź nasuwa się sama, ale czym innym teoria, a czym innym praktyka. Osoby samotne i bezdzietne bardzo często traktowane są jako „te gorsze”. Nie bez powodu sam wydzwięk określenia „stara panna” jest negatywny.

A przecież równie dobrym wkładem w kształtowanie się współczesnego nam świata jest poświęcanie życia innym przez uczenie ich, dzielenie się własnym doświadczeniem, niesieniem pomocy i rady. Naukowcy, duchowni, literaci i wielu, wielu innych ludzi podejmuje przynajmniej próbę wniesienia we współczesną ludzką egzystencję, w ten dziwny i zagmatwany świat czegoś wartościowego. Owszem, niektórzy mają rodziny, ale inni nie, poświęcając się w zupełności swojej dziedzinie (przykładem może stać się tu Immanuel Kant, który – uważany za wybitną jednostkę – całkowicie oddał się swojej pracy, nie dzieląc życia na rodzinne i zawodowe).

Poza tym nie wszyscy stworzeni są do życia rodzinnego, co nie znaczy, że nie nadają się do życia w społeczeństwie. Myślę, że postulat „nie męcz siebie i innych” w pewnych przypadkach jest jak najbardziej uzasadniony. Po co unieszczęśliwiać innych i siebie, zmuszając się do wypełnienia roli społecznej? Krzywdzi się tylko w ten sposób całe otoczenie. Nieumiejętność otwartej rozmowy powoduje narastanie konfliktów, zmartwień, problemów – a rodzi się ona ze znudzenia, braku zrozumienia i przede wszystkim niechęci do drugiej osoby. Czy nie lepiej skupić swoją energię na pracy dla siebie i innych?

Moja mama nauczyła mnie wielu ważnych rzeczy, między innymi tego, że trzeba w ludziach szukać dobra, a nie samych negatywnych cech; że każdy czasami potrzebuje dobroci i tzw. pomocnej ręki. Zawsze mówi, że powinnam olbrzymią wagą przykładać do własnego wykształcenia – nie tylko naukowego, ale także emocjonalnego. Uczyć się dla rozwoju rozumu i serca. Chciałabym umieć i móc przekazać te wartości komuś innemu, ale niekoniecznie swoim dzieciom. Człowiek uczy się przez całe swoje życie we wszystkich sytuacjach. Jest zatem wiele ewentualności „przemycenia” tych prostych, a tak przydatnych prawd życiowych innym. Można być wykładownicą, dzien-



nikarzem, pisarzem, poetą... Są miliony możliwości spełnienia się w innej roli niż rodzinna czy rodzicielska.

Na pytanie, czy w przyszłości chcę założyć rodzinę, odpowiadam redakcji i sobie: „nie wiem”. Dzisiaj skłaniam się bardziej ku temu, żeby wybrać te drugą drogę – wcale nie gorszą, po prostu inną. Co jednak można wiedzieć, mając niespełna dwadzieścia lat?

AGNIESZKA PELC, studentka filozofii PAT i socjologii w Wyższej Szkole Europejskiej w Krakowie.

TOMASZ PONIKŁO

Chcę założyć rodzinę. Dlaczego? Bo nie wyobrażam sobie życia poza nią. Właśnie w mojej rodzinie zostałem wychowany w taki sposób, że za pewnik uznaję to, iż w życiu najważniejsze są wartości pozamaterialne: miłość, wiara, nadzieja, uczciwa praca... i rodzina. Nie wiem, ile razy mówiliśmy o tym wprost – najważniejszy był dla mnie po prostu przykład moich rodziców. Nie zdarzyło mi się dostrzec niekonsekwencji w ich działaniach czy myśleniu – sądzę, że to bardzo ważne. Po pierwsze, uniknęli moralizatorstwa, po drugie, hipokryzji. Czym innym jest przecież słuchanie i przyjmowanie nakazów, a czym innym codzienne doświadczanie, w najmniejszych sprawach, siły przekonań, wpływu wartości. Zawsze czułem się członkiem rodziny, osobą, która ją współtworzy, a nie kimś, kto ma się czemuś podporządkowywać. Jedyne, co było jasno sformułowane, to miłość. Miłość, która pociąga za sobą mnóstwo konsekwencji, wiele wymagań, sprawy nie zawsze proste, czasem bolesne, ale tylko ona jest w stanie zagwarantować rodzinie trwałość. Chcę zbudować swoją rodzinę w oparciu o miłość, oczywiście, mając za punkt wyjścia obustronne uczucie mojej partnerki i moje, które przełoży się bezpośrednio na nasze dzieci. Jeśli więc pomiędzy nami będzie miłość, to najważniejsze już znalazłem! Jej konsekwencją będzie szacunek, wolność, bliskość, współodpowiedzialność i... siła do zwykłego życia. Bo to właśnie w codzienności tkwi najwięcej zagrożeń dla rodziny. Kiedy coraz więcej czasu spędza się poza domem, łatwo str-

cić z oczu to, co cenne, na przykład ze względu na pracę. Praca moich rodziców jest dla mnie wzorem, po pierwsze dlatego, że jest uczciwa i zmierza do dobra ze względu na swój przedmiot; a po drugie, ma być tak samo dobra dla naszej rodziny. Co rozumiem przez ten drugi warunek? To, że pieniądze nigdy nie są wartością samą w sobie. Zarabianie ich to nie „bogacenie się”, tylko stwarzanie lepszych warunków rodzinie. Moja Mama pracuje z dziećmi niepełnosprawnymi. Kilkakrotnie byłem obecny podczas Jej zajęć. Nauczyłem się wtedy, co to znaczy być powołanym do określonej pracy, jaki jest jej cel i czym jest sama miłość. Mój Tata pracuje bardzo ciężko; ma mało „swojego” czasu. Wielokrotnie wyjeżdżał „na dłużej” – pamiętam jeden z Jego powrotów, akurat w dniu imienin, więc w domu zorganizowano powitanie ze znajomymi. Miałem może pięć lat. Tata wrócił po pół roku nieobecności i nie mogłem nic zrobić ze swoją radością: przytulić się do Niego, opowiadać, pytać, bo zajęty był gośćmi. Zawołałem Go i powiedziałem: „wiesz, ja bardziej kocham Mamę, bo Ciebie nie ma...”. I wtedy po prostu ze mną posiedział. Byłem za mały, by zrozumieć, że nie wyjechał po to, by zarabiać, ale żeby nam (między innymi mnie) zapewnić jakotakie warunki życia. Parokrotnie podczas wspólnej rozmowy przy kolacji zastanawialiśmy się, czy Tata powinien podjąć jakąś ofertę i pamiętam, jak je odrzucał – choć pieniądze były dobre, nie mogły przewyższyć pewnych wartości, które są najważniejsze. Bo czy pieniędzy będzie więcej, czy mniej, najważniejsze jest, abyśmy byli razem. Bliskość osoby, na której mi zależy, której ufam, zawsze będzie ponad tym, co mogą dać pieniądze. Dlatego w mojej rodzinie chcę powtórzyć ten wzorzec pracy jako wartości.

W mojej rodzinie chcę, oczywiście, mieć dzieci, choć przyznaję, że kwestia ich wychowania wciąż mnie przerasta. Jednak swojej rodzinie zawdzięczam tyle, że chciałbym to doświadczenie przekazać innym, przede wszystkim przez założenie własnej rodziny. Rodzina to miłość, a miłość daje siłę. Myślę, że rodzina może być sposobem spełnienia się człowieka.

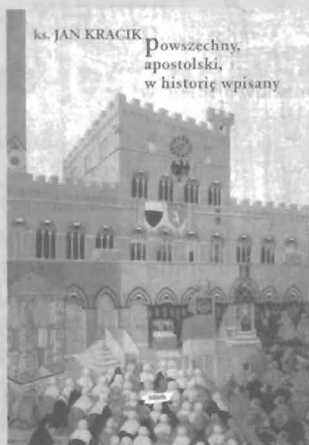
Szczególnym momentem w filmie *Prosta historia* Davida Lyncha jest ten, w którym bohater opowiada o tym, jak kazał swoim dzieciom znaleźć patyk i przełamać go, a kiedy to już zrobiły, poprosił,

znak

by wzięły kilka patyków i spróbowały uczynić to samo. Nie mogły; wtedy powiedział im – widziacie, ta garść patyków to właśnie rodzina; złamiesz jednego człowieka, ale nie złamiesz rodziny. Odczułem to również ja. Kiedy przerosły mnie własne problemy, tylko wsparcie mojej rodziny pomogło mi przez nie przebrnąć. Nawet jeśli sam się o nie prosiłem, musiałem ponosić konsekwencje, ale nigdy nie pozostawałem sam.

Ważnym oparciem dla mojej rodziny jest wiara. Od setek kazań ważniejszy jest obraz moich rodziców, którzy choć zmęczeni po całym dniu pracy, wieczorem klękają do modlitwy. Pewnie też na tym polega pokora, której uczy wiara. Tak samo i ja będę uczył się na nowo pokory, kiedy zacznę wspólne życie z partnerką. Jeśli zbuduję rodzinę na fundamencie miłości – a tego sobie życzę – cała reszta powinna „się ułożyć”.

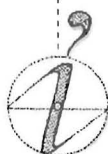
TOMASZ PONIKŁO, student socjologii w Wyższej Szkole Europejskiej w Krakowie.



Ks. Jan Kracik **Powszechny, apostołski, w historię wpisany**

Książka Ks. Jan Kracik jest znanym historykiem Kościoła, profesorem Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie i publicystą współpracującym stale z „Tygodnikiem Powszechnym”. Opublikował między innymi: *Święty Kościół grzesznych ludzi*, *Trwogi i nadzieje końca wieku* oraz *Relikwie*.

W najnowszej książce autor omawia historyczne przemiany Kościoła, pokazując życie religijne różnych epok zarówno „od góry” (ewolucja doktryny, relacje Kościół–państwo), jak i „od dołu” (codzienna pobożność, rozumienie prawd wiary, napięcia między wiernymi a duszpasterzami).

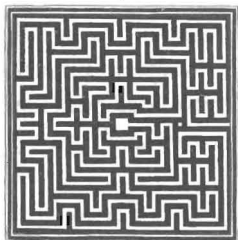


inspiracje

Czytelnikom szukającym dodatkowych lektur na temat rodziny polecamy na początek dawkę mądrego humoru, czyli książkę **Robina Skynnera i Johna Cleese'a** *Życie w rodzinie i przetrwać* (Warszawa 2001). Tło kulturowe, w jakim funkcjonują dzisiejsze rodziny, znakomicie pokazuje w swoich dwóch książkach **Arlie Russell Hochschild** – *The Time Bind: When Work Becomes Home and Home Becomes Work* (New York 1997) *The Commercialization of Intimate Life. Notes from Home and Work* (Berkeley 2003). Jako wprowadzenie mogą też posłużyć dwa tomy rozmów **Doroty Terakowskiej i Jacka Bomby** – *Być rodziną, czyli jak budować dobre życie swoje i swoich dzieci* (Kraków 2003) oraz *Być rodziną, czyli jak zmieniamy się przez całe życie* (Kraków 2004).

O religijnym wymiarze rodziny i małżeństwa szeroko traktują książki – **Józefa Augustyna SJ** *O miłości, małżeństwie i rodzinie* (Kraków 2004), **Anselma Grüna OSB** *Małżeństwo. Błogosławieństwo na wspólną drogę* (Kraków 2004), **Jerzego Grzybowskiego** *Dialog jako droga duchowości w małżeństwie i nie tylko* (Kraków 2004), **Mirosława Piłśniaka OP** *Miłość, przyjaźń, modlitwa, czyli wszystko, co najważniejsze* (Kraków 2004) oraz **Elżbiety Sujak** *Poradnictwo małżeńskie i rodzinne* (Katowice 1988).

Póki czas, warto sięgnąć także po praktyczne poradniki: **Adele Faber, Elaine Mazlish** *Wyzwoleni rodzice, wyzwolone dzieci. Twoja droga do szczęśliwej rodziny* (Poznań 1994) oraz tychże *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały? Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły?* (Poznań 1996), **Thomasa Gordona** *Wychowanie bez porażek* (Warszawa 1991) i **Aarona T. Becka** *Miłość nie wystarczy. Jak rozwiązywać nieporozumienia i konflikty małżeńskie* (Poznań 2002).



„Możliwa jest nawet zmiana na lepsze”

Ze Stefanem Wilkanowiczem
rozmawiają Dorota Zańko
i Jarosław Gowin

Cecha współczesnej cywilizacji, która jest równocześnie jej największym zagrożeniem, to wolność bez poczucia odpowiedzialności. Sięgając jeszcze głębiej, można stwierdzić, że zanika nawet poczucie ciągłości.

Przez małżeństwo przybliżył się Pan do bardzo odległego kulturowo od Polski kraju. Czym w Pana wypadku było życie na styku dwóch kultur? Gdzie jest Pana ojczyzna duchowa?

Według mnie każdy ma trzy ojczyzny. Jedna to ojczyzna naturalna, geograficzno-kulturowa, w której wyrósł. Druga (i ta jest najbardziej swojska) to „mała ojczyzna”, gdzie człowiek czuje się naprawdę u siebie. Trzecia to ojczyzna duchowa, którą budujemy z rozmaitych wpływów, jakie do nas docierają, obecnie coraz szybciej i w coraz większym stopniu. Z tego splotu wpływów może narodzić się coś harmonijnego, ale może też powstać zupełny chaos. Dzisiejszy świat pełen jest takiego chaosu.

Moja ojczyzna duchowa – poza Polską, której kultura jest dla mnie podstawowa – to wietnamska poezja liryczna, ludowa i współczesna, oraz wietnamska muzyka. Równocześnie jednak odnajduję ją również w muzyce górali andyjskich. Kiedy dawniej na krakow-



skim Rynku grywał zespół z Peru, zatrzymywałem się zawsze w pobliżu i miałem poczucie, że ci ludzie są moimi współrodakami.

Moją ojczyzną duchową jest Podhale, chociaż jestem ceprem z Warszawy, ale jest nią równocześnie rzymskie Trastevere i Hue, dawna stolica Wietnamu. Byłem tam kiedyś przez trzy dni – pokazano mi kościół, w którym została ochrzczona moja żona, oraz bramę, którą do pałacu cesarskiego wchodził mój teść. Zobaczyłem też wtedy i wchłonąłem wiele innych rzeczy. Człowiek musi więc budować swoją ojczyznę duchową i ciągle ją harmonijnie rozwijać.

Pańska żona wychowała się w innym kręgu kulturowym. Czy codzienne obcowanie z kimś, czyja ojczyzna duchowa jest tak odległa, wzbogaciło Pana czy raczej wprowadziło w Pana życie duchowe chaos?

Chociaż moja żona jest Wietnamką, wychowywała się w rodzinie chrześcijańskiej, więc różnica kulturowa między nami nie była wielka. Poza tym pewne elementy kultur azjatyckich są moim zdaniem bardziej chrześcijańskie niż w niektórych społeczeństwach *stricte* chrześcijańskich. Oto przykład: gdybym żył w Chinach przed rewolucją kulturalną, już od dwudziestu pewno lat przechowywałbym w domu niezwykle cenny dar – ozdobną trumnę, którą ofiarowywano tam człowiekowi w starszym wieku jako wyraz najwyższego szacunku. Spróbujmy w Polsce, kraju katolickim, ofiarować komuś trumnę przed śmiercią! W tamtej kulturze śmierć jest traktowana o wiele bardziej naturalnie, nie wyzwała takiego strachu jak u nas, nie ukrywa jej się tak jak w kulturze euro-amerykańskiej. Pod tym względem tamte kultury są zdrowsze.

Podobnie jest ze sprawami płci. Zwiedzałem kiedyś w Wietnamie muzeum kultury ludu Tjam. Tjamowie byli wyspiarzami, prawdopodobnie piratami, wyznawcami religii hinduskiej, którzy przybyli do środkowego Wietnamu i założyli tam swoje królestwo. Zobaczywszy rzeźbę hinduskiej tancerki, uświadomiłem sobie, że w tamtej kulturze płeć traktuje się jako coś naturalnego, a zarazem sakralnego. To było bardzo osobiste wrażenie.

Natomiast u nas o sprawach płci mówi się albo językiem wysublimowanej duchowości i sztucznej, oderwanej od życia idealizacji



czy naukowości – albo językiem wulgarnym. Nie mamy nawet odpowiednich określeń. Nasz język nie umie oddać istoty rzeczy.

*

Powiedział Pan, że dzisiejszy świat pogrążony jest w chaosie. Tradycyjna hierarchia wartości stopniowo przestaje obowiązywać. Ten zamęt dotyka również, a może przede wszystkim, życia rodzinnego. Jakie są, Pana zdaniem, główne przyczyny współczesnego kryzysu rodziny?

To sprawa niezwykle złożona. Myślę jednak, że bierze się on przede wszystkim z generalnego osłabienia więzi. Istnieje zależność między kryzysem więzi rodzinnych a słabnięciem więzi w społeczeństwie, postępującym kryzysem solidarności i odpowiedzialności. Cecha współczesnej cywilizacji, która jest równocześnie jej największym zagrożeniem, to wolność bez poczucia odpowiedzialności. Sięgając jeszcze głębiej, można stwierdzić, że zanika nawet poczucie ciągłości. Nasza kultura jest kulturą „orgiastyczną” (wedle niezbyt szczęśliwego wyrażenia Jacka Szymanderskiego) – zanika w niej poczucie ciągłości, a życie zaczyna się składać z serii osobnych przeżyć. Człowiek nastawiony jest na kolekcjonowanie luźnych doznań, a nie na rozwój. Zanika więc również poczucie tożsamości. Współczesny człowiek ma ogromne trudności z własną stałością, z dochowaniem wierności: trudno mu podejmować zobowiązania na dłuższy czas, ponieważ nie wie, kim będzie za dziesięć czy dwadzieścia lat. To chyba najgłębsza przyczyna tego kryzysu.

Oprócz tego przechodzimy od tradycyjnej kultury lokalnej do pluralizmu, mobilności, nadmiaru bodźców i informacji, który nas rozbija. Do tego dochodzą znane tradycyjne przyczyny, jak praca kobiet poza domem, bezrobocie i wiele innych problemów społecznych. Wydaje się, że nie jesteśmy jeszcze przystosowani do kultury pluralistycznej i nie nauczyliśmy się tworzyć pozytywnej kultury w nowych warunkach. Zdarza się czasem, że jakiś szlachetny człowiek w dobrej wierze broni modelu rodziny, ale... z XIX wieku.



A Pańskim zdaniem należałoby się już z nim rozstać?

Sądzę, że nie da się go dziś utrzymać. Potrzeba nam refleksji nad nowym modelem, również w obrębie chrześcijaństwa, które jak na razie jest konserwatywne i powtarza dawne schematy, zamiast poszukiwać nowych twórczych rozwiązań.

Podam najprostszy przykład: mamy w Polsce wielkie domy towarowe, do których ludzie udają się w niedzielę na zakupy – po mszy świętej, a czasem zamiast niej. Biskupi, zaniepokojeni tym nowym zwyczajem, protestują, podkreślając, że dzień święty należy święcić. Nie mówią jednak, jak to robić. W swoich wypowiedziach kładą nacisk jedynie na to, żeby nie pracować i nie oddawać się niestosownym rozrywkom, ale brakuje nam refleksji, co naprawdę oznacza świętowanie niedzieli. Trzymamy się więc pewnego schematu wartości autentycznych, ale pochodzących z dawniejszej sytuacji kulturowej. Tymczasem dzisiaj trzeba znaleźć dla nich inny, nowy sposób wyrazu.

Kolejny przejaw naszej degradacji to „spieniężanie świadomości”, czyli orientacja na zysk materialny i sukces, która zaczyna przesłaniać wszystko inne. Trzeba oczywiście zdawać sobie sprawę, że istnieje poważna przyczyna takiej sytuacji – niedoceniany w rzeczywistości problem bezrobocia. Nie tylko dlatego, że ludzie bezrobotni degradują się na różne sposoby, co ma daleko idące konsekwencje osobowościowe i społeczne, ale też ze względu na to, że w dzisiejszej rzeczywistości zaczyna dominować strach przed utratą pracy. Powiększająca się między przepaść bogatymi a biednymi wywołuje u tych ostatnich frustrację, wzmaganą również działaniem reklamy, która wytwarza sztuczne potrzeby i zmusza ludzi do ich zaspokajania. To rodzi niesłychany wzrost aspiracji.

Jest jeszcze jeden bardzo konkretny powód kryzysu rodziny. Otóż nie ma poważnej i szeroko rozwiniętej metody uczenia dzieci życia rodzinnego. Książek z tej dziedziny jest co prawda na rynku dużo, ale nie wiem, czy proponują one tak naprawdę jakieś perspektywiczne metody funkcjonowania rodziny. Brakuje też dobrych książek, które pomagałyby przygotować się młodym rodzicom do roli wychowawców. To nieprawda, że oni są przygotowani do rodzicielstwa z natury rzeczy. Muszą się niestety wiele nauczyć. Marzę o książ-



ce, która prezentowałaby rozwój człowieka od urodzenia do śmierci i która młodym ludziom dawałaby elementarną wiedzę o dziecku. Taka książka mogłaby być przygotowana albo w formie encyklopedii, albo jako zapis rozmów z rodzicami dzielącymi się swoimi doświadczeniami. Dzisiaj trzeba łączyć różne rodzaje literackie: precyzyjną uporządkowaną informację z dyskusją i świadectwem.

Jaki model rodziny sprawdziłby się wobec tego w dzisiejszych czasach? Czy miałby Pan jakąś swoją propozycję?

Taka propozycja musiałaby być bardzo złożona i uwzględniać wiele aspektów. Rodzina pozostawiona samej sobie jest absolutnie za słaba, żeby poradzić sobie ze wszystkimi problemami. Zespoły rodzin, mniej lub więcej formalne, mogą funkcjonować znacznie sprawniej. Jako przykład przywołam sytuację z okresu, kiedy moje córki były młodymi dziewczętami i przeżywały okresy buntu i problemów. Kiedy nie mogłem sam im pomóc, ponieważ wiedziałem, że wszystkie pouczenia pochodzące ode mnie zostaną przez nie odrzucone, sięgałem po pomoc takiej osoby, która w danym momencie była dla nich autorytetem. Z kolei córka naszych przyjaciół, która ze swoimi rodzicami o pewnych sprawach w żadnym razie nie chciała rozmawiać, przychodziła do nas i zwierzała się mojej żonie, do której miała zaufanie, ale z którą łączyły ją oczywiście całkiem inne relacje. Jeżeli więc istniałyby takie środowiska przyjaciół, znacznie łatwiej byłoby pokonywać problemy. W takich sytuacjach zresztą rodzice i dzieci nieświadomie uczą się od siebie nawzajem.

Czego nauczył się Pan od swoich dzieci?

Dzieci uczą rodziców wyzbywania się egoizmu, świadomego czy nie, czyli oczyszczenia miłości. Z dziećmi łączą nas z jednej strony silne związki uczuciowe, z drugiej – poczucie odpowiedzialności. Rozwijanie w sobie poczucia odpowiedzialności jest w życiu bardzo potrzebne. Pary, które nie mają dzieci, narażone są przeważnie na duże problemy osobowościowe. Widać zresztą czasem, jak bardzo zmienia się podejście takich ludzi do świata, gdy zdecydują się na adopcję. To jest wartość bycia rodzicami.



Poza tym dociekliwość, spontaniczność i mądrość dzieci to dla rodziców ważny dar. Kiedy dorastają i zaczynają od nas odchodzić, należy nauczyć się szanować ich własną drogę, nie potępiać ich z góry i nie narzucać im naszego zdania, mieć ogromną cierpliwość i umiejętność czekania oraz świadomość, że trudności często znikają z czasem same, a jeśli rozwiązanie ich będzie wymagało jakiegoś głębszego dialogu, to na ten dialog też musi przyjść właściwy czas.

To, że problemy czasem znikają same, uświadamiamy sobie często niestety dopiero po fakcie. Kiedy przeżywamy kryzys w relacjach z dziećmi, trudno wtedy na ogół umieć się zdystansować i podchodzić do tego bez emocji.

Z pewnością tak. Ale ja ożeniłem się w późnym wieku i kiedy pojawiły się trudności z wychowaniem dzieci, miałem już wiele doświadczeń związanych z życiem społecznym czy rodzinnym. Wiedziałem, jak ważne jest cierpliwe czekanie.

*

Czy na obecnym etapie życia ma Pan jakiś swój prywatny dogmat?

Wyznam przede wszystkim wielką ograniczoność ludzkiej wiedzy. Wszystko, co wiemy w dowolnej dziedzinie – na przykład teologii, kosmologii czy socjologii – jest znikome. To rozrastająca się i niezwykle cenna wiedza, ale to naprawdę bardzo niewiele. W konsekwencji powinniśmy więc być bardzo ostrożni w interpretowaniu wszelkich prawd – zarówno prawd wiary, jak i hipotez współczesnej nauki. Nie chodzi o jakiś agnostycyzm, ale o postulat lekko relatywizującej ostrożności. Trzeba bardzo uważać, żeby swoim przekonaniami, zarządzeniami, opiniom nie nadawać charakteru absolutnego, tylko stale odnosić się do rzeczy najbardziej podstawowych. Mogę więc powiedzieć, że na starość coraz bardziej odpowiada mi teologia wschodnia, która bardziej podkreśla, jak wiele nie wiemy, niż akcentuje to, co wiemy. Byłbym szczęśliwy, gdyby ogłoszony został nowy dogmat: o Tajemnicy...



Należy zwłaszcza wystrzegać się przekonania, że posiadanie pewnej wiedzy daje uprawnienia. Wiedza daje zobowiązania, a nie uprawnienia.

A jaka jest Pana podstawowa prawda w dziedzinie wiary? Wiele osób odkrywa w Piśmie Świętym jakieś „jedno zdanie”, które staje się w ich życiu szczególnie ważne...

Myśl, która towarzyszy mi przez całe życie, nie pochodzi, co ciekawe, z Pisma Świętego. Jest to zdanie wypowiedziane przez ks. Władysława Lewandowicza, które usłyszałem mniej więcej pięćdziesiąt lat temu w czasie rekolekcji akademickich: „Chrześcijanin to taki człowiek, który czuje się osobiście związany z Chrystusem”. Ta myśl stawia oczywiście wielkie wymagania i stwarza bolesne problemy, ale jeśli się znaczenia osobistego związku z Chrystusem nie rozumie, to można zastanawiać się, czy jest się naprawdę chrześcijaninem.

Kościół i chrześcijaństwo w miarę upływu lat pojmują coraz bardziej chrystocentrycznie. To zabawne, ale w pewnych środowiskach katolickich, zwłaszcza na Zachodzie, Kościół traktowany jest jako coś w rodzaju stowarzyszenia, które za patrona obrało sobie Jezusa z Nazaretu. Do Jego nauczania ludzie ci odwołują się w mniej lub więcej swobodny sposób, a poza tym funkcjonują jak zwykła organizacja. Oni w pewnym sensie przestali być Kościołem. Zdanie ks. Lewandowicza do nich się już nie odnosi.

W swojej książce Dlaczego i jak wierzę napisał Pan, że wiara to proces, nie stan. Czy w Pana myśleniu o wierze nastąpiły w ciągu życia jakieś zasadnicze przewartościowania?

Tak się złożyło, że w moim życiu nie było jakichś załamań czy zasadniczych zmian kierunku myślenia, lecz raczej proces ciągłego, może nie powinienem mówić: „pogłębiania”, bo człowiekowi trudno samemu ocenić, czy się pogłębił, czy też spłył, lecz rozwoju wiary, coraz lepszego rozpoznawania pewnych życiowych problemów, których wcześniej nie uświadamiałem sobie w wystarczającym stopniu – na przykład słabości własnych czy słabości innych ludzi. Kiedy czy-



ta się historie biblijne, ewangelie, historię chrześcijaństwa, widać, że życie ludzkie to przeplatanie się wierności i niewierności, autentyczności i samozakłamania... W Pismach jest to obecne wszędzie – i w takim samym stopniu istnieje w każdym człowieku.

Wiara to zarazem proces powstawania całkiem podstawowych, czasem strasznych pytań. Jeżeli Bóg stworzył świat, to dlaczego jest w nim tyle zła? Z takimi pytaniami musi zmagać się każdy z nas i nikt nie znajduje odpowiedzi. Można jedynie przyjąć postawę szacunku wobec tajemnicy.

Pojawiają się też pytania dotyczące sfery religii, które wynikają z nowej wrażliwości. Historia Objawienia to przecież historia okrucieństw. Stary Testament pełen jest przerażających opisów okropności, które w dodatku, jak się wydaje, „zarządzane” są przez Boga. Współczesny człowiek, nieprzygotowany do takiej lektury, nic z tego nie rozumie. Zadaje pytania. Nie należy przed nimi uciekać. Potrzebna jest więc nowa forma katechezy. Nie można dzisiaj czytać Starego Testamentu bez znajomości historii tamtych czasów, kultury, polityki, społeczeństwa. Na przykład ofiara Izaaka, która dla wielu ludzi jest wstrząsająca, musi być rozpatrywana w ówczesnym kontekście, kiedy to ofiary z ludzi były rzeczą normalną. Ona wchodzi w tamten kontekst, a zarazem go przekracza i unieważnia. Bóg najpierw żąda całkowitego posłuszeństwa i wierności, a potem wstrzymuje rękę Abrahama. To tylko jeden z przykładów, a jest ich w Biblii bardzo wiele. Sposób nauczania religii wymaga więc chyba głębokiej rewizji.

Rewizji wymaga również sposób wydawania Pisma Świętego. Dzisiaj nie powinno się już wydawać go tak, jak wydana jest Biblia Tyśiąclecia. Nie wolno też zachęcać do czytania go w takiej formie, gdyż jest prawie pewne, że będzie wywoływało zgorzienie lub rozumiane będzie opacznie. Stan wiedzy wśród ludzi katechizowanych jest bardzo niski, nawet przy wysokim poziomie religijnego zaangażowania. Tym ludziom wiedzę religijną trzeba przekazywać tak, jak by robiło się to pierwszy raz. Ich chrześcijaństwo bywa dziecinne, pomieszane z różnymi ideologiami. Brakuje powszechnej systematycznej formacji dorosłych. Laicyzacja jest więc nieunikniona.



Ktoś powiedział, że dowodem na istnienie Boga jest obecność na świecie ludzi „sprawiedliwych”. Jaki mógłby być Pana dowód na istnienie Boga?

Zamiast mówić o dowodach na istnienie Boga, wolalbym raczej powiedzieć, dlaczego wierzę. Otóż wierzę, bo uważam, że w człowieku jest coś, co domaga się sensu, ładu, kosmosu, celu – coś, co nie chce uznać przypadkowości i chaosu. Jest w nim też wiara w bezinteresowne dobro.

Istnieje też inna strona wiary – doświadczenia mistyczne. Ich liczba, jakość i charakter odślaniają coś bardzo głębokiego. Przez doświadczenia mistyczne człowieka rozumiem nie jakieś objawienia formalne – w formie głosu, postaci itp. – ale przeżycie czegoś niewytłumaczalnego. W ankiecie przeprowadzonej wiele lat temu przez „Tygodnik Powszechny” i „Znak”, zatytułowanej *Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę?*, znalazło się wiele wypowiedzi w rodzaju: „Byłem przeciętnym, dość obojętnym i niezbyt gorliwie praktykującym katolikiem. W pewnym momencie przeżyłem coś, co można by nazwać obecnością Boga, i od tej chwili cała orientacja mojego życia zmieniła się. Spadło to na mnie nieoczekiwanie i byłem tym nawet dosyć zażenowany”.

Powszechnie panuje przekonanie, że mistyk to wielki święty, który żył dawno temu, miał objawienia i napisał o tym księgę. Tymczasem takich było niewielu, podczas gdy doświadczenia, o których mówię, są, jak się wydaje, czymś znacznie częstszym i mają o wiele większy zasięg. One są znakami, które wskazują na Boga.

Wracając do wiary w dobro i sens: niekoniecznie musi być ona udziałem ludzi formalnie wierzących. Przykładem jest dla mnie Joseph Conrad, jego sposób przeżywania człowieka i świata. Na jego pisarstwie po części się wychowałem. Kiedy w książce *Dlaczego i jak wierzę* pisałem o „wierze podstawowej”, jego przede wszystkim miałem na myśli. Taki sposób patrzenia rozszerza zjawisko wiary nawet na ludzi, którzy mogą uważać się za ateistów.

A jak od „wiary podstawowej”, tej wiary w dobro i sens, może nawet w Istotę Wyższą, można przejść do wiary chrześcijańskiej? Czy w Pana wypadku zdecydowało o tym po prostu wychowanie?



W moim wypadku było odwrotnie. Najpierw miałem wiarę chrześcijańską – dosyć prostą, choć stosunkowo oświeconą ze względu na znakomitych wychowawców (byli to marianie, jezuita, benedyktyni, wszyscy „w bardzo dobrym wydaniu”). Na tę wiarę musiałem dopiero potem spojrzeć jak gdyby z zewnątrz. Znaleźć dla niej uzasadnienie i głębsze rozumienie.

Dzisiaj, po fali sekularyzacji, wielu ludzi przeżywa odwrotną sytuację: mają wiarę podstawową i nie potrafią przejść od niej do wiary chrześcijańskiej. Jak takie przejście może się dokonać?

Nie wiem. Prawdopodobnie u każdego człowieka inaczej. Ale z tym wiąże się ważny problem przekazywania chrześcijaństwa, już u samych podstaw, poczynając od małych dzieci. Otóż musi być to jednocześnie przekaz objawienia i refleksja naturalna nad człowiekiem, wykazywanie, że wiara i chrześcijaństwo oraz człowiek i rozumowanie naturalne to nie rzeczy odrębne i sprzeczne, lecz paralelne. Powiedziałbym, że paradoksalnie obowiązkiem każdego chrześcijanina w stosunku do innych ludzi jest posługiwanie się rozumem naturalnym, „niezaczepionym” wprost o Objawienie, oraz rozwój niezależnej etyki naturalnej. Czasem jest tak, że nie można komuś pomóc, przekazując mu Objawienie, bo on nie jest tego w stanie przyjąć. Można jednak przekazać mu dorobek naturalnej refleksji filozoficznej, pokazać, że niezależnie od tego, czy jest wierzący czy nie, powinien się rozwijać i stawiać ważne pytania. Takiej refleksji u nas brakuje. Odruchowo przyjmuje się, że etyka niezależna przeciwstawia się chrześcijaństwu, że to antyklerykalizm itp. Oczywiście w ujęciu materialistycznym nie bardzo wiadomo, na czym w ten sposób pojmwana godność człowieka miałyby polegać, ale trzeba zmuszać innych do współmyślenia.

A więc naturalna refleksja nad człowiekiem może być drogą do tego, żeby młoda osoba, która ma problemy, zaczęła głębiej rozumieć człowieczeństwo. Dopiero wtedy można pokazać, że refleksja chrześcijańska idzie w tym samym kierunku, tylko dużo dalej. Z etyki naturalnej można na przykład wywieść konieczność solidarności międzyludzkiej – jako warunku przetrwania cywilizacji, społeczeń-



stwa itd. Kiedy natomiast na ten sam problem spojrzysz z punktu widzenia chrześcijańskiego, dojdziemy do świętych obcowania, mistycznego ciała Chrystusa i tego, że wszyscy jesteśmy połączeni niewidzialnymi więzami i każdy, chcąc czy nie chcąc, oddziałuje na drugiego, choć w niewidzialny sposób.

Problem w tym, że gdy współcześnie mówi się o etyce niezależnej, na ogół ma się na myśli właśnie jej odmianę materialistyczną, czyli redukcję człowieka do wymiaru biologicznego. Czy nie prowadzi to do degradacji osoby ludzkiej?

Dzisiaj obserwujemy bardzo dziwne zjawisko – jednocześnie degradację człowieka i jego ubóstwianie. Degradację, bo brak głębszej podstawy, żeby uznać jego godność, aspiracje, powołanie, wymiar transcendentny (niezależnie od tego, co się pod tym słowem rozumie), zdolność do kontemplacji, solidarności z innymi. Z drugiej strony ten sam człowiek jest ubóstwiany w postaci pewnych idoli. Mounier napisał kiedyś, jak zmieniała się koncepcja bohatera – w średniowieczu był to święty albo błędny rycerz, potem, po długiej ewolucji, w XIX wieku – „kapitan przemysłu”, jak to się wtedy nazywało. Był to bohater, który rozwijał gospodarkę. Dzisiaj można powiedzieć, że bohaterem jest ten, kto w jakikolwiek sposób osiągnął sukces – jest znany i ma pieniądze. Kalesony zbuntowanego piosenkarza mogą być tak traktowane jak w średniowieczu relikwie świętego.

*

Co człowiek z Pana wiedzą o życiu ma do powiedzenia młodemu pokoleniu?

Myślę, że starszy człowiek w żadnym razie nie powinien przyjmować w stosunku do młodych postawy dydaktycznej. Młodych należy pytać i uważnie słuchać, zachowując postawę „krytycznej empatii”. To nasz podstawowy obowiązek. W Fundacji Kultury Chrześcijańskiej Znak posługujemy się w tym celu konkursami i ankietami, które dają znakomite rezultaty. Jakiś czas temu zorganizowaliśmy



konkurs dla licealistów „Dlaczego Auschwitz, dlaczego Kołyma, dlaczego Kosowo?”. Mieli napisać esej w formie listu do przyjaciela, odpowiadając na te trzy pytania. Prac przyszło niezbyt wiele, ale prezentowały tak znakomity poziom, że warto było przetłumaczyć je na pięć języków i zamieścić w Internecie. Zainicjowaliśmy też kilka innych konkursów, na przykład „Nasza niezwykła przyjaźń”, gdzie chodziło o opisanie przyjaźni między osobami, które tak bardzo różnią się między sobą, że głębsze zrozumienie między nimi powinno właściwie być niemożliwe – a jednak... Przeprowadziliśmy też ankietę o przemoc, która rozesłana została do kilku tysięcy szkół. Jej wyniki również były bardzo ciekawe i ciągle są ważne.

Od młodych trzeba wydobywać mądrość i pozwolić im działać. To jest potrzebne im i nam.

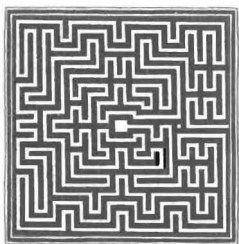
Skąd Pan czerpie swój optymizm wobec ogromu zła, jaki nas osacza?

To prawda, że ogrom zła jest przytłaczający. Coraz bardziej ma się ochotę wołać na alarm. A z drugiej strony Antoni Gołubiew twierdził, że w historii zawsze jest inaczej, niż się przewiduje, i nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku potoczą się dzieje. Trzeba więc trzymać się zdrowej zasady, że na przykład w Polsce możliwa jest nawet zmiana na lepsze! [śmiejch]

Bo cóż my naprawdę wiemy? Mamy naśladować Pana Jezusa. A co z tego wyniknie, wie tylko On. Trzeba starać się robić to, co jest dobre i potrzebne, nie trapić się za bardzo przyszłością. Człowiekowi potrzebny jest optymizm. Potrzebne jest mu też oparcie w dobrych i przyjaznych ludziach – trzeba się zatem samemu o to starać i szukać takich ludzi, aby móc zrobić coś razem.

Rozmawiali: Dorota Zańko i Jarosław Gowin

STEFAN WILKANOWICZ, ur. 1924, publicysta i działacz katolicki, długoletni redaktor naczelny „Znaku”, przewodniczący Fundacji Kultury Chrześcijańskiej „Znak”. Laureat nagrody dziennikarskiej im. bp. Jana Chrapka „Ślad” (2004).



Marta Tarabuła

Sztuka sformatowana

Siła, jaką ma w sobie zbliżenie twarzy artysty w kolorze, powoduje podstawienie jej w miejsce jego o wiele mniej fotogenicznych osiągnięć. Same prace autora odgrywają tu rolę zdecydowanie drugorzędną i na dobrą sprawę mogłyby wcale nie istnieć.

Siedemnaście lat temu odbyło się w Niedzicy seminarium klubu sztuki współczesnej SHS, zatytułowane *Autokomentarz artysty*. Temat, rzucony przez Wojciecha Włodarczyka – wschodzącą gwiazdę historii sztuki najnowszej – trafiał w sedno. Krytycy i historycy sztuki współczesnej już od dłuższego czasu czuli się niepewnie w swych rolach; poczucie kryzysu dyscypliny wzmagał dodatkowo pietyzm, z jakim przywykli traktować słowo pisane, zwłaszcza jeśli wyszło spod pióra artysty.

Artyści nie chcą milczeć – ostrzegał rok wcześniej Mieczysław Porębski. – Nie mając, jak się zdaje, zbyt wielkiego zaufania ani do własnej twórczości, ani do krytyki, ani tym bardziej do historyków i teoretyków sztuki, robią to sami i robią jak najlepiej. Kontynuując najbardziej wątpliwą z awangardowych strategii, prześcigają się w krzykliwości, arogancji, grafomanii, i to nawet wtedy, gdy mają coś do powiedzenia swym dziełem.



„Artysta” i „autokomentarz” to były pojęcia-klucze, pomiędzy którymi zawierał się cały obszar zagadnień – od biografii autora do kwestii samoświadomości sztuki. Mówiono więc o typowych dla awangard komentarzach normatywnych, manifestach, deklaracjach, programach i o romantycznych z ducha autokomentarzach podkreślających jedność autora i dzieła. Podnoszono Gadamerowską koncepcję „zamilknięcia obrazu nowoczesnego”, od którego mowę przejmuje artysta, i przypominano teorię *correspondance des arts*, pytając raz jeszcze, czy obraz można przełożyć na słowo. Rozważano niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą zastępowanie dzieła tekstem, a umiejętności patrzenia – skłonnością do czytania. Jedna tylko rzecz nie budziła wątpliwości: w centrum uwagi było zawsze dzieło sztuki. Nikomu nie przeszło przez myśl, że mogłoby chodzić o co innego.

Było to w czasach zamierzchłych. Telewizja miała tylko dwa programy, a właściwe rozumienie informacji polegało na umiejętności czytania między wierszami. Czytanie prasy przypominało zabawę w kotka i myszkę z cenzorem. Nazwiska sławnych osób kojarzyły się przede wszystkim z ich osiągnięciami, a nie z ich wyglądem. Wierżono, że słowo pisane podąża ścieżką myśli, a utrwalanie poglądów za pomocą znaków pisanych stwarza dogodne warunki do poddawania tekstu nieustannej analizie. Bronią czytelnika była intelektualna gotowość. Dotarcie do logiki wywodu, rozumienie argumentacji i metaforyki, odczytywanie znaczeń, zadawanie pytania o prawdę lub fałsz przedstawionych treści, obiektywizowanie myśli i wiedzy – te narzędzia racjonalnego odbioru były w powszechnym użyciu. W skansenie kulturowym, jakim dziś wydaje nam się PRL, media nie miały jeszcze odpowiednich środków, by zdobyć władzę nad ludźmi.

Te braki nadrobiliśmy w wolnej Polsce bardzo szybko i zrobiliśmy to, korzystając z najbardziej kompetentnych źródeł. Kulturę masową importowaliśmy prosto z Ameryki, w najczystszej postaci. Przejęliśmy ją z dobrodziejstwem inwentarza – ze wszystkimi konsekwencjami w dziedzinie opisywania rzeczywistości, informacji, nadawania znaczeń, definiowania prawdy, kształtowania gustów i wzorów zachowań. Wystarczyło jednego pokolenia, by okazało się, że wiedza oznacza przechowywanie w pamięci raczej obrazów niż słów.



Obserwujemy co dzień, jak obrazy bez większych trudności zdobywają przewagę nad słowami. Kultura przestała już współbrzmieć ze słowem pisanym; dziś, aby uwierzyć, trzeba zobaczyć, nie przeczytać. Centrum dowodzenia nowej epistemologii jest telewizja (ze swej strony prasa stara się również przypominać ekran telewizyjny). „Nie nadużywać niczyjej uwagi, dostarczać nieustających impulsów poprzez różnorodność, oryginalność, działanie i ruch. Najlepsze jest to, co można uchwycić w jednym kęsie. Podnieta wizualna jest substytutem myśli” – tych kilka prostych zasad, sformułowanych przez jednego z amerykańskich wydawców, odczuwamy dziś na własnej skórze. Kultura obrazowa przedstawia świat jako nieciągły, złożony z oderwanych fragmentów. Nie ma tam miejsca na dyskusję, wnioski, komentarze: obrazy kadrują rzeczywistość – i są faktami, których nie da się podważyć. Nie istnieją sprzeczności, bo faktom tym brakuje wspólnego kontekstu. Człowiek kultury telewizyjnej nie oczekuje zresztą analiz; wymaga języka oczywistego – chce prostych stwierdzeń i gotowych rozwiązań, a nie stawiania go oko w oko z problemami. Myślenie nie wypada w telewizji dobrze; jest mało widowiskowe. Telewizja nie odwołuje się do rozumu, zamiast opinii woli wywoływać emocje. Natura tego medium nie znosi sprzeciwu; w arbitralny sposób nadaje wszystkiemu „kształt telewizyjny”: każdą dyskusję czy prezentację idei jest w stanie zamienić w występ estradowy. Chcąc nie chcąc, dyskutanci przyjmują rolę, dyskusja staje się pojedyńkiem wizerunków. Kryterium prawdy zamienia się w kryterium wiarygodności: czy dana osoba potrafi wywrzeć wrażenie, że jest szczerą? Decydującym testem prawdziwości nie jest doświadczenie, lecz odpowiednio wytworzony nastrój. Ostatecznie i tak chodzi przecież o wizualną atrakcyjność; podstawowym formatem kultury telewizyjnej jest rozrywka.

Co ciekawe, ten sposób przedstawiania świata przenosi się także poza ekran. Przesłanie telewizji – „świat jest sceną” – zdaje się obowiązywać także w rzeczywistości. Dziś niekoniecznie argumentuje się za pomocą zdań; argumentem bywa wygląd, atrybuty sukcesu, siła spojrzenia, rodzaj uśmiechu, cięta riposta. Decyduje „styl”, a najważniejszą wiedzą wydaje się sztuka autoprezentacji. Granica między show-biznesem a rzeczywistością staje się coraz trudniejsza do rozpoznania.



Jakie postawy przyjmują dzisiaj artyści wobec kultury, która stała się jedną wielką areną dla show-biznesu? Co oznacza dla nich władza mediów? Czy przyjmują jej warunki i traktują serio obietnicę dotarcia do szerokiej publiczności? Jak radzą sobie z wymogiem „ogłębności”?

Wyjąwszy tych, do których stosuje się reguła „nie ma Pana u nas, nie ma Pana w ogóle” (podana bez ogródek przez jednego z dziennikarzy nowej generacji w rozmowie ze znanym artystą) i którzy odmawiając udziału w kulturze show-biznesu, wybierają istnienie w coraz węższym kręgu tzw. sztuki wysokiej – postawy pozostałych można podzielić z grubsza na trzy grupy, które w różnym stopniu wiążą się z zagadnieniem autopromocji. Osoby z grupy pierwszej czują się w kulturze show-biznesu jak ryby w wodzie. Opanowały doskonale panujące tu zasady, z których najważniejszą jest zasada doboru właściwego opakowania, czyli sztuka wywierania wrażenia. Autorzy ci mniej się troszczą o sprostanie wymogom swoich dyscyplin niż wymogom stawianym przez sztukę sprawnego sprzedawania swoich produktów. To oni brylują na salonach władzy, zaludniają kolorowe magazyny i programy telewizyjne, gdzie sztuka – podobnie jak polityka, sport, edukacja – jest tylko miłym dodatkiem do show-biznesu. Zainteresowanych odsyłam do artykułu *Sztuka udawania sztuki* zamieszczonego niedawno w „Rzeczpospolitej”; autorka zadała sobie trud wyliczenia tych osób z nazwiska. Jest to grupa wprawdzie coraz liczniejsza, lecz szczególnie warta uwagi. Dość wspomnieć jako przykład postać Józefa Krzysztofa Oraczewskiego, który od lat z sukcesem wprowadza w życie swoją strategię sukcesu w mediach, tak że pismo pod tytułem „Sukces” nie waha się nazwać go „ambasadorem polskiej sztuki współczesnej”, autorem „instalacji przestrzennych, które przyniosły mu ugruntowaną pozycję międzynarodowego autorytetu w tej dziedzinie sztuki”, a prezydent Kwaśniewski – odznaczyć Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1999). To przykład autopromocji w czystej postaci; prace tego autora odgrywają tu rolę zdecydowanie drugorzędną i na dobrą sprawę mogłyby wcale nie istnieć.

Grupa druga to ci, którzy wybierają kulturę masową jako materiał czy też jako pole gry. Jak dalece ta gra bywa dwuznaczna i ile jest



w niej krytyki kultury, a ile mniej lub bardziej udanej autopromocji, to temat wart odrębnej analizy – tu tylko sygnalizuję go ogólnie. Grupa ta posługuje się narzędziami pożyczonymi z dziedziny show-biznesu; chętnie stosuje zwłaszcza metodę znaną w marketingu po nazwą *teasing* – polegającą na drażnieniu odbiorców. Interesującego materiału do badań mogłyby tu dostarczyć na przykład ostatnie prace Zuzanny Janin, gdyby nie to, że o *umarłych* wypada mówić wyłącznie w superlatywach.

W tym miejscu interesuje mnie postawa trzecia, a raczej pytanie, czy i w jaki sposób jest ona możliwa. Wyobraźmy sobie artystę o niekwestionowanej pozycji w świecie sztuki, pozycji popartej wieloletnią pracą i wysoką wartością artystyczną dzieł. Co w tym wypadku oznacza akces do kultury show-biznesu? Jakie są jego konieczności – i jakie przynosi skutki? Interesujący jest przypadek Leona Tarasewicza.

„Swój udział w widowni można zdobyć tylko przez dawanie ludziom tego, czego oni pragną” – mówi niepisane prawo świata mediów. Widownia nie jest zainteresowana sztuką. Sztuka ma opinię niemiedialnej; jest dziwaczna, trudna, poważna, nudna i w ogóle nie wiadomo, o co chodzi. O wiele ciekawszy jest człowiek – ma jakąś twarz i jakieś ubranie, ma życie osobiste, urządził sobie kuchnię i łazienkę, lubi to i tamto, wyjeżdża na wakacje, uprawia jakieś hobby. Może to być sławny sportowiec, polityk, artysta – wszystko jedno. Siła, jaką ma w sobie zbliżenie jego twarzy w kolorze, powoduje podstawienie jej w miejsce jego o wiele mniej fotogenicznych osiągnięć. Zamiast zajmować nasze umysły pojęciami abstrakcyjnymi, media proponują konkretną osobę jako obraz w oczach widowni. Dostarczają w ten sposób symbolu, ogniskowej, które widzowie przetwarzają w sympatyczny i nieodparty obraz ich samych. Działają na emocje; lubimy tych, których styl życia jest dopasowany do naszych wyobrażeń. Tych, którzy dają nam to, co chcielibyśmy dostać. Aby trafić do szerokiej widowni, osoba taka musi jednak zostać poddana drobnej operacji w sferze znaczeń; w profesjonalnym języku nazywa się to „formatowaniem”. Musi przyjąć kształt, w którym publiczność zechce ją oglądać. Ma działać zgodnie z wymogami medium. Zawartość treściowa zostanie przetworzona tak, by najlepiej odpo-



wiała wymogom kultury medialnej, która jest w stanie przekształcić każdy temat w atrakcyjne widowisko rozrywkowe.

Jak zamienić artystę w zdarzenie medialne? Leon Tarasewicz ma wiele atutów: egzotyczne pochodzenie, charyzmatyczny wygląd, niecodzienne hobby, adres Stacja Walili, a przy tym uczniów w stołecznej ASP i międzynarodową sławę. Aby stworzyć wizerunek atrakcyjny dla szerokiej widowni, wystarczył drobny zabieg: inne, bardziej wyraziste rozłożenie akcentów. Leon Tarasewicz w wersji „sformatowanej” to prawdziwy macho, mężczyzna silny i niepokorny, a przy tym outsider, wieczny buntownik – niepokodzony ze światem, uciekający od zgłęku cywilizacji do swojej samotni na łonie natury, by tam oddawać się hodowli rzadkich okazów ptactwa, rybołówstwu i innym prawdziwie męskim zajęciom: Robinson naszych czasów. Z wysokonakładowej prasy dowiemy się, jakie miał dzieciństwo (trudne, ale szczęśliwe), gdzie przeżył niezapomniany dzień (w Jerozolimie), jaki jest jego wymarzony cel podróży (las tropikalny w Brazylii) i co zawsze zabiera na wyprawę (kamizelkę). Spotkamy go, z nieodłącznym bażantem na ramieniu, w „Marie Claire”, gdzie zdradza nam, jakie są jego drobne przyjemności w życiu. Podziwiamy – na okładce pisma „Świat łazienek i kuchni” – jak zręcznie zongluje cebulką w swojej rustykalnej kuchni. Jako sławny międzynarodowy artysta, Leon Tarasewicz gotuje w czarnym podkoszulku z logo MOMA. Wiemy już, jakie potrawy przygotowuje najczęściej (skrzydełka w prodiżu) i jakie elementy wyposażenia kuchni uważa za niezbędne (kieliszki).

Sztuka, o ile w ogóle się przy okazji tych występów pojawia, jest gdzieś daleko w tle, jako egzotyczny kontekst, przywoływany jakby tylko po to, by podkreślić, że po pierwsze, liczy się prawdziwe życie, a po drugie, że „jego obrazy można zobaczyć w galeriach na całym świecie”. Nic dziwnego: to artysta, a nie jego dzieło ma być przedmiotem podziwu. Wywiadom towarzyszą więc przede wszystkim zdjęcia artysty. Artyście, niczym znak firmowy, na zdjęciach towarzyszą egzotyczne ptaki.

Jeśli ten obraz zadomowi się w zbiorowej pamięci – jeśli na dźwięk hasła „Leon Tarasewicz” widownia przypomni sobie obraz artysty z ptakiem na ramieniu – to znaczy, że właśnie została wykreowana



nowa marka. Jak się wydaje, byłaby to pierwsza marka z dziedziny sztuki aktualnej. Marka budowana zresztą według najnowszych zasad reklamy: dziś nie reklamuje się już produktów za pomocą ich zalet, reklamuje się związany z nimi styl życia. To on „sprzedaje” produkt, odwołując się do upodobań i marzeń tych, którzy mieliby go kupić. Przesłanie marki musi skutecznie przemówić do konsumenta.

Jak donosi „Viva!” w zamieszczonej w „Alfabcie towarzyskim” relacji z wernisazu wystawy w Zamku Ujazdowskim (opatrzonym zdjęciami Autora w towarzystwie Ministra Kultury oraz przedstawicieli sponsorów),

Artysta pobił rekord w liczbie przyjętych gratulacji – kolejka chętnych, by ucisnąć mu dłoń, była niebywale długa. Licytowano się w niej, kto ma już prace artysty, a kto nie. Jedna z wielbicielek jego talentu próbowała obcasem odkuć fragment dzieła. Widziano ją, jak z kolorową grudką w torebce opuszcza Zamek.

Sukces.

Kilka stron wcześniej, w dziale „Wydarzenia”, przykuwa oko sensacyjny tytuł *Podeptać sztukę*, opatrzony zdjęciem nóg (artysty?) w czerwonych spodniach. „Jeśli ktoś chce podeptać obraz – zachęca „Viva!” – zapraszamy do Zamku Ujazdowskiego w Warszawie. Zwłaszcza że będzie to obraz wybitnego malarza, Leona Tarasewicza”.

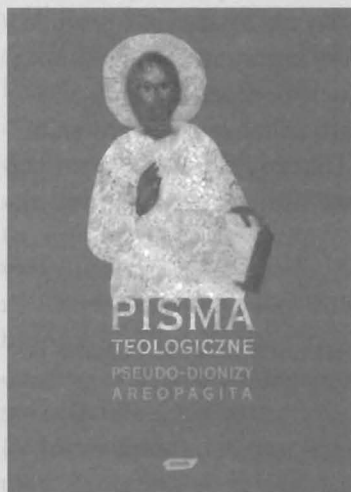
Show-biznes ma swoje prawa: sprawy nudne nie przyciągną uwagi publiczności. Ale prawdą jest także, że forma, w jakiej są wyrażane idee, ma wpływ na to, czym one się stają.

Mówiła Hannah Arendt:

Taki stan rzeczy (...) może być trafnie nazwany kulturą masową; jej promotorem nie są ani masy, ani ci, którzy je bawią, ale ci, którzy próbują rozbawić masy tym, co kiedyś było autentycznym obiektem kultury, czyli wmówić im, że *Hamlet* może być równie zabawny jak *My Fair Lady*, a jednocześnie odegrać rolę kształcącą. (...) Jest wielu wielkich autorów przeszłości, którzy przetrwali całe wieki niepamięci i zaniedbania; wciąż jednak pozostaje otwarte pytanie, czy zdolają przetrwać rozrywkową wersję swoich dokonań.

Format rozrywkowy wyklucza pewien rodzaj treści. *Lost in translation* – brzmi oryginalny tytuł ostatniego filmu Sophii Coppoli, nie

znak



Pseudo-Dionizy Areopagita Pisma teologiczne

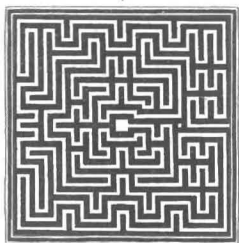
Po raz pierwszy w jednym tomie przekłady najważniejszych pism teologicznych wybitnego teologa i filozofa żyjącego na przełomie V i VI wieku i zaliczanego do grona neoplatoników – jednej z najbardziej tajemniczych postaci wśród pisarzy wczesnochrześcijańskich.

W książce znalazły się traktaty: *Imiona boskie*, *Teologia mistyczna*, *Hierarchia niebiańska* i *Hierarchia kościelna*. Jak pisze w przedmowie ks. Tomasz Stępień, „świat widziany oczami Pseudo-Dionizego jest kosmosem, czyli porządkiem i ładem wszystkich elementów, które do niego należą”.

bez powodu obsypanego Oscarami. Podczas operacji „formatowania” sztuki do postaci zdarzenia medialnego pewne rzeczy mogą się gdzieś po drodze zgubić. Jakie? Zgadnij, koteczku, jak mawiał mistrz, który żył w czasach zamierchłych, kiedy słowo podążało jeszcze ścieżką myśli.

Tekst wygłoszony w marcu 2004 podczas sesji „Od represji do promocji”, która odbyła się w Galerii Miejskiej Arsenal w Poznaniu.

MARTA TARABUŁA, historyk sztuki i krytyk, prowadzi galerię „Zderzak” w Krakowie. Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Res Publice”, „Magazynie Artystycznym” i „Magazynie Sztuki”.



Piotr Kłodkowski

Dziecko

Jak pogodzić ideę wychowania milionów ukochanych jedynaków z ideą solidarności i poświęcenia dla ogółu? Nie, nie w teorii, jako że tutaj wszystko jest możliwe, ale w praktyce?

To było w samym centrum Pekinu, niedaleko Placu Tiananmen. Rodzina składała się z pięciu osób: dwójki starszych, prawdopodobnie dziadków, dwójki młodych w wieku około trzydziestu lat, zapewne rodziców, oraz małego, kilkuletniego, pyzatego chłopczyka. Chłopczyk był pysznie ubrany. Niby cesarski syn nosił żółtą kurtkę i spodnie ozdobione haftowanymi smokami, a w ręczce trzymał nitkę latawca, zresztą też o kształcie smoka. Wydawał się niezadowolony. Co chwilę przystawał, tupał nóżką, grymasił, krzywił się, a w końcu rozplakał. Mama od razu pochyliła się nad synkiem, wyjęła szybko z torby jakieś łakocie i włożyła mu do pyzatej buzi. Zmartwiony tato wziął z rączki chłopczyka nitkę latawca i zwrócił się, jakby z zapytaniem, w stronę dziadków, którzy coś mu wyjaśniali, pokazując pobliski stragan. Tato szybko podbiegł w tamtą stronę i po chwili zjawił się z powrotem z kupioną zabawką. Z takim całkiem dużym czerwonym samochodzikiem. Postawił go przed chłopczykiem, a następnie razem z dziadkiem zaczęli bawić się na



chodniku, puszczając samochodzik jeden do drugiego. Chłopczyk przestał płakać. Zainteresował się nową zabawką, przykucnął i dołączył do wspólnej zabawy. Mama i babcia wyglądały na szczęśliwe. Teraz babcia trzymała nitkę latawca, mama zaś co chwilę wsadzała do buzi chłopczyka małą porcję słodyczy. Obie się uśmiechały i kiwały z uznaniem głowami. Bo czyż jest coś wspanialszego od ukochanego dziecka? Zwłaszcza gdy to synek, który nie może się już spodziewać rodzeństwa i który wobec tego będzie chowany niby mały cesarz, żyjący obok innych małych cesarzy, znających wyłącznie w teorii takie słowa jak „brat” czy „siostra”. Polityka jednego dziecka w Chinach jest dość skuteczna. Zwłaszcza w dużych miastach.

Para młodych ludzi, zakochanych i poślubionych sobie, powinna niezwykle rozsądnie analizować problem swojego przyszłego potomstwa. W tym przypadku wszelka spontaniczność może być ogromną przeszkodą. Niektórzy dodają jeszcze, że to wręcz nieodpowiedzialność, którą należy surowo karać. Bowiem sam fakt ukończenia 23. roku życia i zamążpójścia wcale nie daje prawa do swobodnej prokreacji. Wszystko musi być dokładnie zaplanowane, przedyskutowane z odpowiednimi władzami i wreszcie potwierdzone pieczętkami z zakładu pracy męża, żony i, co najważniejsze, Komitetu Planowania Urodzeń. Dopiero po uzyskaniu takich gwarancji, czyli po otrzymaniu przydziału na urodzenie dziecka, można poważnie myśleć o macierzyństwie. Jeżeli, nie daj Boże, nie dopełni się wszelkich formalności, to żaden szpital nie przyjmie ciężarnej kobiety na oddział i nie wystawi ważnej książeczki zdrowia. Poza tym istnieją przecież odpowiednie limity urodzeń obowiązujące w poszczególnych rejonach. Tak więc kolejna ciąża, która nie mieściłaby się w rejonowym planie prokreacji, byłaby wręcz nielegalna. Nielegalna nie w tym sensie, że kobieta zostałaby zabrana siłą do kliniki aborcyjnej, ale w tym, że jej macierzyński upór najprawdopodobniej kosztowałby ją i jej męża utratę pracy. Poza tym urodzone nadplanowo dziecko nie otrzyma zameldowania, bez którego nie da się korzystać z usług medycznych, nie można też posłać go później do przedszkola czy szkoły. Po prostu urzędowo nie istnieje.

Zresztą, jak tu myśleć o przedszkolu, szkole bądź szpitalu, kiedy samemu nie ma się pracy i każdy wydatek na dziecko wydaje się



wówczas zbyt duży? I jak pokazać się na ulicy z nielegalnym dzieckiem, kiedy każdy z sąsiadów i urzędnik z Komitetu Planowania Urodzeń patrzy na nie krzywym okiem? I w ogóle jak pozwolić mu żyć z piętnem nielegalnie urodzonego?

Niektórzy zatem dochodzą do wniosku, że dziecko to zbyt wielki ciężar. Pod każdym względem. Nawet jeśli urodzi się zupełnie legalnie, zgodnie z wszelkimi dyrektywami Komitetu, to i tak koszt jego przyszłego wychowania i edukacji może wydawać się dla wielu głodnych sukcesu Chińczyków całkowicie niewart wyrzeczeń.

Kilkakrotnie rozmawiałem z L., młodą, świetnie wykształconą mieszkanką południowej części kraju. L. jest mężatką od kilku lat. Mąż, jak sama opowiada, doskonale sobie radzi jako obiecujący menedżer i gwarantuje obojgu wysoki standard życia. L. także myśli o karierze i wcale nie zamierza oddawać się macierzyństwu. „Nie planujemy dziecka ani teraz, ani w przyszłości”, oświadcza bez skrępowania. Czcigodna tradycja, wielopokoleniowa rodzina, starożytny kult przodków czy nawet delikatne nalegania rodziców, którzy radzi by kiedyś ujrzeć wnuka, nie mają żadnego znaczenia. „A idee miejscowego socjalizmu albo – czy ja wiem – może niektóre koncepty przewodniczącego Mao?”, dopytuję z lekką ironią. L. chyba wyczuwa ironię, ale odpowiada, jak sędzę, zupełnie szczerze: „A kogo to dzisiaj obchodzi? Chcemy wreszcie żyć na przyzwoitym poziomie, a nie poświęcać się dla jakiejś tam idei, wodza bądź tradycji, tak jak kiedyś moi rodzice i dziadkowie”. Filozofia niby zrozumiała, a nawet niespecjalnie szokująca dla Europejczyka, ale mimo wszystko dość nowatorska w Chinach, nawet jeżeli uwzględnić gigantyczne zmiany w ideologii i ludzkiej świadomości w ciągu ostatnich lat. Bo przecież według starej tradycji konfucjańskiej, jakoś tam obecnej w chińskiej wersji komunizmu, to grupa, rodzina bądź całe społeczeństwo są o niebo ważniejsze od jednostki, która w takiej sytuacji powinna się w pewien sposób poświęcać dla ogółu. Obecnie jednak ta zasada zaczyna być coraz częściej podważana. Może niekoniecznie oficjalnie, czyli bez specjalnego rozgłosu, bez tworzenia jakiejś ideowej otoczki czy filozoficznego usprawiedliwienia. Ale tak w praktyce. W decyzjach, że żyjemy tylko dla siebie. Zamożnie i bezdzietnie. Bez kłopotów i stresów.



Oczywiście nie oznacza to zaraz, że tego rodzaju praktyka jest czymś powszechnie dominującym. Większość małżeństw bynajmniej się nie zniechęca i nadal pragnie synka czy, znacznie rzadziej, córeczki. I to mimo narzucanych odgórnie surowych reguł państwa, które zdecydowanie stara się ograniczyć zbytni przyrost naturalny. Problem jednakże w tym, że akurat postulowana polityka „jednego dziecka” jest również częścią społecznej rewolucji, powoli, lecz nieuchronnie zmieniającej dotychczasową tradycję. To, co skrajnie indywidualne, wygrywa z tym, co społeczne. Bo jak pogodzić ideę wychowania milionów ukochanych jedynaków z ideą solidarności i poświęcenia dla ogółu? Nie, nie w teorii, jako że tutaj wszystko jest możliwe, ale w praktyce?

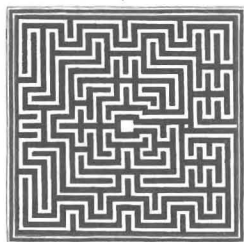
Codziennie więc każdy mały chłopczyk staje przed nie lada dylematem. W domu rodzice, a jeszcze częściej dziadkowie, kupują mu bez przerwy a to kaczuszkę, a to samochodzik, a to dużego kolorowego latawca, najlepiej znacznie większego od tych, które mają koledzy. Później pojawiają się gry komputerowe, rowery, a nawet skutery. Chłopcykowi absolutnie niczego nie brakuje, któż bowiem spośród rodziców i dziadków odmówi zaplanowanemu i w pełni legalnemu synkowi i wnukowi? Jakże powiedzieć „nie” całej generacji chłopczyków-jedynaków, którzy nie bez powodu nazywani są „małymi cesarzami”? Ale w przedszkolu i w szkole jest inaczej. Tam nadal panuje szlachetna zasada skromności, szacunku dla innych i pierwszeństwa społeczności przed jednostką. Pani wychowawczyni podczas posiłku pyta zatem dzieci, które z nich weźmie jako pierwsze najmniejszą porcję ryżu, najmniejsze jabłko czy brzoskwinie? Kto się poświęci dla innych i zyska szacunek nie tylko samej pani, ale też swoich kolegów i koleżanek? Któż wykaże się prawdziwą dzielnością i oddaniem, jakie zawsze cechowały prawdziwych bohaterów? Pokusa jest bardzo wielka. W domu przecież najbardziej smakowite kąski mama lub babcia szykuje właśnie dla synka i wnuczka, zachęcając do jedzenia i wcale nie pytając o to, czy chciałby cokolwiek dla kogokolwiek poświęcić. A w przedszkolu czy w szkole największa porcja ryżu, największe jabłko czy brzoskwinia są na końcu. To znaczy dla tych, którzy nie chcą się poświęcić, nie chcą zyskać szacunku pani oraz uznania swoich kolegów i koleżanek. I wcale nie myślą, żeby zostać prawdziwym bohaterem.



Cóż zatem czynić? Czy zyskać szacunek oraz pochwałę i chodzić przez kilka godzin głodnym, czy też zjeść porządną porcję (choć i tak mniejszą niż u mamy i babci), ale za to stać się napiętnowanym jako człowiek nieużyteczny, niepotrafiący żyć w społeczności i gardzący patriotycznym poświęceniem? Decyzja jest niełatwa. Najlepiej jednak wybrać drogę pośrednią. Nie zgłaszać się pierwszym, no ale też nie czekać do samego końca, na największą porcję. Być na przykład ósmym albo jedenastym, a tak od czasu do czasu zgłosić się chociażby jako trzeci, a nawet drugi, żeby zyskać przychyłność pani. Bo przecież szkoła nie tylko dostarcza wiedzy, lecz uczy, jak należy postępować. A to bardzo cenna nauka. I jakże przydatna później, w dorosłym życiu. Trzeba zatem, jako jedyny i w pełni legalny synek i wnuczek, korzystać z życia ile się da, bez większych skrupułów, pamiętając zarazem, żeby swego statusu ukochanego jedynaka za bardzo publicznie nie obnosić, a wręcz przedstawiać siebie jako szlachetnego członka konfucjańskiej społeczności.

Tak do końca nie wiadomo, jak długo jeszcze miliony chłopczyków będą egzystowały w tych dwóch różnych światach, mało do siebie przystających. Jak długo eksperyment z małymi cesarzami w rodzinie i w szkole będzie w miarę skuteczny, to znaczy z jednej strony będzie zmuszał do ograniczenia dietności w rodzinie, z drugiej – będzie skłaniał do propagowania solidarności i poświęcenia dla innych w szkole (a może raczej: do udawania, że jest się solidarnym i gotowym do poświęceń). Kto wie, czy pewnego dnia coś pomnożonego przez dziesiątki milionów nagle nie pęknie, nie huknie i nie zmieni wszystkiego? Samych fundamentów chińskiej cywilizacji, która stanie się bardziej cesarska, tyle że w zupełnie inny sposób aniżeli sto lat temu? Bo to przecież eksperyment niespotykany w historii świata. Podobnie jak i jego konsekwencje.

PIOTR KŁODKOWSKI, ur. 1964, dr orientalistyki. Wydał m.in.: *Wojna światów? O iluzji wartości uniwersalnych* (2002). Adiunkt w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, wykładowca Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie.



Małgorzata Łukasiewicz

Buty też są ważne

Czy opowieść o Schlemihlu jest przypowieścią o kondycji nowego człowieka? Taki człowiek – niedorajda i pechowiec – przybywa na świat, w obce dla siebie miejsce, nie ma żadnego rozeznania, musi dopiero ustalić jakąś hierarchię wartości, i to samemu, w trybie prób i błędów.

Entuzjaści romantyzmu twierdzą, że romantyzm otworzył bramy swobodnej ekspresji osobowości. Niechętni uważają, że w ten sposób doprowadził do zatarcia miar i kryteriów. Entuzjaści powiadają, że romantyzm przywraca do czci postponowaną przez oświecenie fantazję. Sceptycy pod fantastycznym kostiumem węższą zapaszek moralitetu.

Na początku opowieści Adelberta von Chamisso Piotr Schlemihl schodzi ze statku, który przywiózł go nie wiadomo skąd i dokąd, w każdym razie w obce miejsce, gdzie czeka go nowe życie, i udaje się do rezydencji niejakiego pana Johna. Ma ze sobą list polecający, ubiera się starannie, usiłuje zrobić jak najlepsze wrażenie. Ale czuje się obcy, nie rozumie, o czym rozprawia towarzystwo zebrane u pana Johna, dziwi się, że mówią poważnie o lekkich sprawach, a lekkim tonem o poważnych. A już bardzo się dziwi, gdy okazuje się, że jeden z gości, niepozorny typek w szarym surducie, potrafi w jednej



chwili spełnić wypowiedziane przygodnie życzenia. Ledwo ktoś się skaleczy, szary gość wyciąga z kieszeni angielski plaster, gdy potrzebna luneta, wyjmując z kieszeni lunetę, gdy potrzebny dywan, by towarzystwo mogło się wygodnie rozsiąść na trawie, wyciąga z kieszeni dywan, a potem jeszcze namiot i trzy konie z rzędem. Piotr Schlemihl dziwi się pojemności tej kieszeni, ale jeszcze bardziej dziwi się, że prócz niego nikt z obecnych się temu nie dziwi, wszyscy przyjmują niezwykle zdarzenia jako rzecz najzwyczajszą w świecie.

Chamisso ułożył *Przedziwną historię Piotra Schlemihla* w Kunersdorf (czyli dzisiejszych Kunowicach) w 1813 r., kiedy stary świat się rozpadł, nowy dopiero miał powstać, a on sam „już albo jeszcze” nie miał ojczyzny, jak się potem wyraził. W 1792 r., w wieku jedenastu lat, opuścił miejsce urodzenia, zamek w Boncourt w Szampanii, bo rodzina udawała się na emigrację. Wstąpił do pruskiej armii i walczył z Napoleonem. Wiersze pisał najpierw po francusku, po niemiecku zaczął pisać ok. 1802 r. i wtedy też zamiast otrzymanych na chrzcie imion Louis Charles Adélaïde przybrał imię Adelbert. Pierwszym towarzyskim i literackim środowiskiem, do którego przyłączył się, byli berlińscy romantycy, bywalcy salonu Rahel Levin. Tam najpewniej Chamisso zetknął się z określeniem *schlemihl*, które w jidisz znaczy tyle co „nieudacznik, niedorajda, pechowiec”. Krążył między Francją a Niemcami, gościł u pani de Staël, tłumaczył literaturę francuską na niemiecki i niemiecką na francuski. Potem powziął pasję przyrodniczą, uczestniczył w wyprawie dookoła świata, publikował naukowe studia, był kustoszem ogrodu botanicznego. Podobno do końca życia nie wyzbył się obcego akcentu i pewnych francuskich znamion składni. Zaznał obcych krajów, języków, sytuacji, zajęć i wszystkich zmian, jakie towarzyszyły tamtemu burzliwemu przełomowi wieków.

Piotr Schlemihl wstawił się niezwyklej transakcją: sprzedał szaremu gościowi własny cień w zamian za tzw. mieszek Fortunata, czyli sakiewkę, z której można bez końca czerpać złoto. Zyskał bezmierne bogactwo, ale bynajmniej nie zyskał szczęścia: bardzo szybko okazuje się, że paradując bez cienia, wzbudza niechęć, wzdąrdę i przerażenie ludzi. Dzieci się z niego wyśmiewają, zacny leśniczy nie chce oddać córki za żonę osobnikowi bez cienia. Swoim niewyczerpanym



bogactwem Schlemihl może sobie zapewnić rozmaite uciechy i luksusy, ale po ciemku, w ukryciu. Nie ośmiela się wychodzić z domu w biały dzień. Brak cienia, jednym słowem, kładzie się cieniem na jego życiu – i nie jest to jedyny paradoks tej historii.

Czego dotyczy transakcja z szarym człowieczkiem, co właściwie skazuje Schlemihla na samotność i poczucie obcości?

Najpierw, gdy bohatera z pełną kabzą, a bez cienia spotykają pierwsze nieprzyjemności, wydawałoby się, że można to uznać za dobrą wiadomość: najwyraźniej ludzie cenią u bliźnich nie tylko bogactwo, ale coś jeszcze. Może nazwisko, urodzenie, dobre imię, wszystko to, czego brak nuworyszom? Wkrótce jednak konsekwencje utraty cienia okazują się straszne, chyba za straszne jak na tak pocziwą przyczynę, a przede wszystkim okazują się nieodwracalne. Może transakcja z szarym gościem zapowiada nadejście nowej epoki, epoki wykorzonego indywidualium bez zaplecza tradycji. Może chodzi o wzmożoną w burzliwych czasach dotkliwość przemijania, odrywania się od przeszłości, zapominania; w *Przedziwnej historii* narrator skarży się, że nie umie wskrzesić pewnego minionego okresu swego życia: „barwy, które go wówczas ożywiały i one jedynie na nowo ożywić by mogły, zblakły już we mnie, a kiedy pragnę odnaleźć w swej piersi to, co niegdyś tak bardzo ją poruszało: cierpienia i szczęście, i słodkie upojenie, próżno uderzam w skałę, z której żadne żywe źródło już nie tryska”. A może chodzi o bycie sobą, o romantyczne Ja, na które nie ma miejsca w uporządkowanej wspólnoty ludzi? O rozbuchaną indywidualność, która zaraz okaże się innością i inni ludzie nie będą tego tolerować? Może wreszcie tracąc cień, Schlemihl wszedł w zaklęty krąg melancholii? W każdym razie puste miejsce powstałe po stracie korci do coraz to nowych domniemań. *Przedziwna historia Piotra Schlemihla* była wielkim sukcesem, w Niemczech i na świecie. Także inspiracją, literacką i intelektualną: E. T. A. Hoffmann niebawem napisał o człowieku bez odbicia w lustrze, Andersen baśń o cieniu, Hofmannsthal baśń o kobiecie bez cienia, C. G. Jung analizę archetypu cienia, Tomasz Mann esej o Chamissie.

Cień, coś najbardziej nieuchwytnego i wieloznacznego. Nie istnieje bez światła, ale potrzebuje też ziemi, solidnej materii, podłoża. Każdy go ma. Sobowtór i karykatura. W swojej opowieści Chamisso



uruchamia wielkie widowisko, wielki balet, wielkie igrzyska z udziałem, rzecz można, największych par aktorskich: światła i mroku, prawdy i tajemnicy, zła i dobra, braku i daru.

Sprzedaż cienia to dopiero początek. Nieznajomy w szarym surducie obiecuje pojawić się za rok i dzień z nowym interesem. Schlemihl ma nadzieję, że zdoła cofnąć transakcję, zwrócić czarodziejski mieszek i odzyskać cień. Każdy by tak chciał, tylko że diabeł nigdy się na to nie zgodzi. I ten też się nie zgadza, proponuje natomiast, że owszem, cień zwróci, ale za to weźmie duszę. A na to znów nie zgadza się Schlemihl. Nie tylko się nie zgadza, ale radykalnie zrywa kontakty z kusicielem. Wybiera samotność. Po tej decyzji nawiedza go jeszcze sen, wizja pięknego świata, gdzie „nikt nie miał cienia, a co dziwniejsze, wcale to źle nie wyglądało”. Potem rusza swoją drogą. Za resztę pieniędzy z czarodziejskiego mieszka sprawia sobie buty, które mają mu służyć w samotnej drodze przez życie, i okazuje się, że są to buty siedmiomilowe. Tym razem partnerem transakcji jest „piękny chłopak o jasnych kędziorach”, który życzy mu szczęścia. I to życzenie poniekąd się spełnia: „wykluczony wskutek poprzedniej mej winy ze społeczności ludzkiej, zostałem w zamian złączony z przyrodą, którą zawsze tak lubiłem, ziemia stała się dla mnie wspólnym a bogatym ogrodem, studia przyrodnicze miały odtąd nadać kierunek i moc memu życiu, a celem jego stać się miała nauka”. O dalszych losach Schlemihla możemy jeszcze powiedzieć, że faktycznie wędrował po świecie i badał przyrodę, że za główną kwaterę obrał sobie, wzorem chrześcijańskich pustelników, jaskinię w pobliżu Teb, że wkrótce przekonał się, iż nawet w siedmiomilowych butach nie zdoła przemierzyć całego globu, bo nie przeprawi się przez oceany, wreszcie odkrył, że siedmiomilowe buty czasem niosą zbyt szybko, więc trzeba na nie nakładać „hamujące papucie”.

Historia Schlemihla jest i odwróceniem, i powtórzeniem historii Fausta (tak jak opowiedział ją Goethe, bo i Chamisso napisał swego *Fausta*, a ściślej fragment, jedną scenę, przedstawiającą Fausta w rozmowie z Dobrym Duchem i Złym Duchem, zakończoną samobójstwem). Schlemihl w przeciwieństwie do Fausta nie sprzedał diabłu duszy. Jeżeli Faust w pierwszym monologu skarży się na pieskie życie uczonego i chciałby uciec w przygodę, to Schlemihl po strasznych

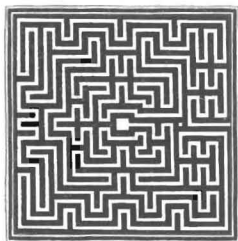


przejsiach właśnie z ulgą oddaje się nauce. Schlemihl w swojej grocie ma psa pudła, który na powitanie obskakuje go jak wiadomy pudel z *Fausta*, a wabi się Figaro. Obaj drugą część życia i tragedii spędzają jako obieżyświaty.

Czy opowieść o Schlemihlu jest przypowieścią o kondycji nowego człowieka, człowieka nowych czasów? Taki człowiek – niedorajda i pechowiec – przybywa na świat, w obce dla siebie miejsce, nie ma żadnego rozeznania, nie wie, czym się kierować, musi dopiero ustalić jakąś hierarchię wartości, i to samemu, w trybie prób i błędów. Stopniowo przekonuje się, że ważne są pieniądze, ale dusza jeszcze ważniejsza, że ważne jest to, co nas łączy z ludźmi, i to, co nas od nich różni, a przede wszystkim, że nie da się mieć wszystkiego naraz, że zawsze coś jest za coś i że często nie wiemy nawet, co tracimy. Wychodzi z tej przygody bezdomny i samotny, ale bynajmniej nie bezduszny. Wychodzi w butach dwóch szybkości. W ostatecznym rozrachunku zamienił cień na buty. Butami też trzymamy się ziemi.

Adelbert von Chamisso, *Przedziwna historia Piotra Schlemihla*, przeł. Witold Wirpsza, Warszawa 1961; *Reise um die Welt mit der Romanzofischen Entdeckungsexpedition in den Jahren 1815-1818*, w: tenże, *Werke in zwei Bänden*, t. 2, Leipzig 1981.

MAŁGORZATA ŁUKASIEWICZ, tłumaczka, eseistka, autorka monografii *Robert Walser* (1990).



Halina Bortnowska

* * *

17 grudnia. Dokładnie dzisiaj przypada rocznica końca nowohuckiego strajku (1981). A może nie całkiem dokładnie? Może to był jeszcze szesnasty? Te dni – wszystkie, poza trzynastym grudnia – połączyły mi się w jeden wieczór i jedną noc. Cały czas było na wpół ciemno – pomieszczenia fabryczne i tak zawsze oświetlane w taki sam sposób. Tego wieczora udało mi się skorzystać z prysznicza i właśnie układałam się gdzieś na jakimś strychu, na trasie do anteny radia „Wolna Nowa Huta” – może i był tam jakiś styropian? Wtedy alarm. Półprzytomna biegnę z powrotem na dół, zapominając nawet o swoim strajkowym niezbędniku, chwytam tylko nagłaśniacz – narzędzie podstawowe. Ktoś pomaga mi trafić na walcownię, w której zbierają się ci, którzy chcą dalej strajkować. Są znajomi studenci, którzy się tutaj schronili, jest ktoś z komitetu strajkowego. Tłum ludzi, ale oprócz mnie jeszcze tylko dwie czy trzy kobiety. Organizujemy się w małe grupy po 10 osób – aby każdy miał kogoś, kto zauważy, zapamięta, przekaże, co się z nim stało. Biorę udział w „konferansjerce”: co mamy śpiewać. Pieśni religijne przeplatają się z patriotycznymi i piłkarskimi. Przydaje się nagłaśniacz, który już wcześniej pozwolił mi mówić do otaczającego kombinat wojska. To się teraz powtórzy, gdy w wejściu do tunelu pojawią się żołnierze z wycelo-



waną w nas bronią. Jak przedtem, tak i teraz mówię do nich spokojnie, wciąż podkreślając naszą polską i ludzką wspólnotę. I znów śpiewamy – niezliczoną ilość razy to samo. *Święty Boże... Dopóki Wisła płynie...* Mocny męski chór. Mijają godziny. Stoimy. Któraś z kobiet mdleje, gdzieś ją wynoszą. Dowódca wojska pożyczą od nas nagłaśniacz, ale nie umie się nim posługiwać, mało co można zrozumieć. Więc znów śpiewamy. Pada swego rodzaju ultimatum: jeśli sami nie wyjdziemy, to zaczną nas po kolei wynosić siłą. Czekać na to, czy nie? Przyczyniam się do decyzji: tak, wychodzimy – i ruszam naprzód z pierwszymi szeregami. Robię to, bo zdaję sobie sprawę, że czekanie na wynoszenie doprowadzi do wybuchu, bójki, pewnie strzelaniny. Wystarczy, że mnie któryś z tych wojaków szarpnie i sytuacja będzie nie do opanowania. Wciąż mam nagłaśniacz. Przypominam o obowiązku pilnowania się wzajemnie. Wchodzimy do tunelu. Niebiesko w powietrzu. Gaz? Nie, to dym z wypalonych przez żołnierzy papierosów. Jakiś hutnik idzie ze mną w parze. Na schodach rozdzielają nas: on może wrócić do swojego zakładu, ja – do suki (dowiaduję się potem, że z wiadomością o mnie dotarł do parafii i do mojej matki).

Tak się zaczyna internowanie. Suka zawozi nas (same kobiety) do jakiegoś aresztu. Przerażony stary klawisz wykrzykuje: nic dla was nie mam, ani koców nie ma, ani picia, nic! Jedna ogromna przyczą. „Tu czysto – pociesza nas – możecie się położyć”. Potem odwożą nas na Mogiłską jakimś autobusem. Tam już regularna procedura.

*

Tak to sobie wspominam – po 23 latach. W środę uprzytomniła mi te wspomnienia audycja Klubu Trójki: z Jerzym Sosnowskim i prof. Antonim Dudkiem z IPN. Właściwie dotyczyła ona rocznicy wydarzeń w kopalni „Wujek”.

Wracam do niektórych pytań, aby pomyśleć nad nimi od nowa:

– Co z naszym głodem sprawiedliwości? Nie wiem, jak to przeżywają rodziny ofiar i ich środowisko. Tam kolejne procesy sprawców wciąż od nowa poruszają to, co tkwi w pamięci, i przynoszą kolejne frustracje. Z tamtejszej perspektywy inaczej widać właściwie



wszystko – na pierwszym miejscu przetrwanie siły czy sił osłaniających sprawców. Wciąż są i działają gwaranci ich bezkarności. Ale w szerszej skali: nie wiem, czy głód sprawiedliwości istnieje, czy nie został stępiony. Może nastąpiła utrata wrażliwości na niespełnienie? Sprawiedliwości zabrakło w sądach, ale brak jej też w samym losie: bezrobocie, niepotrzebność. Nie sposób też nie widzieć czy raczej nie odczuwać, że w rozliczaniu za przeszłość – zwłaszcza po tak długim czasie – tkwi także jakieś niebezpieczeństwo: coś już przez tyle czasu musiało się zagoić, poukładać, przyszli na świat nic nie wiedzący nowi ludzie, oni już są dorośli.

– Co innego ze sprawą odszkodowań dla ofiar. Niepojęte – nie do przyjęcia – że należna, właściwa pomoc nie nadeszła. W dodatku pada teraz pytanie: kto, to znaczy która Rzeczpospolita powinna płacić? Tak to widzę, że nie jest to dziś dług historycznego bytu „PRL”, za który nikt nie może odpowiadać. To jest dług bezprzymiotnikowej i nienumerowanej Polski, wynikający nie z winy, lecz z jej związku z poległymi.

– Kto jest osobiście odpowiedzialny za ich śmierć? Procesy z coraz większą trudnością mogą opisać jakąś strukturę formalnej odpowiedzialności, nadać ją płynnemu żywiołowi faktów, które da się jeszcze ustalić lub są ustalone według kryteriów historycznych (dla sądu to ustalenia zbyt mało konkretne!). Wspominając myślę, że zawsze obok odpowiedzialności za rozkaz istnieje odpowiedzialność osobista, indywidualna – na pewno moralna (za czyn), a nieraz także karna.

Swoją drogą, dlaczego wcale nie starałam się dowiedzieć, jak to wyglądało w Nowej Hucie od tamtej strony. Dlaczego nie strzelano do nas, tak jak w kopalni „Wujek”? Czy ten oficer, który pożyczal nagłaśniacz, miał taki sam blankietowy rozkaz jak tamci? I nie skorzystał z niego, bo – na przykład – nie był tchórzem? A może na tym terenie ktoś nieco inaczej realizował stan wojenny?

Inaczej: bardziej teatralnie, spektakularnie, symbolicznie? Stosując lepszą socjotechnikę? Może jeszcze warto się dowiedzieć? Profesor Dudek twierdzi, że są o Hucie dwie książki wydane przez IPN. Więcej powiedziałaby film o nowohuckim strajku. Ktoś mógł-



by się z niego czegoś nauczyć, jak swego czasu hutnicy z *Perły w koronie*.

Sen

Długa – jakby bez końca – amfilada pokoi. Pustych albo zastawionych meblami. Ważne, że w jednych jest dzień, w innych noc, ciemno albo pali się jakaś lampa. Ktoś mnie szybko prowadzi, trzymając z góry za ramię, dużą silną dłonią popycha naprzód. Jestem mała. Chyba jestem sierotką, jak z bajki. Mam na sobie dość długą, szaro-niebieską spódniczkę z kontrafałdą z przodu. (Wiem na pewno, że kiedyś taką miałam naprawdę, tylko jej nie pamiętam. A w ogóle gdzie się podział kolor szaro-niebieski? Kolor różnych rzeczy mojej mamy). Skończyły się pokoje. Teraz idziemy wąską uliczką między ogródkami. Tu gdzieś mieszkają wujostwo Harry’ego Pottera. Może to też Zielone Wzgórze? Furtki, ścieżki wśród szpalerów ligustru, bukszpanu i zmarzniętych różyczek. Portaliki, schodki. Ale żadne drzwi się nie otwierają. Opiekun obraca mnie wkoło i znika. Teraz ja jestem dorosłym opiekunem. Prowadzę gdzieś dziewczynę z niemowlęciem; prowadzę ją długim korytarzem oświetlonego pustego wagonu. Wiem, że w swoim nowym życiu ma się znaleźć rano, aby nie zaczynać pobytu od nocy, w której może dopaść ją rozpacz. Siedzę obok niej, odgradzam ją od okna, pociąg pomalutku rusza, migają światła.

Jeszcze o nieproszonej psychoanalizie

Awantura wokół profesor Magdaleny Środy, minister-pełnomocniczki do spraw równego statusu mężczyzn i kobiet. Znam profesor Środę z różnych tzw. paneli dyskusyjnych. Zrobiła na mnie wrażenie osoby bardzo pewnej swej znajomości katolicyzmu. I zawsze gotowej postawić diagnozę.

Dermatolog nie powinien spontanicznie komentować pryszczu na czyjejś twarzy. Nieproszona psychoanaliza jest, moim zdaniem,



jeszcze gorszym nietaktem niż zwykła nieproszona diagnoza lekarska. Szafowanie diagnozami jest chyba sprzeczne z etyką, a na pewno z etykietą. Etykieta przestrzega przed postępowaniem, które psuje relacje. Nikt nie lubi komentowania, a zwłaszcza publicznego wyświechtania motywów swego postępowania. Poddanie się psychoanalizie to poważna osobista decyzja (nie każdy potrafi w niej wytrwać, gdy analiza dotknie newralgicznych punktów). Psychoanalityczne interpretacje mogą być szokujące, nad wyraz bolesne.

Tak zareagowało wielu katolików na sugestię, że przemoc domowa – krzywda kobiet i dzieci – wiąże się z kultem Boga jako Ojca. Prof. Magdalena Środa mimochodem rzuciła podobną uwagę w rozmowie z jakimś dziennikarzem. Widzę w tym przykrą nierozwagę – właśnie taki terapeutyczny nietakt wobec „zbiorowego pacjenta” (jeśli taki pacjent da się pomyśleć). Napisałam to w krótkim komentarzu dla „Gazety Wyborczej”. Poruszyłam w nim jeszcze sprawę bardziej zasadniczą, do której chcę wrócić, ponieważ pozostaje aktualna, będzie nadal praktycznie ważna także wtedy, gdy o sztokholmskiej wypowiedzi pani minister Środy dawno zapomnimy.

Nie wierzę w rozzuchwalający wpływ kultu Boga-Ojca na mężów i tatusiów. Może jest on dostrzegalny w świetle feministycznych aksjomatów, ale nie w świetle dnia codziennego. W praktyce wychowawczej, wręcz we własnym życiu, widzę zjawisko poniekąd odwrotne: wierzące dziecko wyobraża sobie Boga jako podobnego do tatusia. Otacza Go tą samą emocjonalną aurą i to nawet wtedy, gdy już w zasadzie słyszało i wie, że Bóg jest inny. Na przykład: zdaniem katechetki, „Bóg może wszystko”, a tatuś na pewno nie. Ale jednak... Dlaczego Boga nazywamy Ojcem? Bo tak nas nauczył Jezus Chrystus. Sam tak do Niego mówił i nam też pozwolił, nawet nakazał. Lecz ojcostwo Boga pozostaje może na zawsze przestłonięte (ale i przybliżone) nadawanymi Mu przez nas rysami ziemskich ojców.

W pewnym momencie życia zdałam sobie sprawę, że „mój” Bóg na pewno ma różne sprawy ważniejsze ode mnie i tak musi być – podobnie jak mój ojciec-żołnierz w 1939 roku musiał najpierw zająć się wojną, a nie swoją rodziną. To nie był brak miłości (walczył przeciw i za nas), ale na jego serdeczną bliskość i udział w codziennych troskach nie można było liczyć. Raczej trzeba było być samodzielnym



nym i zaradnym dzieckiem przez solidarność z nieobecny. Może dlatego wyrosłam raczej na „asystentkę” Pana Boga – jedną z licznego *poolu* – a nie na pieszczoszkę. To nie tragedia, choć pewnie zubożenie. Ale co z dziećmi ojców uciekających się do przemocy? Bóg podobny do nich budzi strach albo wstręt i wstyd za Niego. Lub przeciwnie: to licencja na to, żeby stać się również człowiekiem przemocy.

Nigdy dość uwagi, troski, wysiłku, by ten proces wychowywania przyszłych złych wychowawców nareszcie przerwać. Oczywiście, chodzi o przerwanie w konkretnych wypadkach, o rodziny, którym można dopomóc, albo o osoby, które z takiej rodziny nie do uratowania dałoby się wyprowadzić. Nie ratuje się rodziny, pozwalając komuś w niej nadal tkwić i niszczyć. Kościół powinien uczestniczyć w działaniach przeciw przemocy (i jej drugiej stronie: bezradności). Współdziałanie Kościoła miałoby wielkie praktyczne znaczenie. Zamiast bezpośredniego współdziałania wystarczyłoby już działanie równoległe (skoro wiele rzeczniczek praw kobiet mimochodem lub naumyślnie podważa szanse współpracy – i *vice versa*: w wielu kręgach katolickich funkcjonuje stereotyp zaperzonej feministki).

Nie mogę się oprzeć myśli, że najważniejszym i najbardziej niezastąpionym działaniem Kościoła powinno być oczyszczanie obrazu Boga zniekształconego przez złe doświadczenia rodzinne. Bóg Ewangelii jest całkowicie innym Ojcem. Żadne imię – a więc i to imię – nie wyraża wprost tego, Kim On Jest. Od dobrego ziemskiego ojca też jest całkowicie inny. Niepojęty.

Nad sprawą Małgorzaty N.

Taki sam sens niepisania nazwiska, jak w przypadku Andrzeja S., choć tu nie wymaga tego prawo. Ale może jakiś komputer nie znajdzie tak oznaczonego tekstu, dla którego ta sprawa jest pretekstem. Z wydarzenia, które dotknęło M. N., bierze się energia, która każe znowu rozmyślać nad teczkami i nad tym, co się z nich wydobywa.

Swego czasu przyglądałam się powstawaniu koncepcji kłamstwa lustracyjnego – jako czynu podlegającego karze (gdy nie były wów-



czas, a więc nie są teraz karalne czyny, których kłamstwo dotyczy). Pracowali nad tym prawnicy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Nie wszystkie zastrzeżenia wobec lustracji zostały odparte: pozostaje wciąż problem samooskarżenia jako elementu procedury lustracyjnej. Czy nie za łatwo sprawa ta jest pomijana?

K. znalazł w komputerze moją notatkę (z 96 roku). Rodzaj podsumowania ówczesnych myśli. Sądzę, że warto ten tekst tu przenieść. Aktualność o wiele wcześniejszych spostrzeżeń musi dawać do myślenia.

To już osiem lat temu jako członek Komitetu Helsińskiego uczestniczyłam w kilku konferencjach międzynarodowych, poświęconych kwestii lustracji i wykorzystywania materiałów z archiwów służb bezpieczeństwa.

Ostatnie z tych spotkań odbyło się w Tiranie. Mieliśmy tam doradzić Albańczykom, czy i jak podjąć lustrację i udostępnić archiwa. Dało się tam zauważyć ciekawe zjawisko: Albańczycy liczyli na lustrację jako na środek mogący uzdrowić atmosferę polityczną w kraju, ale poza nimi zwolennikami lustracji byli tylko Niemcy, trzymający się linii pastora Gaucka. Wszyscy inni przedstawiciele dawnej opozycji, byli więźniowie – od Ameryki Łacińskiej po Bułgarię – przeświadczeni byli, że także w Albanii lustracja nie da żadnego pozytywnego skutku, raczej zniszczy tkankę społeczeństwa, niż doprowadzi do oczyszczenia. Zgadza się to z tym, co swego czasu – w wykładzie poświęconym denazyfikacji – podkreślił profesor Jerzy Holzer: a mianowicie, że przy wysokim stopniu uwikłania bardzo znacznej części społeczeństwa w struktury autorytarnego reżymu, nie można wprowadzić ostrych sankcji wobec tych osób, bo operacja zabilaby pacjenta, społeczeństwo dyskryminujące tak wielu winnych byłoby chore, niezdolne do funkcjonowania. Wielka ostrożność jest tu wskazana. Zmuszanie ludzi do samooskarżeń jest wątpliwe moralnie i prawnie; z pewnością naruszałoby praworządność i prawa człowieka, na których restytucji nam przecież zależy.

Z drugiej strony poczucie bezkarności dawnych zbrodni jest też źródłem udręki i zwątpienia. Wielu obawia się, iż zbrodnie są tak długo tolerowane właśnie dlatego, że służby specjalne podległe MSW nie zostały dostatecznie oczyszczone i osłaniają kolegów winnych zbrodni. Trudno też pogodzić się z faktem, że wielu najciężej winnych nie ma i nigdy nie miało żadnych obciążających tezek, lustracja nic nie ujawni. Nie ma w historii ani cienia sprawiedliwości. Czy bezkarność dobrze zabezpieczonych, starannie przygotowanych do działania po grubej kresce naprawdę nie była problemem dla panów przy „okrągłych stołach”? Bezkarność wręcz prowokuje do bezczelności, do monstualnych nieaktów... Czy nie dałoby się oszczędzić nam przynajmniej niektórych z nich?



Później jeszcze kilka razy słuchałam wypowiedzi pastora Gaucka. To ważne, bo on sam czy też on i jego środowisko to byli jedyni, jakich znam, poważni i zarazem praktycznie doświadczeni zwolennicy lustracji w oparciu o „teczki”.

Przykład niemieckiej praktyki lustracyjnej był ważny, ale jego znaczenie redukowałam fakt, że Niemcy lustrowały się w kontekście zjednoczenia podzielonego kraju, a więc był dla tego procesu silny, a w gruncie rzeczy zewnętrzny punkt oparcia.

U nas takiego punktu nie było i nie ma. Zresztą i ten niemiecki niezupełnie był i na pewno nie jest tym, za co go brano (szczerze lub nieszczerze). Rzecz, jak myślę, w tym, że lustracja zakłada cezurę, wyraźny koniec określonej gry. Tak chciano widzieć porządkowanie życia niemieckiego po upadku Hitlera i to też ostatecznie nie wyszło. Jeszcze mniejsze były szanse po upadku Muru.

Gry się kończą, bo są przedsięwzięciami umownymi, pozostającymi pod władzą reguł i założonej z góry logiki. Nie wiadomo, kiedy nastąpi koniec gry, ale warunki jej zakończenia są znane i ustalone. Nie byłoby szachów, gdyby sytuacja MATA nie była jednoznacznie zdefiniowana. Albo też: Czarny Piotruś w mojej garści, sam jeden. I nie potrzeba żadnej lustracji.

Historia nie jest grą, choć niekiedy tak, na wzór gry, widzimy i analizujemy jakieś jej wycięte fragmenty. Ale to złudzenie. W historii nie ma cezur ani jednoznacznie przynależnych pionków. Nie ma rozgrywających ani kart, którymi się gra. Nie ma sędziego i zawodników. „To” się kończy tylko dla spadających z planszy czy znoszonych z boiska wprost do kostnicy.

Kłamstwo lustracyjne jest popełniane w toku historii podobnie jak czyn, który ma ukryć. Niesie w sobie ciężar i niejednoznaczność tego czynu, i własną, nową, kolejną dwuznaczność (w starciu z interesem, może ze złą wolą, może z fałszem lustratorów). Zamiar Mazowieckiego (na czymkolwiek dokładnie polegał) był nierealny, jeśli „gruba kreska” miała być jakąś formą cezur, rozpoczęcia nowego rozliczenia. Im więcej powstaje „po kresce”, tym silniejsza motywacja, by to „zlustrować” – obejrzeć i osądzić na tle tego, co było przedtem, czego mamy rejestr. Wprawdzie pokrzywiony, pełen luk i omamów, jak w oku o chorej siatkówce – ale przydatny. Jego wiarygodność mierzy się dzisiejszą, aktualną przydatnością. Niestety, ta



przydatność liczy się bardziej niż krytyczna świadomość, kim byli autorzy dokumentów i po co je tworzyli kosztem praw człowieka i międzyludzkiej solidarności. Oczywiście, można by ten skazony rejestr badać w poszukiwaniu nieznanych zasług i krzywd do wynagrodzenia. Czy tak jest on czytany przez uznanych za „ofiary”? Oczywiście, są w tym gronie gracze w dzisiejszą grę. Czy można na ich lekturze polegać? Kto był jednoznacznie jedynie i wyłącznie „ofiara”? Kto kim jest dzisiaj, w kolejnym rozdziale będącym nieoddzielnym, dalszym ciągiem wszystkich poprzednich, zapisanych i niezapisanych?

Profesor Kieres ma pod swoją opieką, władzą i strażą kilometry akt, drobny fragment pełnego rejestru, który w kategoriach ziemskich nie istnieje. Czyny i rozmowy są spisane w małej części tylko. Bóg jeden wie wszystko. Wierzę, że Jego Wiedza jest pełna miłosierdzia i On to miłosierdzie w jedyny, sobie właściwy sposób spaja ze Sprawiedliwością.

Tu, w powierzonych sobie aktach, pastor Gauck i jego następczyni oraz nasz profesor Kieres mają kapowniki diabła. Na oko to papierki czy mikrofilmy. W rzeczywistości – nagromadzenie trujących radioaktywnych odpadów historii. Na Boga, niech tego dobrze pilnują! Raczej za dobrze, za twardo niż zbyt wyrozumiale. Wcale nie wiadomo, komu diabelskie kapowniki mogą posłużyć do dalszego kształtowania historii.

Susan Sontag

Przykro mi, że dotąd nie czytałam żadnej powieści Susan Sontag. Teraz chciałabym to naprawić. Słuchając zamieszczonego w „Gazecie Wyborczej” tekstu Sontag *Pisanie jako czytanie*, poczułam bliskość autorki. Wcale nie często się zdarza, że ktoś dzieli się przeżyciem tak intymnym, jak to, czym jest czytanie albo pisanie. To jakby pająk nagle stał się zdolny powiedzieć, czym jest snucie. Zwykle mamy przed sobą gotową lub jeszcze rozbudowywaną sieć i milczącego pająka.

A Sontag o swoim snuciu mówi, dokonując ewokacji tak bardzo skutecznej, że widzę ją podczas tego najprzyjemniejszego czytania



własnego tekstu, kiedy jest już co sprawdzać i cyzelować, kiedy pora usuwać niekonieczne.

W dniu śmierci była niewiele młodsza ode mnie. Zdążyła przedtem zadomowić się w radości pisania jako czytania. Z tego się cieszę. Wzrusza mnie jej współczucie dla niewidomych pisarzy. Myślę, że jednak nie docenia ich możliwości czytania tego, co napisali. Jestem pewna, że K. S., choć dopiero przymierza się do twórczego pisania, nie widząc, jednak ogląda swoje teksty, osłuchuje je – bada palcami, myślą, szeptem swego elektronicznego „kajecika”.

Ja nie mam tych zdobywanych od dziecka umiejętności. Tak jak Sontag chcę, muszę widzieć swój tekst. Choćby wyraz po wyrazie – widzieć i tą drogą słyszeć. Jednak, na przekór śmieciom plątającym się w polu widzenia, uparcie praktykować pisanie jako czytanie.

A powieści Sontag chciałabym wysłuchać, tęskniąc za transem prawdziwego czytania, przynajmniej wysłuchać. Może którąś sama nagrała? Może zrobił to ktoś idący wiernie za jej czytaniem-pisaniem?

Terror przypadku

Planetoida może być brudnym zlepkiem lodu i śniegu albo może być żelazna. Jak pięść Golema. Zgniecie całe kilometry sawanny albo kartofliska i pola gryki (ledwie co obsadzone i obsiane), albo prastare winnice i gaje oliwne, albo katedrę-meczet w Kordobie; albo... Czy wtedy, w piątek 13 kwietnia 2228, ktoś zdecyduje się wydać spóźnioną wojnę kosmicznym figlarzom – *war on the terror of chance?*

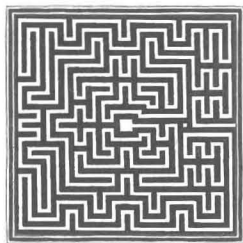
Szczyt fali twardy, jak szkliwo, lśniący od nagromadzenia dzikiej energii. Obłą góra stężalej wody sunie na łożyskach warczących i dudniących prądów; podcinana wznoszącym się dnem wali się na ląd, na ludzi, z których nie wszyscy zdążyli zacząć uciekać – na ludzi sławnych i pewnych swego i na najmniejszych z małych, o których nikt nie wie, bo nie liczono ich dokładnie, tylko tak, jak się ocenia populację zajęcy albo lisów, które miały swoje jamy; teraz ich zwłoki tkwią



w kotłującym się odmęcie i wypłyną jako szczątki albo zostaną rozbełtane tam, gdzie żywioł otrząskuje i wygładza kamienie.

Nie wygramy wojny z żywiołem przypadku. Ale chyba moglibyśmy policzyć się dokładniej. A także jakimś czynem-wydatkiem potwierdzić wagę każdego ludzkiego istnienia. Słyszałam, że istnieją już systemy ostrzegania przed falami powodowanymi przez trzęsienia ziemi. Nie ma ostrzeżeń tam, gdzie mało liczą się ludzie.

HALINA BORTNOWSKA, publicystka, działaczka społeczna, animator grupy „Wirydarz” przeciw antysemityzmowi i ksenofobii (<http://wirydarz.org>), a także warsztatów dziennikarskich Stowarzyszenia Młodych Dziennikarzy POLIS; członek zespołu miesięcznika „Znak”.



Ks. Wojciech Bartkowiec

Ubóstwo w epoce konsumpcjonizmu

Za mało mówi się i pisze o tym, że chrześcijańskie pojęcie ubóstwa zawiera w sobie głęboką treść antropologiczną – jest bowiem w istocie synonimem stanu wewnętrznej wolności człowieka.

Ubóstwo, ubogi – to terminy niesłychanie istotne dla zrozumienia Ewangelii Jezusa Chrystusa. Błogosławieństwo ubogich otwiera Kazanie na Górze; w liturgii śpiewamy często: „Biedak zawołał i Pan go usłyszał”; ślub ubóstwa należy do triady rad ewangelicznych wyznaczających standard chrześcijańskiej doskonałości. Jednocześnie znaczenie terminu ubóstwa nieustannie migruje – i to nie tylko w wyniku zmian cywilizacyjnych. Niewystarczająco precyzyjnie rozróżnia się zwłaszcza ubóstwo jako *problem* i jako *ideał* życiowy. Brak pogłębionej refleksji na ten temat skutkuje narażaniem się na prosty zarzut: skoro ubóstwo należy do rad ewangelicznych, dlaczego upieramy się, by pomagać ubogiemu w wydostaniu się z jego stanu? Rozumiem, że „problem ubóstwa” definiuje się raczej w kategoriach ekonomicznych, natomiast „ideał ubóstwa” realizuje się w sferze psychiczno-duchowej. Nie zawsze jest to chyba jednak takie proste. Wymieńmy kilka konkretnych kwestii do rozstrzygnięcia.



1. Wielkim wyzwaniem dla tradycyjnego rozumienia ideału ubóstwa stał się ambiwalentny charakter konsumpcjonizmu. Otóż przyszło nam żyć w takim momencie dziejowym, w którym nie da się obronić jednostronnie krytycznego osądu konsumpcji indywidualnej i zbiorowej. Ogromny postęp cywilizacyjny, którego świadkami i beneficjentami jesteśmy, jest możliwy dlatego, że upowszechnienie konsumpcji stało się niezwykle mocnym bodźcem rozwojowym gospodarki. W świetle prawideł ekonomicznych konsumpcję można więc dzisiaj interpretować w kategoriach postawy prospołecznej. Pesymizm konsumentów to znak w najwyższym stopniu niepokojący dla menedżerów, ekonomistów i polityków, to niewątpliwym zwiaśtun kryzysu. Zmniejszenie konsumpcji skutkuje redukcją zatrudnienia, zamykaniem fabryk... W rezultacie mamy do czynienia ze wzrostem napięć społecznych, powiększa się skala przestępczości, bezrobocie przynosi prawdziwe dramaty w życiu rodzinnym, małżeńskim *etc.* I przeciwnie: optymizm konsumentów napawa nadzieją nawet tych, którzy pozostają na marginesie życia społecznego. I tam docierają skutki ożywienia gospodarczego. Rosną fundusze socjalne i maleje liczba ludzi potrzebujących... Powtórzmy więc: konsumpcja to – w warunkach współczesnej gospodarki kapitalistycznej – niemalże przejaw postawy patriotycznej, a poniekąd także akt miłosierdzia wobec ubogich. Jak ma się do tego błogosławieństwo ubogich?

2. Konieczne jest także ciągle redefiniowanie pojęcia ubóstwa jako problemu społecznego – tak, by nie stracić z pola widzenia ewangelicznego sedna tego zagadnienia. Otóż, istotę zjawiska ubóstwa stanowi chyba jednak nie tyle poziom życia (i konsumpcji), co stan świadomości, na który składa się upokarzające doznanie niewystarczalności, doświadczenie niezdolności do przeciwstawienia się temu, co zagraża człowiekowi, bolesne poczucie odrzucenia czy marginalizacji swej osoby. Ubóstwo to zatem doświadczenie przede wszystkim psychologicznej, a nie ekonomicznej natury. Niestęchanie trudno obronić obiektywny charakter rozmaitych „progów ubóstwa”, z którymi mamy do czynienia.

Odwóływanie się do archetypu ubóstwa opartego na postaci żebraka proszącego o wsparcie może w tych warunkach paradoksalnie utrudniać podjęcie ewangelicznego wezwania do miłości bliź-



niego, uspokajając nasze sumienia. Geografia biedy to rzecz bardziej skomplikowana niż rozkład dochodów i dóbr. To dlatego nie ma się co chwalić wysłaniem na kolonię 150 biednych dzieci z parafii, jeśli nie potrafi się zorganizować cotygodniowej Komunii świętej dla 150 parafian, którzy z powodu choroby lub wieku nie są w stanie przyjść na Mszę świętą do kościoła. Dlatego też lepiej nie zachwycać się parafialną garkuchnią, jeśli nie potrafi się zaofiarować kwadransa na rozmowę każdej z rodzin odwiedzanych podczas wizyty kolędowej.

3. Dalej: konieczna jest reinterpretacja pojęcia ubóstwa w kontekście gwałtownego postępu materialnego z jednej i ogromnego upowszechnienia komunikacji międzyludzkiej z drugiej strony. Jeżeli w ramach gospodarki naturalnej, dominującej w czasach biblijnych, ubóstwo definiować można było jako stan zagrażający fizycznej egzystencji człowieka, to dzisiaj – zdaje się – nie ma wśród nas tego rodzaju ubogich, choć z pewnością da się ich zlokalizować w pewnych regionach świata. Według danych ONZ 1,3 miliarda ludzi (co piąty człowiek na Ziemi) ma na swoje utrzymanie mniej niż 1 dolara dziennie. Natomiast obserwowane w naszym kręgu cywilizacyjnym przypadki skrajnego ubóstwa (zagrażającego egzystencji) – to w ogromnej większości efekt wolnego wyboru wolnego człowieka. Wyzwaniem chwili jest więc konieczność swoistej globalizacji wyobraźni – poszerzenia granic swojego umysłu i serca, tak by dostrzec żyjących na tej samej planecie ludzi, których egzystencja wystawiona jest na najwyższą próbę. Potrzebna jest globalizacja chrześcijańskiego miłosierdzia – skoro świat stał się wioską, to pytanie: „któż jest moim bliźnim?”, zyskuje zupełnie nowe znaczenie.

4. I wreszcie związana z ubóstwem kwestia prakseologii miłosierdzia. Teologiczne stwierdzenie, że Bóg w sposób szczególny udziela się biedakowi, ma swoje antropologiczne dopełnienie: biedak całym sobą poszukuje rozwiązania swoich problemów, jest „do bólu” otwarty, nie musi się lękać utraty jakichkolwiek dóbr – gdyż nic nie posiada. Ów dramat przeżywany przez bliźniego domaga się naszej reakcji. Na czym ma ona jednak polegać, jak ma się skonkretyzować w działaniu, skoro



– częstokroć pomoc świadczona ubogim konserwuje ich biedę, a nie pomaga im wydostać się ze stanu ubóstwa;

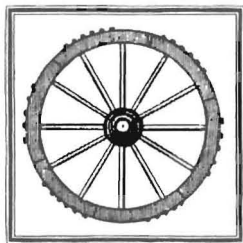
– świadczenie pomocy zawiera w sobie ogromne ryzyko upokorzenia beneficjenta;

– niektórzy twierdzą wręcz, że pomoc społeczna (z całym swym zróżnicowaniem) stanowi w istocie element systemu penitencjarnego – izoluje nieprzystosowanych społecznie w sposób tańszy i skuteczniejszy niż więzienia: kraty zastępuje w tym przypadku lęk przed odebraniem „socjału”.

Bóg kocha ubogiego – usynawiając go; my z wielkim przejęciem służymy biedakom – niekiedy czyniąc z nich zawodowych żebraków. Na ile potrafimy pomóc naszym biednym braciom w niesłychanie delikatnym procesie przekształcania *p r o b l e m u u b ó s t w a* w praktycznie realizowany *i d e a ł u b ó s t w a*?

5. Za mało mówi się i pisze o tym, że chrześcijańskie pojęcie ubóstwa zawiera w sobie głęboką treść antropologiczną – jest bowiem w istocie synonimem stanu wewnętrznej wolności człowieka wynikającej z dojrzałego przyjęcia swej przygodności. W obliczu sztucznych rajów produkowanych masowo przez kulturę współczesną chrześcijaństwo ma misję odsłaniania sytemu człowiekowi prawdy o jego ubóstwie. Jeżeli dla osiągnięcia wolności potrzebne jest stanięcie w blasku prawdy, to jedną z pierwszych odsłon owej prawdy musi być uświadomienie dzisiejszemu konsumentowi wrażeń prawdy o jego biedzie. „Mówisz: »jestem bogaty« i »wzbogaciłem się«, i »niczego mi nie potrzeba«, a nie wiesz, że to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości, i biedny, i ślepy, i nagi...”

KS. WOJCIECH BARTKOWICZ, ur. 1963, dr teologii, wykładowca teologii moralnej na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie, prefekt w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie.



Meyer H. Abrams,
Zwierciadło i lampa.
Romantyczna teoria poezji
a tradycja krytycznoliteracka,
 przeł. Maria Bożena Fedewicz,
 słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2004, ss. 458

Ryszard Kasperowicz

Światłość umysłu

Staraniem Wydawnictwa słowo/obraz terytoria, znanego z niecodziennej dbałości o graficzną szatę książek i celny dobór pozycji, polski czytelnik otrzymał niedawno dzieło należące do kanonu światowej humanistyki (napisane w 1953 roku), pracę równie doniosłą dla dalszego rozwoju badań nad dziejami teorii sztuki i estetyki co *Literatura europejska i lacińskie średniowiecze* Ernsta Roberta Curtiusa czy *Sztuka i złudzenie* Ernsta Hansa Gombricha. Mowa o studium Meyera H. Abramsa *Zwierciadło i lampa. Romantyczna teoria poezji a tradycja krytycznoliteracka*.

W badaniach nad romantyzmem Abrams zajmuje pozycję tak eksponowaną, jak Frank Kermode i Charles Rosen. Zarówno *Zwierciadło i lampa*, jak i inna jego praca, *Natural Supernaturalism. Tradition and Revolution in Romantic Literature*, należą do najczęściej przywoływanych książek w studiach nad literaturą i sztukami plastycznymi okresu romantyzmu. Abrams przyjmuje bardzo interesującą perspektywę badawczą, pozwalającą mu roztropnie wyważyć odrębność i rewolucyj-



ność idei teoretycznych „ruchu” romantycznego oraz jego zakorzenie w tradycji. A to rzecz wielce niewdzięczna i trudna, bo romantyczni „filozofujący” poeci czy artyści chętnie skrywali ostrze swych poglądów w szacie dawniejszej retoryki teoretycznej bądź też przyswajali sobie tradycyjne pojęcia filozoficzne, przekształcając – czasem bardzo daleko i dość dowolnie – ich treść. W *Natural Supernaturalism* dla przykładu Abrams wykazał, że jeden z najistotniejszych motywów poezji Wordswortha i poezji romantycznej w ogóle, „teodycea życia codziennego” (sformułowanie Abramsa), mająca się dokonać poprzez powtórne zespolenie umysłu z naturą, wywodzi się ze wzorców literatury religijno-mistycznej i autobiograficznej, zwłaszcza *Wyznań* św. Augustyna. *Zwierciadło i lampa* ma inny nieco charakter – dążąc do ukazania wielkiego, romantycznego przełomu w kilku kluczowych aspektach teorii sztuki, Abrams rozpoczyna od wyodrębnienia podstawowych kategorii, łączących tradycyjną i romantyczną estetykę, by następnie uporządkować kluczowe pojęcia i metafory, wskazując zarazem na gruntowne przemiany, jakim te pojęcia podlegały.

Dzisiaj niełatwo docenić zarówno ogrom pracy Abramsa, jak i nowatorstwo jego ujęcia. Historycy literatury, sztuki i kultury od dawna korzystali z jego obserwacji, szereg rozróżnień amerykańskiego badacza weszło do potocznego języka humanistyki. Wydaje się jednak, że intencją Abramsa było coś więcej aniżeli charakterystyka podstawowych terminów i narzędzi romantycznej teorii sztuki sporządzona w oparciu o świetną znajomość całej, gigantycznej przecież, tradycji teoretyczno-krytycznej¹. Co prawda, *Zwierciadło i lampę* traktowano niekiedy jako kopalnię świetnie dobranych i skomentowanych fragmentów z dzieł teoretyków i twórców, ale taka kwalifikacja nie oddaje w pełni sprawiedliwości tej pracy. Abrams zamierzał bowiem wykazać, że teorie estetyczne, przy całej swojej różnorodności, wzajemnym wykluczaniu się i wewnętrznej paradoksalności, wcale nie są jałowe. Wprost przeciwnie, odznaczają się swoją własną prawomocnością, tyle tylko że trudno tu o dowodliwość znaną z procedur stosowanych w naukach ścisłych. Dlatego też Abrams nie wierzył w możliwość „naukowego” ufundowania teorii sztuki albo estetyki na gruncie psychologii. Prawomocność teoretycznych rozważań zasadza się na tym, że jako poznawczo wartościowe wychodzą od faktów artystycznych i pozwalają zdobyć dokładny i spój-

¹ Analiza Abramsa dotyczy w zasadzie teorii wykształconych na obszarze Anglii i Niemiec, co czasami pocztytywano za znaczące ograniczenie.



ny wgląd w ich konkretne właściwości. Dzięki temu możemy nie tylko wyjaśnić i uzasadnić nasze interpretacje dzieł sztuki. Znajomość koncepcji teoretycznych oraz ich filozoficznych implikacji zarazem odsłania takie aspekty dzieł albo takie fakty artystyczne, które w ramach innych teorii albo w ogóle się nie pojawiały, albo bywały zaciemnione czy wręcz zniekształcone. Posuwając się tą drogą, będziemy w stanie wspiąć się nawet o szczebel wyżej i pokusić o krytyczne ugruntowanie sądów estetycznych. Chociaż nie są one zależne całkowicie od przyjętej teorii, to jednakowoż zyskują swój pełny walor dopiero w jej świetle. Wolno zatem powiedzieć, że teoria sztuki koryguje wrażliwość artystyczną, otwierając jednocześnie płaszczyznę historycznego dialogu.

Wszelako płaszczyzna ta musi być na tyle obszerna i elastyczna, by pomieścić różne poziomy dyskursu teoretycznego i pozwolić tym samym porównać najróżniejsze zbiory stwierdzeń krytycznych. Abrams proponuje taki układ odniesienia, którego centrum stanowi dzieło, artefakt, efekt pojetycznej aktywności człowieka, wchodzący w relacje ze światem (jako przedmiotem prezentacji, odtwarzania, odzwierciedlania, wyrażania, oznaczania – zależnie od danej teorii tej relacji), z twórcą i wreszcie z odbiorcą. Schemat ten jest na tyle ogólny, że umożliwia Abramsowi konsekwentne prześledzenie fundamentalnych wątków krytyczno-teoretycznych od Platona aż po wiek XX. Na pozór jawi się jako zupełnie oczywisty, wręcz banalny; dość jednak przypomnieć sobie wcale świeże dywagacje o „śmierci autora”, eliminacji podmiotu poznającego, intertekstualności, autogenerowaniu się tekstów czy nieprzejrzystości języka, by stwierdzić, że tak nie jest. Powyższy układ odniesień Abramsa znajduje swoje potwierdzenie nie tylko w historii teorii sztuki, lecz także w odrzuceniu przezeń niektórych konceptów chicagowskich neoarystotelików, takich jak „herezja osobowości” albo „błąd intencjonalności”. Autor *Zwierciadła i lampy* nie podważa poglądu, że rozpatrywanie dzieła sztuki jako całości autonomicznej, niezależnej od wszelkich wpływów zewnętrznych, konstytuowanej poprzez wewnętrzne relacje czysto formalne i ocenianej, jak pisze, „według kryteriów tkwiących we właściwym mu sposobie istnienia”, może być owocne i uprawomocnione. Nie zgadza się jednak z taką „purystyczną” tezą, wedle której wszelkie inne, zewnętrzne odniesienia są dla dzieła nieistotne, a dla jego oceny szkodliwe.

Nie uchwycimy jednak w pełni znaczenia badań nad teorią i krytyką sztuki, jeśli zapomnimy o roli metafor. Abramsowi nie chodzi li tylko o spór o naturę figur mowy i języka poetyckiego – czy są one źródłem oraz początkiem języka, a także naturalnym sposobem wypowiedzania



emocji, wrażeń, wyobraźni, czy raczej przekształcaniem tradycyjnych konwencji poetyckich. Autor *Zwierciadła i lampy* wskazuje w pierwszym rzędzie na to, że sposoby myślenia o istocie poezji zawsze uciekają się do paru kluczowych metafor. Te metafory są niezbędne, nieuniknione, jako że bez ich pomocy nie umiemy opisać ani procesów poznawczych (czy to w użyciu teoretycznym, czy poetycznym, jak rzekłby Arystoteles), ani samych zasad rządzących umysłem. Według Abramsa, przemiana podstawowych metafor ukazuje transformację fundamentalnych przekonań co do natury ludzkiego umysłu i podstaw tworzenia.

Dwie najważniejsze metafory, ukazujące przejście od klasycznej (i klasyzystycznej) teorii sztuki do koncepcji romantycznych, znalazły się w tytule książki – zwierciadło i lampa. Najogólniej rzecz biorąc, klasyczna teoria pojmuje sztukę jako czynność mimetyczną – naśladowczą. Artysta naśladuje: albo wyglądy rzeczy, albo sposoby działania natury, albo najpiękniejsze fragmenty natury widzialnej, albo formy gatunkowe czy typowe rzeczy, albo nawet wątki idealne tkwiące w naturze czy wreszcie idee zagnieżdżone w jego umyśle, ale zasadniczo odtwarza świat, który może być przedmiotem jego manipulacji czy ingerencji, lecz nie jest przezeń skonstruowany. Źródłową metaforą takiej postawy jest zwierciadło, które mniej lub bardziej wiernie odbija rzeczywistość. „Umysł malarza chce być podobny do zwierciadła, mieniającego się zawsze barwą rzeczy, która jest jego przedmiotem, i napelniającego się tyłoma odbiciami, ile rzeczy stoi przed nim” – pisał Leonardo da Vinci. Rewolucja kopernikańska w epistemologii, której symbolem stał się Kant, zdezaktualizowała metaforę zwierciadła i mimetyczny fundament twórczości. Umysł twórcy już nie odbija kształtów, obrazów, przestaje być biernym receptorem wrażeń, obrazów czy idei, „ciemnym pomieszczeniem” Locke’a, przechowującym widzialne odbicia, czyli idee rzeczy. Umysł bowiem aktywnie postrzega i współtworzy rzeczywistość, rzuca na nią swój blask niczym lampa swoje światło. Jak powiada przepięknie Wordsworth: „Światłość pomocnicza, / Z umysłu idąc, zachodowi słońca / Dawać światłość nową...”. Twórczy umysł artysty ujmuje to, co sam po części wytworzył. Istotą tworzenia stanie się teraz rodzaj duchowej projekcji wnętrza artysty na świat zewnętrzny, a w dalszej konsekwencji kreacja świata sztuki poprzez wyzwoloną, spontaniczną wyobraźnię, ślad boskości w człowieku, jak powie najwybitniejszy bez wątplenia teoretyk romantycznej wyobraźni, a zarazem jej arcy mistrz, Coleridge.

I tak oto dokonana się rewolucja, przejście od mimetycznej do ekspresyjnej koncepcji sztuki. Abrams bynajmniej nie twierdzi, że stało się



tak bezpośrednio pod wpływem filozofii transcendentalnej Kanta – poezja nie jest odbiciem ani ilustratorką tez filozoficznych. Zresztą – jak świetnie pokazuje amerykański krytyk – Wordsworth i Coleridge, pragnąc nadać konceptualny wymiar swojej rewolucji artystycznej, w istocie wracali do przeszłości; sięgnęli bowiem do Plotyna – „ojca archetypu rzutowania na zewnątrz obrazów wewnętrznych”.

Zwierciadło i lampa prezentuje fascynującą panoramę dyskusji dotyczących natury sztuki i twórczości romantycznej. Abrams zauważa, że w chwili, kiedy poezja – „spontaniczny wybuch głębokich uczuć” (znów Wordsworth) – utraciła swój dawny związek z retoryką, odwieczny topos „*ut pictura poesis*” zastąpiło porównanie z muzyką, „mową subtelną”, jako najbardziej ekspresyjną ze wszystkich sztuk. W latach 60. XIX wieku Walter Pater, jeden z najwybitniejszych eseistów Anglii wiktoriańskiej, postulował, by wszystkie sztuki aspirowały do kondycji dzieła muzycznego. Abrams świetnie pokazuje, jakie konsekwencje miał triumf idei romantycznych, choćby dla kwestii oceny dzieła – odrzucenie bowiem norm, reguł poprawności, stosowności, osądu wieków czy naturalnego upodobania pociągnęło za sobą zalew nowych kryteriów – na przykład spontaniczności albo autentyczności wyrazu. Dziś wiemy, jak niebezpieczne i zwodnicze były to przesłanki ocen, ale Abrams nie ocenia tych spraw tak surowo. Ma przecież świadomość, jak wiele rzeczy nauczyliśmy się dostrzegać dzięki romantycznym wicherzycielom. *Zwierciadło i lampa* będzie odtąd jednym z najlepszych przewodników po pułapkach, zakamarkach, i pięknościach romantycznej teorii sztuki i twórczości. Może spełni ona w Polsce taką funkcję, jaką niegdyś spełniły *Dzieje sześciu pojęć* Władysława Tatarkiewicza. A są to książki tak odmienne, że trzeba je czytać razem. Koniecznie.

RYSZARD KASPEROWICZ, ur. 1968, dr historii sztuki, adiunkt w Katedrze Teorii Sztuki i Historii Doktryn Artystycznych KUL. Wydał: *Berenson i mistrzowie odrodzenia. Przyczynek do postawy estetycznej Bernarda Berensona* (2001) oraz *Zweite, ideale Schöpfung. Sztuka w myśleniu historycznym Jacoba Burckhardta* (2004).



Sławomir Popławski

O naprawie filozofii katolickiej

Hans Urs von Balthasar,
*O zadaniach filozofii katolickiej
w czasach współczesnych,*

tlum. Marek Urban,

WAM, Kraków 2003, ss. 78

Napisana w 1946 roku, czyli na ruinach Europy, książka Hansa Ursa von Balthasara *O zadaniach filozofii katolickiej w czasach współczesnych* to program naprawy filozofii katolickiej, którego głównym celem jest przeciwstawienie się jej marginalizacji. Sugerować by to mogło większe zbliżenie między myślą katolicką i świecką – nie zaś obronę stanu posiadania tej pierwszej. W szkicowym dziele stanowiącym raczej rodzaj zachęty do takiego zbliżenia okazuje się ono jednak połowiczne, daje się w nim bowiem słyszeć dwa głosy Balthasara: jeden pozytywny, niewahający się przed otwarciem na świecką filozofię, wyrażający szacunek, a nawet podziw dla jej osiągnięć; drugi redukcjonistyczny, sprowadzający jej dorobek do aparatury pojęciowej tomizmu. Nie da się ukryć: filozofia św. Tomasza traktowana jest przez autora jako paradygmat katolicyzmu. Profetyczny ton książki oraz niezwykła erudycja autora mogą niekiedy zapierać dech, budzą jednak czasem zastrzeżenia, przede wszystkim w tych fragmentach, gdzie słynny Bazylejczyk rzuca „anatemy” pod adresem tych, którzy nie mieszczą się w granicach podanych przez niego kryteriów uznawalności.

Na początek wybitny teolog i filozof z Bazylei przypomina historię wzajemnych stosunków wiary i filozofii, skierowując nasze spojrzenie w przeszłość, na okres starożytnej filozofii chrześcijańskiej, kiedy to jawią się one jednoznacznie i według autora wzorcowo jako prymat Objawienia nad filozofią będąca próbą systematycznego, abstrakcyjnego ujęcia prawdy. Wobec chwalebnej prawdy o Bogu Trójjedynym, w której człowiek poznaje siebie i świat, wszelka doczesna filozofia musiała odtąd zblednąć, tracąc na znaczeniu. Jednocześnie jednak to chrześcijaństwo – twierdzi teolog – utrzymało przy życiu filozofię, udoskonalając ją światłem łaski i dając najżywszy impuls do jej rozwoju. Szczytowym jej osiągnięciem – o czym przekonujemy się na podstawie kolejnych passusów – stało się dzieło św. Tomasza, które łączyło najwy-



bitniejszą pogańską filozofię Arystotelesa z Objawieniem. Jednakże sukces tomistycznej syntezy załamał się wraz nowożytnym rozwojem nauk. Od tej pory, przynajmniej formalnie, katolicka filozofia wyraźnie zaczęła tracić wpływ na kształtowanie oblicza filozofii czasów nowszych, która tym samym uległa sekularyzacji. Powstaje pytanie: czy musiała jej ona ulec? Jeśli jednak nie musiała – co sugeruje autor – powstaje kwestia: kto za ten stan rzeczy odpowiada?

W toku analiz znajdujemy winnych zsekularyzowanego oblicza filozofii. W pierwszym rzędzie są to nowożytni i współcześni filozofowie, którzy korzystając obficie z chrześcijańskich idei, ukrywali to, nie chcąc otwarcie deklorować swej przynależności wyznaniowej. W oczach Bazylejczyka egzemplifikacją tego jest... filozofia Schelera. Od razu rodzi się wątpliwość: czy filozofujący chrześcijanin jest zobowiązany, by przedstawiać swą myśl jako wprost wyrastającą z dogmatyki chrześcijańskiej? Czy autonomia filozofii nie chroni jej dostatecznie przed wymogiem konfesyjności? Po drugie, winą obarcza Balthasar ignorantów własnej tradycji katolickiej opartej na tomizmie, przez co w każdej nowo pojawiającej się filozofii widzą oni rewolucję obalającą tradycyjne pojęcia i teorie. Tak ocenia zafascynowanych Bergsonem modernistów, którzy w gonitwie za nowinkami mieli rozmywać tożsamość katolicyzmu. Teolog przyznaje jednak, że najwięcej kosztowała katolików izolacja i całkowite odcięcie się od wszelkich wpływów świeckiej nauki i filozofii. Skutkiem tego było systemowe skostnienie katolickiej filozofii czyniącej ją nieprzepuszczalną dla żywego doświadczenia bytu. Dlatego jedyną szansą ma być jej otwarcie się na osiągnięcia nowożytnych nauk i filozofii, które – jak się wyraża – aż proszą się, niejako w rewanżu, „o ograbienie dla celów chrześcijańskich i teologicznych”. Jeśli asymilacja ta nie jest czysto zewnętrzna, twierdzi teolog, to oświetlając na nowo znane pojęcia i problemy, może być bez obaw plagiatu „uznana za pierwotne dokonanie filozoficzne w dziejach ducha”. Balthasar postrzega przy tym posłannictwo chrześcijan w świecie ludzkiej myśli w perspektywie dwóch celów: otwierania każdej skończonej prawdy filozoficznej na Chrystusa oraz sztuki transpozycji wyjaśniającej.

Ethos otwierania prawd doczesnych na Chrystusa i sytuowania ich w odległości od Jego centrum bierze początek ze słów św. Pawła do Koryntian (1 Kor 3, 23): „Wszystko jest wasze, wy zaś Chrystusa, a Chrystus Boga”. W dziejach znalazł on swoich promotorów: Ojców Kościoła, św. Tomasza, Leibniza czy Newmana, o których wielkości dziś możemy tylko pomarzyć – sądzi Balthasar. Wieczna prawda Ewan-



geli, chcąc ogarniać wszystkie czasy, wszystkie ludzkie języki, musi wszak trafić w aktualną wrażliwość epoki i jej zapotrzebowanie na określony aspekt Prawdy. Chrześcijańska *philosophia perennis* zmuszona jest zatem do przyswojenia sobie najróżnorodniejszych pojęć i sposobów ludzkiego myślenia, by w nich wyrazić swoje przesłanie. Aby zrozumieć odmienne formy myślenia, należy wszak wyzbyć się przemądrzałości i zdobyć na pokorę. Balthasar podkreśla znaczenie osobistego kontaktu z myślą, tylko on bowiem umożliwia poznanie jej istoty. „Trzeba badać wszystko, aby zachować to, co szlachetne”, powtarza za Apostołem narodów. I czytamy dalej: „Chęć zrozumienia jest miłością, dlatego poza miłością nie jest możliwe żadne prawdziwe, owocne myślenie” (s. 34).

Rozważania nabierają konkretności, gdy autor zaczyna rozpatrywać konfrontację w jej formalnym aspekcie, biorąc pod uwagę strukturalne zależności filozofii katolickiej od jej użytku szkolnego, podporządkowanego apologetyce, a nie nastawionego na autentyczny dialog ze świecką myślą. W katolickiej propedeutyce filozofii nie tyle przecież problematyzuje się określone kwestie filozoficzne, co dokonuje ich przeglądu i możliwie sprawnie i szybko je rozwiązuje. Mylenie jej z właściwymi, merytorycznymi badaniami filozoficznymi byłoby nieporozumieniem – przyznaje autor. Według niego, z braku pozytywnych wzorców, w naszych czasach awangardą postępu pozostaje dla nas filozofia św. Tomasza, także ze względu na jej harmonijne połączenie pierwiastka apologetycznego oraz aporetycznego, niezbędnego dla głębi podnoszonych kwestii. Jak sądzi Balthasar, może ona służyć jako norma negatywna dla wszelkich filozofii współczesnych, te zaś ze swej strony mogą ją wzbogacać i uaktualniać. Stąd autor poświęca ostatnią część swej książki na twórcze zasymilowanie filozofii życia Bergsona oraz filozofii egzystencjalnej Jaspersa i Heideggera. Skąd wszakże u niego pewność, że właśnie one nadają się najlepiej, by poszerzyć i zaktualizować filozofię św. Tomasza, w szczególności zaś koncepcję realnej różnicy między istotą a istnieniem?

I tak Balthasar przywołuje postulat filozofii życia o pierwotności intuicji nad poznaniem refleksyjnym, który mówi, iż w istnieniu moment bogactwa i pełni przekracza każde jego ujęcie intelektualne. *Actus essendi*, nieograniczony i niewyczerpywalny w żadnym pojęciu, jest ponadto warunkiem możliwości *ratio*. Píše Balthasar: „Akt istnienia rozsądza *ratio*, poszerzając czysto teoretyczny intelekt do pełnego rozumu”. Podobnie prymat istnienia dynamizuje według Bazylejczyka filo-



zofię szyfru Jaspersa, w której byt objawia się jako pełen znaczenia, wymagający trudu ciągłej otwartości i interpretacji. Jak sądzi Balthasar w dyskusji z nią – traktowaną przez niego jako potomkinię platonizmu i aleksandryjskiego światopoglądu symbolicznego – „myśl chrześcijańska może wiele wyjaśnić metafizyce, nie wykraczając poza swe dziedzictwo i rozwijając dzięki tym nowym aspektom to, co w niej fundamentalne”. W zupełnie nowy też sposób egzystencjalizm ma stawiać problem różnicy realnej na płaszczyźnie *stricte* antropologicznej, gdyż wydobywa to, co dotychczas było w filozofii marginalizowane, tj. kondycję istoty stworzonej po Upadku z jej przemijalnością, cierpieniem i śmiercią. Komentując „genialne posunięcie Heideggera z *Bytu i czasu*”, zapytuje Balthasar: „Czy czas i realna różnica nie są pojęciami pokrewnymi, z dwóch różnych stron opisującymi tę samą rzeczywistość?”.

Powstaje pytanie, czy w wymienionych filozofiach rzeczywiście da się znaleźć podstawy do kojarzenia ich z tomizmem? Czy nie znajdują się one na tak różnych płaszczyznach metodologicznych, że nie sposób je łączyć? Ostatecznie chodzi tu przecież nie o ratowanie tomizmu, pewnej wersji chrześcijaństwa dziś będącego w schyłkowym okresie swego rozwoju (jak mniema na przykład Tischner), ale o ratowanie chrześcijaństwa w jego funkcji przemieniania świata od wewnątrz, niczym przysłowiowy zaczyn. Daje to do myślenia nad granicami naszej *episteme* wyrosłej na historycznym podłożu. Nie należy wszakże tracić wiary, że nie da się zdobyć naszych czasów dla Chrystusa. Po blisko pół wieku od powstania książki sytuacja we współczesnej filozofii przyniosła rozwój metody fenomenologicznej, sprawdzającej się jako znakomite narzędzie opisu zjawisk, także religijnych. Pozwoliło to zaistnieć problematyce religijnej we współczesnej filozofii. Nazwiska takich filozofów jak Marcel, Ricoeur, Tischner, Marion, Taylor czy wielcy filozofowie żydowscy: Rosenzweig, Buber i Lévinas dowodzą, że udało się to znakomicie. Jak widać, filozofia wierna swemu Logosowi pełni swoje zadania także dzisiaj.

SŁAWOMIR POPŁAWSKI, ur. 1973, absolwent filozofii PAT, publikował w „Tygodniku Powszechnym”.



Janina Katz

LIST
Z KOPENHAGIPiękni
dwudziestoletni

1.

Patrzę na mnie z fotografii w gazecie. Jest ich czterech. Ale w rzeczywistości Krąg – po duńsku *Ringen* – liczył więcej członków. Tylko dwóch z nich znalazłam. Knuda W. Jensena osobiście, Olego Wivela ze słyszenia i z mediów. Z pierwszym robiłam dwa lata temu wywiad dla „Znaku”. Był założycielem i dyrektorem „Louisiany”, muzeum i miejsca wystaw nowoczesnej sztuki, przepięknie położonego nad morzem w miejscowości Humlebæk, w pobliżu Elsynoru. W trakcie wywiadu spytałam, co robił podczas wojny. Knud W. obruszył się. Co robił? To, co wszyscy. Rozmowa miała być o sztuce, nie o wojennych przeżyciach. Knud W. zmarł trzy lata temu. Serdeczny, skromny, przystępny, był kochany i podziwiany przez wszystkich.

Drugi, Ole Wivel, był przez wiele lat dyrektorem największego duńskiego wydawnictwa, zresztą uratowanego od bankructwa dzięki pieniądзом Knuda W. Był także cenionym poetą, socjaldemokratą i, podobnie jak Knud W., jedną z najwybitniejszych kulturalnych osobistości w Danii. Elitarny i nietykalny, zmarł parę miesięcy temu. W latach 80. Knud i Ole zerwali długoletnią przyjaźń.

Zdjęcia pochodzą z ich okupacyjnej młodości; młode, gładkie, bardzo ładne twarze. Równie przystojny, ale znacznie od nich starszy Friedrich Wachnitius, popularnie zwany przez przyjaciół Fritzem, był Austriakiem. Mieszkał od lat w Danii, podczas okupacji był przez krótki czas cenzorem duńskiego radia (wyrzucono go za obłąpywanie młodych chłopców) i wygłaszał pogadanki na temat niemieckiej kultury. Był także cenionym tłumaczem duńskich poetów na niemiecki. Zmarł kilkanaście lat temu.

Ostatnie zdjęcie: młodziutki Ole Hest, syn Olufa Hesta, znanego malarza z Bornholmu. Na parę lat przed śmiercią Knud W. Jensen wybudował mu muzeum na wyspie. Syn Olufa, Ole – to ten z fotografii – zginął na froncie wschodnim, dokąd wysłali go przyjaciele z Kręgu. Inny



członek Kręgu, nagabywany przez tych samych przyjaciół do wyjazdu na front, skrewił. Zmarł niedawno temu. Ale wcześniej zdążył szantażować Knuda W. Jensena o pieniądze; miał z okresu ich wspólnej młodości przechowane wiersze i listy, w których przyjaciele, szczególnie Ole Wivel, namawiali go do służby w Waffen-SS.

Poznali się i spotykali w kopenhaskiej knajpie z końcem lat 30. Później przenieśli swoje sympozja do idyllicznej nadmorskiej miejscowości w pobliżu Kopenhagi. Przy dobrej pogodzie odbywali wędrowki po Jutlandii, zawsze z zapasem dobrego wina i jedzenia, zakupywanego przez Knuda W., i recytowali wiersze. Inicjatorem spotkań i wędrowek był Wachnitius, który opowiadał swoim duńskim adoratorom, jak we wczesnej młodości on i jego austriaccy przyjaciele chodzili po górach i biwakowali nago, rozmawiając o grecko-rzymskich ideałach estetycznych i recytując poezje. Jest jeszcze inne zdjęcie Wachnitiusa – w rzymskiej tozde. To on był bogiem owego młodocianego duńskiego Olimpu.

Knud W. Jensen i Ole Wivel zrobili po wojnie karierę i, każdy na swój sposób, zasłużyli się dla duńskiej kultury. Faszystowskie ideały młodości poszły w zapomnienie. Paru przyjaciół wielokrotnie prosiło Wivela, żeby skonfrontował swoje młodzieńcze mrzonki z opinią publiczną, motywując to tym, że parę innych osobistości duńskiego życia polityczno-kulturalnego uczyniło to bez żadnych konsekwencji. Wivel notorycznie odmawiał.

Lata spędzone w Kręgu opisał w autobiograficznej powieści *Romanza na waltornię*, gdzie użył określenia: „moje romantyczno-heroiczne błędne ścieżki”. Jego debiut poetycki z roku 1940 i trzy pierwsze zbiory wierszy – później wyeliminowane przez autora z literackiego dorobku – są w Wielkiej Duńskiej Encyklopedii opisane jako okres flirtu z polityczną prawicą.

Szydło wyszło – a raczej zaczęło wychodzić – z worka w roku 2000, kiedy młody literaturoznawca, Jørgen Hunosøe zabrał się do analizy wczesnej twórczości Wivela. Najsłynniejszy z wyeliminowanych przez autora wierszy pt. *Krzyż* – napisany zresztą na okoliczność wojny sowiecko-fińskiej – jest odą do Pangermanii i ideału nadczłowieka. Puszka Pandory, bermudzki trójkąt – tak zaczęły określać tak zwane prawicowe duńskie gazety tę aferę. Tak zwane lewicowe gazety, łącznie z duńskim radiem, odmówiły publikacji dokumentów, w tym kompromitujących listów członków Kręgu, które znalazły się w posiadaniu Jørgena Hunosøe’a. Literaturoznawca opublikował swój artykuł w fachowym literacko-lingwistycznym piśmie „Nordica”.



Na publikację artykułu i wiadomość, że jego autor jest w posiadaniu dokumentów ujawniających wyraźne profaszystowskie sympatie członków Kręgu, Wivel odpowiedział luksusowo wydanym „kajetem” – podobnie opublikował swoje wiersze podczas wojny – zatytułowanym *Złośliwa oferta*. Lewicowi pisarze, młodzi i starzy, stanęli w jego obronie. Inni, między innymi wybitny prozaik, człowiek duńskiego ruchu oporu i wielbiciel poezji Zbigniewa Herberta, Tage Skou-Hansen zażądał od Wivela ujawnienia przeszłości. Wivel odmówił, grożąc pisarzowi procesem. Pękła jeszcze jedna długoletnia przyjaźń. Przy okazji wyszło również na jaw, że Wivel, który po wojnie należał do intelektualnej lewicy, grzmiał przeciw wojnie w Wietnamie i ostro krytykował wszystkich, którzy znajdowali się na prawo od politycznego centrum, a także był autorem wzruszającego wiersza o chorej psychicznie dziewczynce – w noworoczny wieczór z roku 1942 na 1943 opiewał eutanazję i skracanie życia kalekom i psychicznie chorym.

2.

W tym samym czasie, to znaczy w okresie działalności Kręgu, inny piękny dwudziestoletni, Allan O. Hagedorff, z zawodu księgarz, w życiu osobistym homoseksualista, w dodatku z żydowską babką od strony matki, opuścił Kopenhagę i wyjechał do Lipska, gdzie pracował w księgarni, w której jeszcze przed wojną, jako praktykant, poznał młodego Niemca, Fritza Hartmanna. Po jakimś czasie obydwaj przenieśli się do Berlina, gdzie prowadzili do spółki małe kino. Głównie jednak zajmowali się działalnością antyhitlerowską. Fritz i Allan narażali codziennie życie, wysyłając paczki żywnościowe do Theresienstadtu i pomagając mieszkańcom tzw. kolektywów dla mieszanych małżeństw (mężowie Żydzi, żony aryjki), w których najczęściej nie funkcjonowało ogrzewanie i elektryczność i gdzie kartki żywnościowe zredukowane były z dnia na dzień.

Po wojnie i wielu innych przeprawach w powojennych Niemczech osiedlili się obydwaj w Danii. Mieszkali razem do śmierci Fritza. W Berlinie Allan Hagedorff zaprzyjaźnił się był z Astą Nielsen, gwiazdą duńskiego i niemieckiego kina, która uczyniła go egzekutorem swojego majątku. Dziś 87-letni, autor książki o sławnej przyjaciółce, z nadszarpniętym zdrowiem, ale nie umysłem, mieszka na wyspie Erø.

Niedawno ukazała się książka, którą Allan Hagedorff podyktował znanej dziennikarce. Nosi ona tytuł: *Młody, bardzo Żydom życzliwy*



Duńczyk. Podtytuł: *Wspomnienia z hitlerowskich Niemiec*. Tytuł jest cytatem z monumentalnego dzieła Victora Klemperera: *Będę składał świadectwo do końca*, dziennika wybitnego romanisty z lat 1933-1945. Hagedorff odwiedzał go w „kolektywie”, pomagając przeżyć jemu i jego aryjskiej żonie.

JANINA KATZ, ur. 1939, absolwentka polonistyki i socjologii UJ, tłumaczka, publicystka, pisarka (duńska). Od roku 1969 mieszka w Danii.

Krzysztof Biedrzycki

Powrót taty

Powrót,

reżyseria: Andriej Zwiagincew,

produkcja: Rosja 2003,

występują: Władimir Garin,

Iwan Dobronrawow,

Konstantin Lawronienko

To historia tak zwyczajna, że aż banalna. Samotna matka wychowuje dwóch synów, niespodziewanie zjawia się ojciec, który bierze ich na kilkudniową wyprawę w krainę dalekich lasów i jezior. Finał, co prawda, przynosi tragedię, jednak nie ona stanowi o tym, że *Powrót* Andrieja Zwiagincewa mimo nad wyraz prostej fabuły należy do najbardziej przejmujących filmów ostatnich kilku lat. To, co najważniejsze, nie zawiera się tu w prostej historii (jakkolwiek wiedzie ona do wielu możliwych, a dopełniających się interpretacji), ale w całym artystycznym naddatku, który – co nadzwyczaj paradoksalne – rodzi się z ascezy formalnej czy, inaczej mówiąc, z rzadkiej we współczesnym filmie dyscypliny artystycznej.

Akcja toczy się w surowym pejzażu. Zaczyna się w dziwnym, na wpół obróconym w ruinę postsowieckim miasteczku, które sфотографowane jest w surowy sposób, niemal bez koloru (zdjęcia: Michaił Kriczman). W kadrze dostrzegamy jakieś rozlatujące się betonowe budowle, pejzaż jest zimny, nieprzyjazny, pozbawiony piękna. Zupełnie inaczej będzie, gdy ojciec z synami opuści „cywilizację” – natura objawi się w nasyconej zieleni, ale ów barwny kontrast na tym się wyczerpie. Obraz w tym filmie nie może rozpraszać widza, bo celem jest skupienie, kontemplacja zdarzeń.



Dramat rozgrywa się między trzema osobami: ojcem oraz synami, starszym Andriejem i młodszym Iwanem. W początkowej sekwencji pojawiają się kobiety: matka i babka, niemal milczące, pokorne, należące do innego świata i odsunięte na margines. Inni (koledzy braci, chuligani) należą do tła. W tej kameralnej historii liczą się tylko ci trzej, dlatego wyjątkowo duży nacisk został położony na aktorstwo odtwórców głównych ról. Konstantin Ławronienko jako ojciec ma być do końca nieprzenikniony, ale i silny, obdarzony naturalnym autorytetem, przeciw któremu można się buntować, ale którego nie da się zakwestionować. Ławronienko gra niemal pozbawioną emocji twarzą i oszczędnym gestem. Wydaje się, że tylko jest, a przecież właśnie w tym „braku aktorstwa” zawarta jest istota postaci, w którą się wcielił. Inaczej chłopcy. Oni aż kipią emocjami, zwłaszcza młodszy, zbuntowany Iwan (Iwan Dobronrawow), ale też bardziej ulegający władzy ojca Andriej (Władimir Garin). Ich pospolite twarze nie mają się podobać – zamiast skupiać uwagę na sobie winny służyć jako medium do ujawniania uczuć. Gra twarzy w tym filmie kojarzy się z filmami Bergmana i Bressona, zwłaszcza Bressona, który angażował aktorów niezawodowych. Chłopcy w filmie Zwiagincewa oddają przeżycia swoich bohaterów bez jakiegokolwiek maniery.

Historia zaczyna się od zdarzenia, które dobrze charakteryzuje obu braci. Grupa chłopców zabawia się skokami z wysokiej wieży do jeziora. Chodzi o dowód własnej odwagi. Andriej skacze, Iwan tchórzy, a strach nie pozwala mu nawet zejść z wieży. Interweniuje matka, która uspokaja młodszego z braci, obdarzając go macierzyńskim ciepłem, co jednak utwierdza w chłopcu przekonanie o własnej słabości i niedostatku męstwa. Ta scena zostanie dopełniona klamrą, gdy w kulminacyjnej sekwencji Iwan znów wejdzie na wieżę i będzie gotowy do skoku, ale wówczas odwaga będzie miała znamię szaleńczego buntu, który doprowadzi do tragedii. Odwaga i tchórzostwo obu braci ujawniają różnice charakterów. Andriej jest konformistą, jego odwaga bierze się z konieczności jej udowodnienia przed innymi (koledzy, ojciec). Starszy brat nie uczyni nic sprzecznego z oczekiwaniami otoczenia. On bardziej się boi złej sławy tchórze niż otwierającej się pod wieżą przepaści. Aby zyskać akceptację ojca, wykona nawet najtrudniejsze polecenie, pozwala się upokarzać, choć i tak będzie odsunięty, gdy podejmie próbę nawiązania uczuciowego kontaktu z ojcem. Równocześnie jest to dobry, opiekuńczy względem młodszego brata chłopak, rozsądny, który od ojca uczy się sztuki zachowania spokoju i opanowania. Iwan ma naturę buntowniczą. Nie tylko ojcu nie ufa, ale wprost odmawia mu posłuszeństwa,



a nawet wykrzykuje w twarz to, co o nim myśli. Młodszy brat okazuje się odważniejszy w relacji z ojcem, choć ta odwaga prowadzi do katastrofy. Nonkonformizm może przybierać formę bohaterstwa, może jednak oznaczać tchórzostwo (jak we wstępnej sekwencji na wieży) czy niepotrzebną brawurę i ślepy bunt (jak w finale).

Powrót jest filmem nadzwyczaj przekonującym psychologicznie. Nie ma tu uproszczeń i jednoznaczności. Bracia są sobie przeciwstawieni, ale w sposób daleki od schematu. Nie potrafimy obdarzyć sympatią tylko jednego z nich. To, co jest siłą starszego, okazuje się słabością młodszego, i na odwrót. Być może uległość Andrieja wynika tylko z jego wieku, bogatszego doświadczenia, ale może z większej potrzeby autorytetu: nie zapominajmy, że chłopcy są doświadczeni brakiem ojca, za którym tęsknili przez wiele lat, kierując całą synowską wyobraźnię ku jego wizerunkowi (dosłownemu na fotografii przechowywanej z pietyzmem w starej Biblii, ale też wyimaginowanemu). Tak więc starszy brat szuka oparcia (wcześniej znajdował je w grupie rówieśników), chce się nauczyć roli dorosłego. Iwan odwrotnie, nie autorytetu potrzebuje (może dlatego, że jego namiastkę odnajduje u opiekuńczego Andrieja), ale uczucia, ciepła, zrozumienia. Jest jeszcze dzieckiem, więc łatwiej mu przychodzi znaleźć ukojenie w ramionach matki. Ojciec wydaje się zbyt surowy, wymagający, bezwzględny. Młodszy brat nie ufa temu – bądź co bądź – obcemu mężczyźnie: nie potrafi mu wybaczyć, że ich opuścił, a nawet nie dowierza, że to on jest naprawdę ojcem. Czy raczej – tatą. Co symptomatyczne, z trudem przychodzi mu wypowiedzieć słowo „tata”, a właściwie zostaje do tego przymuszony. Najistotniejszy jest tu właśnie powrót taty, czyli kogoś bliskiego i oczekiwanego. Okazuje się jednak, że t a t a to nie tylko ktoś, kto może któregoś dnia zjawić się niespodziewanie w drzwiach domu. To musi być osoba, którą obdarzy się miłością. Ale też, co ciekawe, sam ojciec domaga się, żeby go nazywać t a t a. Wypowiedzenie tego słowa przez synów byłoby symbolicznym i emocjonalnym poddaniem i oddaniem się mu.

O samym ojcu niewiele wiemy. Dlaczego odszedł i dlaczego wrócił, czemu matka bez słowa go przyjęła, co robił przez te wszystkie lata, po co bierze chłopców na wyprawę, co zawiera wykopana przez niego skrzynia, czy kocha synów, czy jest roztropnym ojcem, który ich uczy życia, czy też psychopatycznym tyranem, który wyładowuje na nich swoje utajone kompleksy? Na każde pytanie możemy odpowiedzieć tylko częściowo. Najważniejszą cechą ojca jest jego tajemniczość. Może siedział w więzieniu albo nawet łagrze, może był na wojnie albo pracował w służ-



bach specjalnych, a może był niewiernym żonie lekkoduchem lub neurastenikiem, który w żaden sposób nie był w stanie przystosować się do życia rodzinnego, może wciąż żyje w kręgu własnych obsesji i złudzeń... Wydaje się nawet pozbawiony uczuć, choć w kulminacyjnym momencie ujawnia je z całą jednoznacznością. Ten dziwny człowiek pozostanie dla chłopców do końca zagadką, choć tragiczna wyprawa czegoś ich jednak o ojcu nauczy – ostatecznie stanie się on dla nich t a t ą, ale dopiero wówczas, gdy go na p o w r ó t zabraknie, gdy już naprawdę zniknie, nawet z fotografii, jakby go nigdy nie było.

W warstwie realistycznej jest to zatem film o doświadczeniu spotkania po latach ojca i synów, a także o wynikających stąd konsekwencjach. Liczne sygnały każą jednak interpretować *Powrót* jako przypowieść, która otwiera się na wielorakie, czasem bardzo odległe od siebie interpretacje.

Jest to zatem opowieść o inicjacji w dorosłe życie. Podróż synów z ojcem to czas ich dojrzewania, uczenia się konkretnych umiejętności (radzenia sobie z agresją złych ludzi, z przeciwnościami natury, z własną słabością), ale też jest to droga do samopoznania: poszukiwanie ojca w sobie, a zarazem bunt przeciw niemu; oddawanie się mocy *superego*, ale i odrzucanie go; podporządkowywanie się ojcu, a zarazem zabijanie go w swojej psychice, bo tylko tak można osiągnąć dojrzałość; ucieczka od wolności i podporządkowywanie się autorytetowi, ale zarazem jego destrukcja i dążenie do wyzwolenia. W braciach uosobione są dwie postawy wobec symbolicznego ojca – postawy sprzeczne, lecz przecież przenikające się w każdym człowieku.

Nie jest przypadkiem, że film opowiada o trzech mężczyznach. Inicjacja dotyczy nie tylko dorosłości, ale i wejścia w świat męski. Do czasu powrotu ojca chłopcy wychowywani byli przez dwie kobiety. Teraz zostają wyrwani ze znanej, ciepłej, bezpiecznej przestrzeni dzieciństwa i matczyńskiej opieki. Ojciec uczy ich bycia mężczyzną. To proces bolesny. Ojca trzeba naśladować, ale i trzeba buntować się przeciw niemu – to dwie równoległe drogi mężczyzny do dorosłości. Chłopcy więc powoli stają się mężczyznami, a dopełnienie tego procesu następuje wówczas, gdy zostają sami. Paradoksalnie zniknięcie ojca oznacza jego zwycięstwo, bo zostaje on w każdym z synów.

Zmaganie z autorytetem ma też aspekt polityczny. *Powrót*, przy całej uniwersalności jego historii, jest przecież filmem o Rosji. Nie jest przypadkiem, że film rozpoczyna się w jakiejś dawnej sowieckiej bazie wojskowej, w żonie, która teraz jest tylko betonową ruiną. To Rosja wychodząca z doświadczenia totalitarnego, ale niepotrafiąca sobie z nim

poradzić. W rosyjskiej kulturze ogromną rolę odgrywa kompleks władzy, tutaj uosobionej przez ojca. Silnej władzy – niecierpliwie oczekiwanej, obdarzanej kredytem zaufania i postrzeganej jako źródło autorytetu. Zarazem władzy znienawidzonej i podejrzewanej o najgorsze intencje. Chłopcy reprezentują dwie postawy wobec władzy, szczególnie charakterystyczne dla Rosji (choć z drugiej strony w tej przypowieści rosyjski partykularz nie dominuje, stąd uniwersalność jej przesłania): podporządkowanie się i bunt. W analizie ich postaw dostrzegamy dialektykę akceptacji i odrzucenia. Silna władza jest pożądana, ale jej bezwzględność prowokuje anarchizm. Z jednej strony ogranicza ona spontaniczność i wolność wyboru, z drugiej – wychowuje do samodzielności, choć jej skuteczność staje się oczywista dopiero wtedy, gdy ona sama znika. Odczytywany od tej strony *Powrót* okazuje się dwuznaczny. Władza jest obca, nieprzenikniona, ale jej brak jest jeszcze bardziej przykry niż jej uciążliwość.

Kto wie, czy najistotniejszy w tym filmie nie jest wszak inny aspekt – religijny. Pojawia się tu szereg tropów odsyłających do sfery *sacrum*: fotografię ojca chłopcy przechowują w egzemplarzu Biblii, gdy widzą go po raz pierwszy śpiącego, kadr nasuwa skojarzenie z obrazem Mantegni *Martwy Chrystus*, pierwszy posiłek z ojcem wzorowany jest na Ostatniej Wieczerzy... Takich sygnałów jest wiele. Ważną rolę odgrywa średniowieczna lamentacyjna muzyka ormiańska rozbrzmiewająca w tle. Gdyby jednak nawet nie było w tym filmie tak czytelnych znaków i tak budziłyby on religijne (metafizyczne lub nawet mistyczne) skojarzenia. Jego czystość artystyczna, równomierny rytm, kontemplacyjna praca kamery – to wszystko powoduje, że widz nie tyle śledzi fabułę, ile „czyta” ten film, tak jak „czyta się” ikonę. Zupełnie jak u Tarkowskiego, którego sukcesorem wydaje się Zwiagincew.

Jednak religijna lektura *Powrotu* nie jest jednoznaczna. Jeśli ojciec jest zestawiany z Chrystusem, to przecież nie jest to miłosierny i łagodny Jezus z Ewangelii. Bóg w tym filmie to raczej surowy, choć kochający Jahwe ze Starego Testamentu. Skąd to przesunięcie? A dlaczego Bóg najpierw znika, potem niespodziewanie wraca, by zniknąć powtórnie, już ostatecznie?

Ojciec utożsamiony z Bogiem jest nieprzenikniony, pozbawiony niemal ludzkich gestów, do jakich zdolna jest matka. To Bóg niedostępny, groźny, dawca autorytetu, a nie partner do rozmowy, bo i tak jakakolwiek z Nim rozmowa ujawnia swoją trywialność. Nawet Jezus byłby tu pewnie raczej Jezusem wyrzucającym kupców ze świątyni i Jezusem „niosącym miecz” niż miłosiernym ojcem syna marnotrawnego. Skądinąd to



właśnie On jest marnotrawny – porzucił kiedyś rodzinę, teraz wraca i domaga się posłuszeństwa (wizja ta jest bliska wizji Boga, w jakiego „nie wierzy” podmiot wierszy Tadeusza Różewicza).

Podkreślmy od razu. W tym filmie ojciec (a więc w religijnym odczytaniu Bóg) jest przede wszystkim Tajemnicą. Opowiada on nade wszystko o ludzkim stosunku do Boga. Zwiagincew pokazuje, co prowadzi człowieka do Boga – czy raczej religii, a także co powoduje, że człowiek Bogu się nie podporządkowuje. Opowiada o cenie za bunt, jaką jest śmierć Boga (która może być przecież rozumiana jako Chrystusowa ofiara miłości, ale też może być odczytywana po Nietzscheańsku).

Religia tutaj oznacza przede wszystkim autorytet. Powrót ojca i jego misja byłyby zatem Jezusowe o tyle, o ile ziemskie nauczanie Jezusa było budowaniem nowego autorytetu religijnego. Miłość jest tu surowa, męska, momentami bezwzględna i okrutna. Nic zatem dziwnego, że dla Iwana jest ona podejrzana, może nawet nieprawdziwa. Iwan oczekiwał innego, łagodnego Mesjasza.

Zwiagincew przekornie odwraca biblijne, a zwłaszcza ewangeliczne motywy, zwłaszcza te dotyczące przedstawianych w różnych przypowieściach braci. Tutaj syn marnotrawny paradoksalnie zwycięża nad ojcem, choć nie o takie zwycięstwo mu chodziło. Z Andriejem i Iwanem raczej jest tak, jak z owymi braćmi, z których jeden ochoczo przytaknął ojcu, że wypełni jego polecenie, ale nie spełnił obietnicy, a drugi najpierw się sprzeciwił, a potem jednak wypełnił wolę ojca. Choć i pod tym względem sprawa nie jest jednoznaczna, bo ani Andriej mimo konformizmu nie zawodzi jednak ojca, ani Iwan nie do końca się „nawraca”.

Powrót daje dużo do myślenia, bo stanowi pełen żarliwości dialog z tradycją religijną. Wypływa z postawy niepokornego Iwana, który chce dowodów, chce być przekonany przez ojca. On wykrztusiłby z siebie słowo „t a t a”, ale musiałby do tego dojrzeć, na co nie starcza czasu.

To bodaj najważniejszy film religijny od wielu lat. Film o poszukiwaniu Boga w świecie, z którego On zniknął. Konkluzja jest wyraźna: zostajemy sami z naszą wiarą bądź niewiarą, z naszym życiem codziennym, z wyzwaniem świata. *Powrót* kończy się przeglądem serii fotografii z życia rodziny chłopców – to wyraźne nawiązanie do kontemplacji ikon w finale *Andrieja Rublowa* Tarkowskiego, nawiązanie polemiczne, bo miejsce rzeczywistości nieziemskiej zajmuje świat najzupełniej materialny, nawet banalny. Ale też w tym nawiązaniu tkwi głębsza myśl, bo właśnie codzienność i zwykłe życie stają się przedmiotem religijnej medytacji, nie są więc te zdjęcia tak odległe od świętych ikon.



Film *Zwiagincewa* to przykład najszlachetniejszego kina rosyjskiego, takiego spod znaku Andrieja Tarkowskiego. P o w r ó t prawdziwej sztuki wielkiego ekranu.

KRZYSZTOF BIEDRZYCKI, ur. 1960, krytyk literacki i filmowy, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej UJ. Wydał m.in. *Świat poezji Stanisława Barańczaka* (1995), *Małgorzata Musierowicz i Borejkowie* (1999).

Łukasz Maciejewski

Szkoła życia

Być i mieć (*Etre et savoir*),
reżyseria: Nicolas Philibert,
Francja 2002

Szkoła podstawowa jest pierwszą szkołą życia. Poznając litery, mnożąc i dzieląc, uczymy się, jak żyć. Spotkanie z niezwykle francuskim dokumentem *Być i mieć* w reżyserii Nicolasa Philiberta ma w sobie moc sensu terapeutycznego: oto my, dorośli, zagubiliśmy naiwność dziecka, odnajdujemy ją, dzięki filmowi, na nowo. Ta sama naiwność pozwala na powrót uwierzyć w sens bycia razem, we wspólnocie, wśród innych, w jednej szkole, w jednej ławce.

Z reguły jest bowiem zupełnie inaczej. Wszystko to zapamiętałem, niestety, z autopsji – obraz chmurnego oblicza niesympatycznej pani od matematyki, obleśnego wufisty, złośliwych współtowarzyszy szkolnej niewoli, dalej uporczywe wynaturzanie wrażliwości, charakteru, nadzór, a nawet terror. Od połowy sierpnia paraliżująca świadomość, że pierwszy września zbliża się nieubłaganie. Próby zaklinalnia rzeczywistości, przedłużania ostatnich dni wakacji, a te – jakby na złość – miały niepostrzeżenie. Pierwszy września to zawsze była dla mnie wojna, z perspektywy neurotycznego trzynastolatka znacznie bardziej dojmująca od drugiej światowej, bo pierwsza i najważniejsza – osobista. Rozdzierająca.

Proszę wybaczyć ten osobisty wtręt, wydał mi się konieczny, żeby zrozumieć znaczenie filmu, który pokazuje inną szkołę, innych nauczycieli i innych uczniów. Filmu, który w pewnym stopniu ocalił moją wiarę w to, że jednak może być inaczej. Że sztuka pedagogiczna polega na odrzuceniu pogardy, poniżenia, opiera się na szacunku i czułości.

Autora *Być i mieć*, Nicolasa Philiberta, jednego z najwybitniejszych dziś twórców kina dokumentalnego, od centrum zdarzeń zawsze bar-



dziei interesował margines. W świetnej *Krainie głuchych* (1992) uwznioślał głuchotę jako równoległy rodzaj kultury, w niczym nieustępujący „normalnym” zmysłom, w nagrodzonym Prix Europa *Mieście Luwr* (1990) Philibert pokazał setki ludzi pracujących w podziemiach muzeum. *Najmniejsza z rzeczy* (1996) opowiadała o pacjentach kliniki psychiatrycznej, którzy próbują wystawić Gombrowiczowską *Operetkę*.

W naszych kinach, zdominowanych przez produkcje amerykańskie, europejski film dokumentalny wyświetlany obok hitów nie ma wielkich szans na czołową lokatę w zestawieniach box office’u. Nie znaczy to jednak, że *Być i mieć* przemknął przez polskie ekrany niezauważony. Przeciwnie, ci którzy film Philiberta obejrzeli, zapamiętają go na długo. Może nawet na zawsze.

Pierwszy krok w dorosłość

Początek grudnia, na francuskiej prowincji sroga zima. W maleńkiej wiosce w górach Owernii czas dawno stanął w miejscu. Słyszymy pianie koguta, ryczenie krów i ptasi świergot. Świat jest dobry i łagodny. Ale za chwilę za oknami wiejskiej szkółki zacznie szaleć śnieżna zawieja, świerki w sąsiedztwie będą niebezpiecznie się przechylać, a pasące się na pastwisku krowy zbiją się w jedno stado. Patrzymy jednak na tę groźną naturę zza bezpiecznej przesłony. Jesteśmy bowiem w przyjaznej szkolnej sali, śnieżną zamieć oglądamy przez okno. Jeszcze jest pusto, tylko na podłodze swój standardowy maraton uprawia żółw, który jakimś cudem uciekł z terrarium i konsekwentnie kieruje pyszczek w stronę globusa. Za chwilę wkroczy wesola gromadka: to uczniowie z pobliskich wiosek i przysiółków. Za chwilę zobaczymy też ich nauczyciela, pana Georges’a Lopeza.

Mężczyzna jest spokojny i cierpliwy, może tylko trochę smutny. Dzieci pytają go o wszystko, często te pytania nie są zbyt mądre, ale widz nie czuje, żeby pan Lopez w jakiś szczególny sposób się dla nich poświęcał, przeciwnie – odnosimy wrażenie, że praca sprawia mu wielką frajdę. Wprowadzając swoich wychowanków w tajemnice elementarnej wiedzy, uczy ich tak naprawdę czegoś znacznie ważniejszego – jak żyć, żeby ocalić siebie. Klasa jest laboratorium życia, pierwszym krokiem w dorosłość.

Pan Lopez siedzi na ławce przed szkołą. Opowiada przed kamerą, że jest synem prostych ludzi. Jego ojciec był robotnikiem (hiszpańskim, stąd niefrancuskie nazwisko), mama rolniczką. Dla rodziców wybrany przez syna zawód nauczyciela był spełnieniem ich najskrytszych marzeń dotyczących przyszłości dziecka. Lopez jest nauczycielem od trzydziestu



pięciu lat, z czego ostatnich dwadzieścia przepracował właśnie tutaj, w tej szkółce. Mówi, że czas już kończyć pedagogiczną karierę – to jego ostatni rok przed emeryturą.

Dwa razy dwa

Filmowa wiejska szkółka w niczym nie przypomina naszych tradycyjnych podstawówek. Nie ma podziału na klasy, w jednej dużej sali uczą się dzieci starsze i całkiem malutkie, popłakujące w kąciku za mamą. Co naturalne – są dzieci bardziej i mniej zdolne, ale pan Lopez nie wprowadza między nimi żadnej rywalizacji. Te mniej zdolne nie boją się, że odpadną, nie dorównają do poziomu prymusów (wspaniała jest scena, kiedy cała rodzina łączy się przy wspólnym stole, żeby pomóc chłopcu rozwiązać zadanie z matematyki). Nawet dramaty, kłótnie, antagonizmy tonuje aurytetyt nauczyciela, który uczy dzieci przede wszystkim tego, że muszą być wartościowymi ludźmi, muszą osiąść umiejętność odróżniania, co jest dobre, a co złe. To ważniejsze od tabliczki mnożenia.

Osiem lat – tyle czasu spędzi w szkole każdy z małych podopiecznych Lopeza. To wystarczająco długo, żeby wyprowadzić dziecko z własnego wnętrza w świat innych, w dorosłość. Razem z dziećmi z francuskiej Owernii, z ich charyzmatycznym nauczycielem, na nowo poznajemy prawdy pierwsze, zapomniane. Ze ziemia kręci się dookoła słońca, a dwa i dwa to cztery. Ze cyfra „siedem” powinna być przekreślona równo w środku, a słowo „maman” musi mieć dwa równe „m”.

Film ma także swoje małe gwiazdy. Na przykład pięciolatek Jojo – równie rozkoszny kiedy nie może dokończyć rysunku na czas, kiedy próbuje zrobić ksero albo kiedy z niedowierzaniem patrzy na swoje brudne rączki.

Nie ma w dokumencie Philiberta nawet cienia egzaltacji. W jednej z najpiękniejszych scen w filmie Lopez pyta korpulentnego Oliviera o zdrowie taty. Chłopczyk nie ukrywa łez, mówi, że z tatą jest coraz gorzej (domyślamy się, że to rak). Lopez, głaszcząc chłopca po głowie, nie pociesza go w sposób sentymentalny, nie szafuje duserami i „złotymi myślami” w rodzaju: „nic się nie martw, tatuś jeszcze zatańczy na twoim weselu”. Nic z tych rzeczy. Dobry nauczyciel, patrząc chłopcu prosto w oczy, powie mu, że choroba jest częścią życia, trzeba starać się być zdrowym, ale jeżeli już ta choroba do nas przyjdzie, musimy się z nią pogodzić. Olivier, o dziwo, uspakaja się, ociera łzy. Zrozumiał chyba coś ważnego.



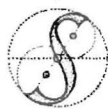
Kiedyś byliśmy mali

Tak bardzo przyzwyczailiśmy się już do obrazów szkolnych patologii, którymi niemal codziennie karmią nas media, że obraz normalności, z mądrym nauczycielem i fascynującymi dziećmi przyjmujemy jako idyllę. W filmie *Philiberta*, jak w sławnych dokumentach Krzysztofa Kieślowskiego, intencję reżysera odkrywamy poprzez obserwację pozornie zwyczajnej rzeczywistości. Agnieszka Holland, zachwycona *Być i mieć*, pisała w „Wysokich Obcasach”: „Dokument w tym wypadku ma siłę, jakiej nie może mieć żadna fikcja – nie musi uprawdopodobnić, jest prawdą. Staje się lekcją nadziei i mądrości. Uczy nas, jak uczyć, jak się uczyć i jak dojrzewać. Jak być”.

Przez rok (tyle trwała realizacja filmu) podpatrujemy codzienną krzątanie dzieci i ich nauczyciela. W tle towarzyszy nam cały czas piękno krajobrazu Owernii: górskie szczyty, zmienność pór roku. Zimą bezpieczeństwo daje szkolna sala, kiedy robi się ciepło, szkoła przenosi się na zewnątrz. Film przywołuje najpiękniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Każdego dzieciństwa. *Philibert*, pokazując swoich maluchów, nie przywołuje Freuda, nie chodzi mu o wyświetlenie ukrytych pragnień, które odrzuciła psychika. *Być i mieć* to raczej podświadomość jungowska, echa wspomnień, mitów i traum, które ożywają nieoczekiwanie. Trzeba tylko uwierzyć, że istniały, że był dobry pan Lopez, ogród, dobra mama i biały koń. Ze kiedyś byliśmy mali.

Na ławeczce siedzą Lopez i dziewczynka. Nie jest ani ładna, ani zdolna, tylko kompleksów u niej pod dostatkiem. Wie o tym wszystkim, ale dzięki nauczycielowi zrozumie, że jej inność jest też jej siłą. Bo Lopez naprawdę kocha swoje dzieci – czujemy to, kiedy opowiada im o odejściu na emeryturę, albo wtedy, gdy żegna się ze swoimi podopiecznymi na czas wakacji. Kiedy tak stoi na progu szkoły, patrząc na figurki odchodzących w dorosłość dzieci, widać wyraźnie, że w jego spojrzeniu kryje się coś jeszcze. Pewność, że szkoła była wentylem bezpieczeństwa, ale że dalej może być różnie. „Mieć” zapewne także niekiedy zwycięży „być”. Ale może będzie jednak odwrotnie?

ŁUKASZ MACIEJEWSKI, filmoznawca, dziennikarz radiowy, krytyk filmowy, doktorant w Katedrze Amerykanistyki UJ, współpracownik wielu pism kulturalnych.



połączenie nieobojętnych

Anna Głąb

Oswoić odrzucone dziecko

Adrianek jest najmłodszym z trojga rodzeństwa. Kiedy państwo Wilkowie jeszcze w Domu Dziecka zaprosili całą trójkę do pokoju widzeń, pani Joanna poczuła od półtorarocznego Adrianka niemiły zapach. Była pewna, że ma brudną pieluchę. Okazało się jednak, że pielucha jest czysta. To jego skóra i włosy wydzielają ten smród starych kapci. Półtoraroczny chłopczyk śmierdział jak kloszard. Pani Joanna uważa, że odrzucone dzieci mają inną fizjologię i zamiast pachnieć jak zwyczajne niemowlęta, wydzielają w charakterze obrony lub ze strachu nieprzyjemną woń. Skóra Adrianka odzyskała zdrowy kolor i zapach dopiero po pół roku przebywania w normalnych warunkach domowych.

Państwo Wilkowie – choć mają troje swoich dzieci – chcieli dać coś z siebie przynajmniej jednemu obcemu dziecku. Później okazało się, że mogą zrobić coś dobrego dla siedmiorga dzieci, tworząc z nimi rodzinny dom dziecka. Pani Joanna, pracując przez kilka lat jako pedagog w sandomierskim gimnazjum, a pan Waldemar jako kurator społeczny, a teraz dyrektor przedszkola i szkoły w Nowym Garbowie, przekonali się, że placówki wychowawcze, takie jak domy dziecka, nie zawsze potrafią przystosować osierocone dzieci do normalnego życia, a już na pewno nie potrafią dać im tego, co najbardziej potrzebne i oczekiwane – miłości. Dlatego oboje dziś prowadzą rodzinny dom dziecka, opiekując się dziesięciorgiem dzieci. Atmosfera takiego domu pomaga w jakimś stopniu (bo pewnie nie całkowicie) powrócić dzieciom, skrzywdzonym przez najbliższych, do normalnego życia. Dzięki kontroli i pełnemu zainteresowaniu rodziców dzieciaki wychodzą stopniowo z zaburzeń emocjo-



nalnych, choroby sieroczej i zespołu FAS (poalkoholowy syndrom płodowy), a nawet robią postępy w szkole. Najstarsza z córek państwa Wilków, Monika, jako jedyna w klasie uzyskała świadectwo z wyróżnieniem, a Sylwia, ucząc się matematyki niemal od podstaw, zdała do technikum ekonomicznego, choć wcześniej wagarowała i chciała zakończyć edukację na zawodówce.

Dzieci wiedzą, że mają dwie mamy: mamę, która się nimi opiekuje, i drugą – mamę-gościa, jak nazwała swoją biologiczną matkę Dominisia. Wizyty rodziców biologicznych, zdaniem pani Joanny, wyrządzają dużo szkody dzieciakom. Matki składają obietnice bez pokrycia, przekonują, że wrócą, i nie wracają. W ten sposób odnawiają zabliźnione rany, dręcząc dzieci koszmarными wspomnieniami. Niszczą to, co z takim trudem Wilkowie starali się odbudować – poczucie bezpieczeństwa, trwałości i miłości.

Z jakimi problemami najczęściej borykają się rodzice prowadzący rodzinny dom dziecka? Podstawowe trudności wiążą się zazwyczaj z wymogami formalnymi: zbiurokratyzowaniem urzędów, formalistycznym podejściem wielu urzędników, sztywnym systemem kontroli. Dla wielu rodziców największym zmartwieniem jest to, że ze względu na nieelastyczny budżet placówki edukacja ich dzieci jest na niższym poziomie. Wynika to bowiem nie tyle z opóźnień rozwojowych dzieci, co przede wszystkim z braku środków na dodatkowe zajęcia (np. naukę języków obcych). Jako że największe różnice między wychowankami rodzinnych domów dziecka a ich rówieśnikami dostrzega się w wieku przedszkolnym i na etapie szkoły podstawowej, najważniejszą formą pomocy dla rodziców jest dofinansowanie zajęć wyrównawczych dla tych grup wiekowych. Choć dzisiaj z dodatkowej pomocy edukacyjnej wolontariuszy korzysta $\frac{2}{3}$ rodzinnych domów dziecka, pomoc ta często nie jest zorientowana na konkretne grupy wiekowe, a także w małym stopniu obejmuje naukę języków obcych.

Dlatego Fundacja Świętego Mikołaja wraz z Urzędem Miasta Warszawy i Koalicją na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej przygotowała multimedialną kampanię mającą na celu popularyzację rodzinnych domów dziecka i zbiórkę pieniędzy na fundusz edukacyjny dla nich. Spójrzmy na statystyki, by dostrzec wagę tej inicjatywy. W Polsce ponad 170 tysięcy dzieci znajduje się pod kuratelą sądów, w tym 80 tysięcy to dzieci mieszkające pod opieką swoich rodziców biologicznych. Reszta dzieci przebywa w placówkach wychowawczych: ponad 50 tysięcy w rodzinach zastępczych, niemal 17 tysięcy w domach dziecka, a tylko 1933



dzieci (czyli 2%) w rodzinnych domach dziecka¹. Choć liczba dzieci w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat zmniejszyła się o prawie dwa miliony, liczba tych, które pozostają pod opieką sądów rodzinnych, jest alarmująco wysoka. Odsetek rodzin patologicznych ciągle rośnie, dlatego organizacja opieki nad osieroconymi dziećmi staje się poważnym problemem społecznym, a także wyzwaniem dla rządzących i organizacji pozarządowych.

Dlaczego rodzinne domy dziecka są dobrym miejscem wychowania osieroconych dzieci? Powodów jest wiele, a wśród nich znajduje się ten najprostszy: dzieci mieszkają w prywatnych domach nieróżniących się od innych, co pozwala im pozbyć się piętna sieroctwa. Dzieci mają stałych opiekunów, co jest niezmiernie istotne dla ich rozwoju emocjonalnego i intelektualnego. Niewielka liczba dzieci mieszkających w jednym domu (maksymalnie sześcioro) sprawia, że każde otoczone jest troską opiekuna, dbającego o jego edukację i rozwój moralny. Nadrabiając braki szkolne, dzieciaki mogą osiągnąć wyższy poziom wykształcenia niż te, które zdane na siebie przebywają w dużych domach dziecka i nikt z nimi indywidualnie nie pracuje. Rodzinny dom dziecka różni się od zwykłej placówki wychowawczej przede wszystkim tym, że dzieciaki uczą się w nim szybko usamodzielniać – sprzątać po sobie, zanosić brudną bieliznę do pralki, zakładać skarpetki i sznurować buty, a nawet przyrządzać śniadania czy kolacje. Tradycyjny dom dziecka nie przysposabia do takiej samodzielności. Osiemnastolatki dostają zazwyczaj po dwa tysiące złotych wyprawki i pozostawieni samym sobie, nieprzygotowani do życia, często kończą na ulicy lub wracają do swoich rodzin, uzależniając się od alkoholu lub narkotyków.

Do zalet rodzinnych domów dziecka zaliczyć należy również to (co szczególnie powinno przekonać urzędników), że są one tanią formą opieki. Na utrzymanie jednego dziecka potrzeba 1300 złotych miesięcznie, podczas gdy w domu państwowym koszt utrzymania jednego podopiecznego wynosi od dwóch do trzech tysięcy złotych. Wynikiem niewątpliwej sprawności działania rodzinnych domów dziecka jest to, że ich wychowankowie rzadziej korzystają z form opieki społecznej w momencie usamodzielniania się. Zatem nawet z punktu widzenia podatnika korzystniejszą formą opieki nad dziećmi jest rodzinny dom dziecka.

Liczba domów rodzinnych stale rośnie: w 2000 roku istniały 154 takie placówki, w marcu 2004 roku było ich już 236. Najwięcej rodzin-

¹ Raport *Zmiany w Systemie Opieki nad Dziećmi*, Wyd. Pedagogiczny UW 2002.



nych domów dziecka jest we Wrocławiu – ponad dwadzieścia, najmniej w Warszawie – zaledwie jeden. W Warszawie trwa właśnie rekrutacja rodziców, którzy chcieliby zaopiekować się takim domem.

Szczególne słowa uznania należą się Fundacji Świętego Mikołaja, która od kilku lat – na czele z prezesem, filozofem z wykształcenia, Dariuszem Karłowiczem – organizuje społeczne kampanie reklamowe. Do najbardziej znanych należą akcje zachęcające do wsparcia Caritas (kampania pod hasłem „Bóg się rodzi. Pomóż samotnym matkom”), Stowarzyszenia Tęcza („Kochaj niewidome dzieci”), Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci („Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”) i Polskiej Akcji Humanitarnej. Przy organizacji kampanii bezpłatnie pracują dziesiątki osób, firm i instytucji.

Misją Fundacji Świętego Mikołaja jest propagowanie solidarności z potrzebującymi, uwrażliwianie na problemy społeczne, wspieranie rozwoju instytucji obywatelskich i promowanie wartości republikańskich.

Środki na fundusz edukacyjny dla rodzinnych domów dziecka prosimy kierować na konto Fundacji Świętego Mikołaja:

Volkswagen Bank Polski S.A. 37 2130 0004 2001 0299 9993 0002

Fundacja Świętego Mikołaja
ul. Przesmyckiego 40
05-500 Piaseczno
tel./fax: 0 661 116 199, (22) 756 89 00
www.mikolaj.org.pl
e-mail: mikolaj@mikolaj.org.pl

Dodatkowych informacji o kampanii udziela:
Agnieszka Rojewska, 0 606 233 990, a.rojewska@active.pr.pl
Anna Zygoń, (22) 654 61 16 w. 27, a.zygon@active.pr.pl

Tekst napisany na podstawie materiałów udostępnionych przez Fundację Świętego Mikołaja: reportażu Krystyny Stefankiewicz oraz informacji prasowych („Potrzeby edukacyjne w rodzinnych domach dziecka”. Omówienie badań przeprowadzonych przez MillwardBrown SMG/KRC, Raport 2004; Grunt to rodzina. Pomóż rodzinnym domom dziecka).



ekomendacje

♦ Czytanie cudzej korespondencji, nawet jeśli jest ona zebrana w książkę, sprawia, że czuję się nieswojo. Miałam duże opory przed wzięciem do ręki *Listów 1963-1996* (Wydawnictwo Literackie 2004), które w tychże latach wymieniali między sobą **Sławomir Mrozek** i **Jan Błoński**. Długo walczyłam z uczuciem dwuznaczności, jaka towarzyszy tego rodzaju lekturze, by w końcu ulec szczerości i osobistemu tonowi wypowiedzi korespondentów. *Listy* to wielki materiał dla historyków literatury i historyków zajmujących się Polską i Europą współczesną, a wreszcie – po mrozkowemu rzecz ujmując – „historyków spraw wewnętrznych”. Ogólne wrażenie, jakie wynosi się z lektury, można by streścić w zdaniu: obaj korespondenci mieli wielkie szczęście (ale i „nosa”), że odnaleźli się wzajemnie. Mamy tu do czynienia z dwiema bogatymi, dopełniającymi się osobowościami: Mrozek, w listach zdumiewająco – jak na znanego milczka – wylewny i zdumiewająco – jak na logicznego dramaturga – chaotyczny, zawsze lekko chłodny, wnikliwy i wciąż w duchowej potrzebie, a z drugiej strony precyzyjny, diagnozujący sytuację psychologiczną, opiekuńczy i ciepły Błoński. Ujęło mnie przede wszystkim uczucie przyjaźni i zaufania, jakim korespondenci darzyli się wzajemnie.

„Wziąwszy pod uwagę okoliczności i przeciwności – życie mi się udało i zdaje się, że załatwiłem w nim sobie już wszystko, co miałem do załatwienia” – pisze Mrozek do Błońskiego w liście z 16 stycznia 1996 roku, na co dostaje odpowiedź: „...cieszę się, że Twoje zdrowie w porządku, a zarazem się martwię, że nie czujesz się, jak się to mówi, zadowolony z życia. Ośmielę się Ci zaproponować, abyś się zastanowił, co Ci sprawia przyjemność, i postarał się temu poświęcić. Podejrzewam, że byłoby to napisanie czegoś, ale może nie sztuki, wspomnień, marzeń, złośliwości... to już sam musisz wiedzieć...”. Na to Mrozek: „Radzisz, bym nie pisał sztuk, ale raczej prozę, i to raczej terapeutyczną, wspomnienia, introspekcje... Ale ja nie czuję, żebym miał z czego się leczyć. Owszem, kiedyś miałem, dużo tego było, im dalej w młodość, tym więcej, ale już nie. I to właśnie, a nie ileś tam napisanych przeze mnie książek i sztuk teatralnych uważam za moje życiowe osiągnięcie, za spełniony obowiązek wo-



bec długiego życia. (...) Nie mam więc już z czego się leczyć ani czego zaspokajać. A co do pisania, to nie ma obawy (...), pisanie jest aktywnością mi przyrodzoną, to jest funkcjonalne i bez pisania raczej gorzej niż lepiej się czuję, jak mleczna krowa, której nie wydojono”.

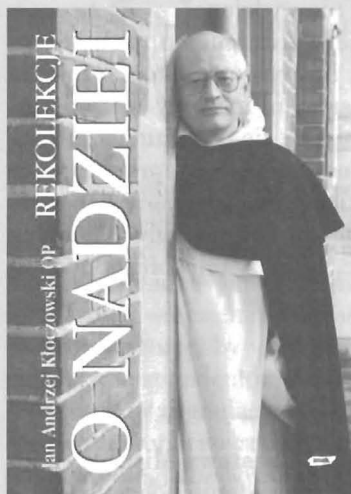
Widzimy, jak ze wzajemnego niepełnego zrozumienia rodzi się rozumienie głębsze; także siebie samego, i to nawet niekoniecznie za sprawą odkrycia, że rozmawiając o tym samym, mówimy o czymś innym. Obserwujemy, jak korespondenci zbliżają się do rozumienia swoich intencji, a w końcu do głębszego pojmowania istoty sprawy. Dokonuje się to pod jednym wszakże warunkiem: rozmawiający darzą się wzajemnym szacunkiem i zaufaniem. To jedna z tych znanych, starych prawd, nieczęsto realizowana w praktyce, która w tej korespondencji znajduje piękne potwierdzenie.

Mira Kuś

• Los zrządził, że jest to ostatnia książka **Czesława Miłosza**, która ukazała się za jego życia. Mowa o bibliofilskim wydaniu poematu ***Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*** (słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2004) przygotowanym z okazji trzydziestej rocznicy powstania tego bodaj najświetniejszego dzieła Poety. Sam Autor zdążył je jeszcze opatrzyć zwyciężym wstępem, w którym pośrednio potwierdza, że to jego *opus magnum*, i objaśnia ideę utworu: „jest to (...) operacja przywrócenia rzeczy minionych w ich postaci opierającej się przemijaniu, niejako oczyszczonej”. Cały siedemdziesięciostronicowy poemat, dający się porównać chyba tylko z *Czterema kwartetami* Eliota, przynosi poetycką wizję ostatecznego sądu, który „staje się już”. W ostatniej części poematu *Dzwony w zimie* Miłosz dociera w pobliże apokaliptycznej nowej ziemi, nowego nieba, które okazują się „przywróconym” Wilnem. Nie znam w poezji XX wieku religijnego obrazu Końca o porównywalnej zmysłowej sugestywności i równie nieodpartej sile. Owinięta w chustę służąca Alzbieta, która kroczy przez ośnieżone Wilno, by zdążyć na poranną mszę, jest pierwszą ocaloną od nicości, a zarazem odkupioną. Choć poemat kończy się gorzkim wyznaniem: „Sądzony byłem za rozpacz, bo nie mogłem tego zrozumieć”, przeczuwamy, że od rozumienia ważniejsza jest zdolność widzenia – ta sama, którą przywraca czytelnikom olśniewające *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*.

Ł.T.

znak



Jan Andrzej Kłoczowski OP **O nadziei**

Książka jest zapisem rekolekcji znanego krakowskiego duszpasterza stanowiących próbę odpowiedzi na pytanie, jak zachować nadzieję w świecie, który zdaje się stale kwestionować jej źródła.

Nadzieja jest w pewnym sensie bezbronna, dlatego że nie można się jej uczyć, nie można podać sposobu na to, jak ją zdobyć, choćbyś uczył się tysiąca rzeczy z psychologią i medytacją włącznie. Nadziei nie można się nauczyć, ponieważ jest zawsze pokorna. Wie, że jest jakimś darem, który przychodzi do człowieka.

(Jan Andrzej Kłoczowski OP)



Piszcie do nas:
rok1984@znak.com.pl

Zapraszamy na stronę:
www.1984.znak.com.pl

Redakcja rubryki Rok 1984: Michał Godzic, Jakub Lubelski, Katarzyna Marek, Janka Skrzypek, Paweł Szeligo

PRÓBA MIKROFONU

NUMER 8/II 2005

Drodzy Czytelnicy,

Odnieśliście już sukces?

A czy jesteście gotowi na porażkę?

Odpowiedzi na te pytania nie są tak oczywiste, jak się wydają. Na naszych łamach swoje sądy przedstawiają młodzi ludzie z bardzo różnym bagażem doświadczeń: studenci prestiżowych uczelni brytyjskich, rozczarowany praktykant-dziennikarz, niepewny swego losu absolwent prawa i były yuppie, zdobywca tegorocznego Paszportu „Polityki” w dziedzinie literatury – Sławomir Shuty.

Za miesiąc czytacie o „młodej” muzyce!

Redakcja Roku 1984

MARCIN DARMAS
byłem praktykantem

s. 162

EMILIA SKRZYPEK
success

s. 166

MICHAŁ
sukces po polsku

s. 169

SŁODKA TRUCIZNA
rozmowa
ze Sławomirem Shutym

s. 174



nys. Jacek Karaszewski

MARCIN DARMAS

byłem praktykantem

1. W mojej szkole wyższej, tak jak w każdej innej szkole, należy odbyć trzy miesiące praktyk. Większość rezerwuje na ten cel kowatek wakacji. Tak chciałem i ja. Zmierzałem praktykować w pewnej znanej gazecie. Chodziłem tam z paroma innymi studentami na warsztaty dziennikarskie pod dowództwem pani Marianny. Sądziłem, że praktyka będzie naturalnym przedłużeniem moich wcześniejszych zajęć. Kto wie, może nauczę się czegoś więcej? Poczuję prawdziwą atmosferę redakcji o tak długich i szacownych tradycjach: będę chodził szlakami patrona mojej szkoły, a także jej rektora i niektórych wykładowców. Dalibóg, to był naprawdę dobry pomysł! Już w czerwcu powiedziałem pani Mariannie, że chciałbym wraz z garstką przyjaciół popraktakować we wrześniu, tuż przed rozpoczęciem zajęć.

– Nie ma problemu, panie Marcinie – powiedziała pani Marianna. – Akurat we wrześniu będę w Krakowie. Proszę tylko zrobić listę zainteresowanych i przysłać mi ją mailem.

Ucieszyłem się bardzo. Listę skompletowałem i wysłałem szybko do pani Marianny. Kontent pojechałem na wakacje. W sierpniu pomyślałem, że wypadłoby się przypomnieć. Pani redaktor Marianna ma z pewnością wiele innych obowiązków. Moja praktykancka sprawa na pewno nie

należy do jej priorytetów. Wysłałem maila z potwierdzeniem mojego przyjazdu do Krakowa we wrześniu. Wiadomość to pozostała bez odpowiedzi. Tydzień później wysłałem drugą wiadomość – *idem*. Kolega Michał, który miał ze mną też praktykować, zadzwonił do pani Marianny. Uspokoiła nas, o wszystkim pamięta. Mieliśmy się stawić w redakcji 1 września o godzinie 10.

2. Prawie prosto z plaży przyjechałem na umówione spotkanie. Przed wejściem do redakcji stali moi współtowarzysze. Nie było czasu na wakacyjne opowieści – wchodzimy. Na portierni czterech flegmatycznych redaktorów opierało się o wysokie biuro.

– Pani Marianna... pani Marianna? – powtarzali, jakby to imię słyszeli po raz pierwszy – no chyba jest pani Marianna!

– Chociaż ona zwykle pracować zaczyna o jedenastej – rzekł mały, krępy redaktor.

– Eeee.. Ona tu na pewno gdzieś jest – odpowiedział drugi – dam se ręce uciąć, że ją dziś widziałem. Pójdę po nią, zobaczycie.

Poszedł, wrócił po chwili zażenowany, rozkładając ręce (te, które chciał sobie uciąć) i lakonicznie stwierdził: „Ano prawdo, nie ma jej jeszcze”.

Kazano nam usiąść i grzecznie czekać. Usiedliśmy. Ściany ustronnego pokoju były wyścielone archiwalnymi numerami tej legendarnej gazety. Z tego miejsca mogliśmy zaobserwować redakcyjną krzątanię. Minuty mijały.

Zrobiło się nagle niemrawo i nudno. Wymyśliliśmy głupie gry. Na centralnej ścianie wisiały zdjęcia zasłużonych, którzy mają swój wkład w rozwój pisma: twórca i długoletni redaktor naczelny, obecna zastępczyni redaktora naczelnego, słynny poeta i inni. Jeden z nas wybierał wzrokiem którąś z postaci, wymawiał jej na-

zawisko, a dwóch pozostałych musiało jak najszybciej znaleźć jej zdjęcie. Czas leciał...

Zaczęliśmy buszować po archiwum.

Następna gra była bardziej subtelna niż pierwsza. Należało napisać na kartce najbardziej ekscentryczną frazę wyjętą z aktualnie czytanej książki. Jeden kolega miał przy sobie *Czarodziejską górę* Manna, drugi *Dzienniki Gide'a*, ja miałem *Twierdzę Saint-Exupery'ego*. Wyszło nam dość osobliwe, długie i proustowskie zdanie: „Lud cierpi w kroku, respektując seraficzne światło (po sześć franków balon), kreśląc perfekcyjne rysunki na kieszeni kamiżelki z brodą sterczącą do góry”.

A minuty mijają, mijają, mijają... W końcu pojawiła się Pani Redaktor i spytała, co my tu robimy. Powiedzieliśmy, że my tu praktykanci młodzi, zwarci do pracy, czekamy na dyrektywy pani Marianny, co się zaraz zjawi.

– Przecież pani Marianna jest na wakacjach. W ogóle teraz mamy taki urlopowy okres w gazecie, mało się dzieje – zdziwiła się Pani Redaktor.

I na tym możemy zakończyć opowieść o moich przygodach w tym sławnym piśmie. A napisałem tam tylko jedno zdanie (nie do końca zresztą sam).

3. Moja początkowa energia trafiła wyraźnie na opór nagłych zdarzeń. Z towarzyszami niedoli szukaliśmy jakiegoś szybkiego rozwiązania. Wydedukowaliśmy, że należy sprawę niezwłocznie zameldować w naszym dziekanacie. Oni tam mają speców od takich przypadków. Zafatwają nam wnet nowe praktyki i jakoś to przecież będzie. Tam zaś, choć intencje były jak najlepsze, nie udało się nic pewnego znaleźć. Uprzejmy Pan Dziekan dał nam namiary do paru instytucji, które mogłyby nas zatrudnić. Oczywiście nie wszystkich razem. O tym nie ma już co marzyć.

Znowu poczułem, że jest mi trochę niemrawo, tak jak w tej wielkiej sali redakcyjnej. Patrzyłem na moich towarzyszy i poczułem powiew konkurencji. Od tej chwili nie ma paczki, koniec. Jest indywidualny los każdego z nas. Każdy musi się bić o jakieś miejsce.

Zaczyna się wyścig...

4. Co robi dorosły, dwudziestoletni człowiek w opresji? To jasne, dzwoni po pomoc do taty. Wyłożyłem mu całą sprawę. Zastanowił się przez chwilę:

– Mam kumpla w telewizji!

Tata ma kumpla w telewizji... Ach! niemrawości przekęta – znowu ona! Mimo wolnie, chcąc nie chcąc, stanęła mi przed oczami scena z *Rejsu* – rozmowa o polskim filmie. Że aktor zapala papierosa, patrzy w lewo, patrzy w prawo... I nic! Nuda! Nic się nie dzieje. „A kto za to płaci?” – retorycznie pyta inżynier Mamoń. „Ja za to płacę, pan za to płaci” – odpowiada sam sobie. A niezbyt zainteresowany Himilbach mówi: „Społeczeństwo!”. Takie miałem skojarzenie z telewizją.

– Halo! Halo! – budzi mnie z odrętwienia głos w słuchawce. – Nic nie obiecuję, ale zadzwonię do niego.

Po kwadransie wszystko było zafatwione. Mam się stawić w telewizji 13 września o godzinie 10. Aha, i jeszcze jedno, mam się spotkać z koordynatorem praktyk, panem Antonim.

5. Pędzę na spotkanie. Obym się tylko nie spóźnić! Jestem!

– Identyfikator – mówi mi na portierni wysoki jegomość z ochrony. U boku ma przypiętą prawdziwą długą patkę i prawdziwy pistolet (nie takie bądziwia na kapiszony, co w telewizji właśnie pokazują).

– Nie mam identyfikatora, mam umówione spotkanie z panem Antonim – nieśmiało odpowiadam, trochę żartem, uśmiecham się przyjaźnie (może mnie się tak tylko wydaje, że jestem miły).

– No, no, no... – sarkastycznie śmiejąc się, mówi ochroniarz. – Ja pana wpuścić nie mogę, musi być identyfikator.

– Ale ja mówię, że nie mam! Co mam zrobić, żeby taki identyfikator zdobyć?

– No, ja nie wiem... Niech pan spyta w kadrach: piąte drzwi na lewo – pokaże mi ochroniarz drzwi korytarza.

No i do telewizji bez identyfikatora wszedłem. Szukam kadr. Piąte drzwi na lewo, pamiętam. Na drzwiach plakietka: Dział Kadr, a pod spodem: Kierownik – Pan-kracy K., Zastępca – Anna C., Sekretarz – Ewa S., Sekretarz – Agnieszka F., Sekretarz – Ewelina D., Sekretarz – Halina T.

„Kadra kadr” – głupio pomyślałem w duchu. Zapukałem – wszedłem. W pokoju siedziały cztery panie. Żle trafiłem, właśnie jadły śniadanie.

– Słucham? – grzecznie pyta jedna z nich.

– Jestem studentem i mam spotkanie z panem Antonim w sprawie praktyk. Na portierni powiedziano mi, że muszę tutaj wyrobić identyfikator.

– Praktyki? A ma pan skierowanie na praktyki? Bez tego identyfikatora nie wyrobimy. A poza tym musi pan mieć zrobione szkolenie BHP. Bez tego też identyfikatora nie zrobimy. Ma pan CV? – Chapmanę kawalek kanapki (i mlaska).

– Mam.

– To proszę – Chapmanę znowu. Kawalek szynki wystaje jej z buzi, wciąga go jak makaron (i mlaska). Wytarła ręce i CV łapczywie wzięła.

– A co w takim razie ze spotkaniem, skoro nie mogę wejść bez identyfikatora? – rozpaczliwie zapytałem.

Pani sekretarz nie podobał się chyba mój zapach. Mnie po prostu jakoś tak za bardzo zależało. „Co to za uparciuch?” – mówiły jej bystre oczy.

– No właśnie... Wie pan co? Damy panu taki czasowy identyfikator, taki „dla gości”.

6. Pośpiesznie przypiąłem identyfikator i pędzę do wskazanego mi przez miłe panie sekretarki „news roomu”.

Przed „news roomem” stoi paru redaktorów ubranych w wytarte, stalowe garnitury. Każdy długo zaciąga się bezfiltrowym papierosem. Jeden z nich wygłasza jakąś ważną kwestię, która ma być tematem telewizyjnego reportażu. Chodziło o jakieś malwersacje przy gruntach dawnej fabryki.

– Nie, nie, nie! – krzyczy stojący w środku redaktor. – Do dupy z takim materiałem! Gdzie w tym, co mówisz, jest news? Daj mi newsa!

– Ale Antoni... (O! Antoni to ten, z którym muszę się spotkać) – mówi z emfazą dziennikarz – w tym jest naprawdę dobry news! Pomyśl, ile tam kasy poszło na lewo, a właściciel chodzi spokojny i ma wszystko w dupie! Robi na szaro wszystkich: administrację, urząd, pracowników.

– Do dupy! – powtórzył redaktor Antoni i szybko zniknął.

7. Czekam na pana Antoniego. I znów niemrawo, głupio i niemrawo. Ściany puste, nie ma gazet do poczytania. Jak szedłem na spotkanie, na Kalwaryjskiej wisiał billboard anonsujący ostatni hit Spielberga, mam przed oczami jego treść: „TERMINAL – Życie jest czekaniem”.

8. Nagle przybiegł pod progi „news roomu” niewysoki jegomość w dżokajce. Ruchy miał szybkie i precyzyjne. Kolor nosa fioletowy. Patrzył zakrwawionymi oczami dookoła i szukał celu – jakiegokolwiek. Nieważne. Zobaczył mnie i zagadał:

– Praktykant, co?

Afirmatywnie kiwnąłem głową. Pomyślałem o najlepszej definicji dla takiego praktykanta: „wiecznie stojący bałwan, szuka-

jący porozumienia z otoczeniem i niezna-
jący litości w szeregu instytucji". Podat
mi rękę: „Mów do mnie Jasiu”.

– W tym fachu – ciągnął mój rozmów-
ca – trzeba mieć parę. Bez tego zginiesz.
Łapiesz szybko informację – news! Dzien-
nikarz bez newsa zginie. Jak pies zginie,
rozumiesz? (Zaciągnął się bezfiltrowym
„fajrantem”, widziałem, jak wyciągał
z paczki). – Daję wam trzymać kamery?
To podstawa: umiejętność trzymania ka-
mery. Montażu to jeszcze da się nauczyć.
Tego nauczę takiego jak ty w pięć minut.
Tam nie ma filozofii. Tu dajesz wywiad,
tam kawatek ulicy, w tle dajesz mądry tekst
i po robocie. Ale trzymać kamerę – to,
bracie, fach prawdziwy. Ręka ci drgnie
i możesz cały materiał do kubła wyrzucić.
A nie masz już szansy na korektę. Opera-
tor jest jak kowboj: strzela raz – spuźtuje
– koniec! Nie żyje. (Zaciągnął się, ręce
zaczęły mu drżeć).

– Od dawna tu pracujesz? – zapytałem
nieśmiało.

– Eeee... jestem tu, jestem tam, a jutro
mnie nie ma. Wolny strzelec jestem! Ro-
zumiesz? Pracuję też w innej telewizji. Moja
dziewczyna też tam pracuje, prezenterką
jest. Ale oni tam mają chorobę pod tytu-
łem „lojalność”. Ja się tego boję. Chcę
być na fulla wolny. Tutaj piszę, co chcę
zrobić – scenariusz, rozumiesz. Władza
mówi, czy im to pasuje: jak tak, dają ka-
merę, operatora i robisz! Meldujesz się co
jakiś czas z materiałem i prezentujesz.
W tamtej telewizji robię taki program re-
porterski. Kilerką się zajmuję, wiesz, gwał-
ty, seryjne zabójstwa – to mnie kręci! (Zga-
sił papierosa).

– Robisz może coś poważniejszego,
jakiś większy projekt?

To pytanie najwyraźniej go zażenowa-
ło. Nie chciał odpowiedzieć, jakby się bał,
że musi mi skłamać. Uśmiechnął się jed-
nak porozumiewawczo i odpowiedział:

– Tak, robię film o dancin-
gach dla se-
niorów. Trochę mi się ręce trzęsą i kaca
mam, no, bo wiesz... Śledztwo dzien-
nikarskie!

9. Tutaj możemy pomatu kończyć tę
opowieść. I dla wyjaśnienia: w końcu spo-
tkałem się z redaktorem Antonim. Powie-
dział mi, że ostatecznie mogę praktyko-
wać, ale może mi się to nie spodobać,
jakby co, podpisze mi zaliczony tydzień,
miesiąc – ile będę chciał. Dlaczego? Bo
praktyki to takie inne czekanie. Czekasz
przed news roomem, aż ktoś się nad tobą
zlituje i weźmie w „teren”. Szanse, że się
pajędzie, są naprawdę marne z czysto
praktycznego powodu. Zwykle nie ma
miejsca dla studenta w samochodzie
(w „teren” zabiera się dziennikarz, dźwię-
kowiec, operator i... kierowca). Niektórzy
dziennikarze zaś nie zabierają studentów
z pobudek ideowych, bojąc się, że młoda
dusza mogłaby coś zepsuć, sparać. Choć
w rzeczywistości w niczym szczególnym
nie bierze udziału. Tylko patrzy. Był taki jeden
wielki żurnalista (wielki posturą), który za
każdym razem, gdy student prosił go, by
mógł mu asystować, mówił, że tak na-
prawdę nie jedzie kręcić materiału, tylko
„do lekarza”. Że ogólnie źle się czuje i ma
umówioną wizytę. Nieważne, która była
godzina: 10, 11, 12 czy 18. „Idę do leka-
rza”. Prócz tego były niepokorzone plot-
kary z „kroniki”. Kawa w ręku, papieros
w zębach. Silny makijaż na twarzy, moda-
ne kiecki i dystyngowana polszczyzna.
A gadają o Jasiu, co dziś „nie kontaktu-
ję”, o meduzach w morzu śródziemnym,
co jak „ciachną” w nogę, to noga spalo-
na, i o tym, że choć ma się dzisiaj blisko
pięćdziesiąt lat, to jeszcze można coś zwo-
jować w tym marnym życiu...

10. Nie chciałem tam pracować. Za-
łatwiłem identyfikator, zrobiłem szkolenie
BHP i po dwóch tygodniach poprosiłem

o podpis w dzienniku praktyk. Podpisano bez mrugnięcia. Popatrzyłem na papier świadczący o mojej sfatszowanej praktykanckiej partycypacji i jakoś pomyślałem głębiej o tym wszystkim, co mnie spotkało.

Pomyślałem o Polsce. Skorumpowani politycy, kulejące budżety, nepotyzmy, śmierdzące powiązania. Taka ona była i jest, ta Polska właśnie. A media? Ta na pozór jedyna zdrowa i dobrze spełniająca swoje zadanie instytucja? Ta niezawisła, strzelająca w nieprawość i absurd czwarta władza? Poranek w „Sygnałach Dnia” i problem mediów publicznych, ich przydatności. Wszyscy (no prawie) jednoznacznie zgadzają się, że takie media są nam potrzebne. Że mają swoją społeczną misję. I te frazesy odbijające się jak czkawka: „zachować kulturę”, „społeczny obowiązek”, „dążenie do prawdy”... Tego polskim mediom nie mogę wybaczyć. Taniego moralizatorstwa i manipulowania faktami. Nie relacjonuje się rzeczywistości, tylko umiejętnie zestawia jej zepsute elementy. Takim sposobem telewizja kreuje nową rzeczywistość i każe nam w nią wierzyć...

11. Każdy inną Polskę sobie śnił.

Dla mnie Polska to załatwienie kwitka na praktyki, długie korytarze bezsensu, błaganie, upodlenie, skomlenia i grymasy. Gdy to wszystko ci się uda, jest ci wstyd, a w duchu powtarzasz sobie: po co?

MARCIN DARMAS (ur.1984) studiuje socjologię w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie.

EMILIA SKRZYPEK

SUCCESS

Wielu z nas za szczyt marzeń uznałoby możliwość kształcenia się w uczelni należącej do ścisłej światowej czołówki uniwersytetów, osiągnięcie wysokiego statusu materialnego i pozyskanie międzynarodowego grona przyjaciół. A jak sukces rozumieją ci, którzy w powszechnym mniemaniu osiągnęli już bardzo wiele? Czym jest on dla początkujących studentów Oksfordu, Cambridge, London School of Economics czy uniwersytetu St. Andrew's w Szkocji? Opinie na ten temat zebrała Emilia Skrzypek, dwiętnastoletnia studentka St. Andrew's University.

SUCCESS is a journey, not the destination = polowanie na króliczka

Ania, absolwentka polskiego liceum, obecnie studentka świetnej zachodniej uczelni, w odpowiedzi na moje pytanie: „czym jest sukces?”, wykrzyknęła: „wszystkim!”. Po chwili zastanowienia wymieniła kilka jego „rodzajów”. „Sukces naukowy? Że się tu znalazłam” – pada najpierw. Później dopiero pojawia się głośnie i pełne determinacji – „Sukces zawodowy – pieniądze!”.

FOCUS: If you chase two rabbits, both will escape = gdzie uciekł króliczek?

Wielu młodych dopiero wchodzących w dorosłość już teraz obawia się, że być może całkiem niedługo będą musieli wybrać jedną z dwóch popularnych „recept na sukces”. Opcje to: „władza i bogactwo” oraz „szczęście i bliscy”. W mediach króluje wizerunek „człowieka sukcesu” – wiecznie zajętego właściciela nowoczesnego apartamentu w śródmieściu i szafy pełnej markowych ubrań, z nieodłączną aktówką, palmtopem i telefonem komórkowym pod pachą. Czasu na tzw. życie osobiste – brak. Wybór zestawu „przyjaciele i rodzina” niemal automatycznie ma powodować przyporządkowanie do drugiej, przeciwstawnej kategorii.

Można by pokusić się o uzasadnienie stereotypu „pogoni za pieniądzem” utartym już sloganem „cause we are living in a material world”. Pozostaje jednak pytanie, czy rzeczywiście młodzi biorą masowy udział w pogoni i co jest owym króliczkiem, którego chcą złapać. Czy rzeczywiście jesteśmy pokoleniem *stricte* materialistycznym?

Według osiemnastoletniego Matteo, Szwajcara biegle władającego sześcioma językami, studenta biochemii, sukcesem jest osiągnięcie zamierzonego celu. Na pytanie o to, co było sukcesem w jego życiu, najpierw pewnym głosem odpowiada: „Ukończenie szkoły średniej”. Po chwili wahania dodaje jednak: „Utrzymanie więzi z rodziną i przyjaciółmi”. „Jest bardzo dużo takich rzeczy!” – mówi na zakończenie.

Trochę odmiennie zdanie na ten temat ma Nancy, 20-letnia studentka biologii i filozofii, pochodząca z Chin, ale na stałe mieszkająca w Nowym Jorku. „Być szczęśliwą i nie mieć zmartwień. Yeah, that'd be me” – mówi bez chwili zastanowienia. Nancy nie jest pewna, czy osiągnie sukces. Wierzy, że tak się stanie, ale,

jak twierdzi, „sukces dotyczy przyszłości”. „Ja swojej nie znam. Nie wiem, czy dotrę do celu (sukcesu)” – mówi. Dla niej sukcesem jest mieć poczucie bezpieczeństwa. Jednym, jak twierdzi, mogą je zapewnić pieniądze, innym – miłość. Tu nie ma reguł.

FOLLOW the white rabbit = jak to jest z króliczkiem?

Zrealizowanie marzeń zwykle odczuwa się jako osiągnięcie sukcesu. Ale czy nie jest tak, że zarówno satysfakcja, jak i poczucie sukcesu wzrastają wprost proporcjonalnie do wielkości naszego osobistego wkładu w dotarcie do zamierzonego celu? Gracza, któremu poszczęściło się na loterii, możemy zestawić z kontrprzykładem osoby, która dzięki latom pracy, wyrzeczeń i poświęceń dorobiła się dużej ilości gotówki, również spełniając marzenie o bogactwie. Oboje posiadają status materialny, o jakim marzyli. Oboje więc spełnili swoje marzenie i do celu dotarli. Nasuwa się jednak pytanie, czy oboje osiągnęli ten sam poziom sukcesu? Dla 21-letniej Kate to nie takie jednoznaczne. Uważa ona, że na sukces trzeba sobie zapracować. Tylko wtedy jest prawdziwy.

Słowo „sukces” ma niezwykle chwytliwą treść i bardzo wysoką wartość marketingową. Liczne kursy, wydawnictwa, szkolenia kuszą obietnicami łatwego zrealizowania marzeń. Tylko czy istnieje coś takiego jak „sukces uniwersalny”? Misha ma 19 lat i pochodzi z Rosji. Studiuje ekonomię i filozofię na jednej z najlepszych ekonomicznych uczelni świata. Sukces to dla niego „satysfakcja z osiągnięcia celów, dzięki którym zdobywa się lepszą i wyższą pozycję w hierarchii społecznej”. To stwierdzenie obejmuje zarówno rozwój osobisty, połączony z wzrostem popularności w da-

nym środowisku, jak i awans w miejscu pracy, dzięki któremu czujemy się dowartościowani i spełnieni zawodowo. Widzimy, że jakkolwiek pojęcia „sukces” i „ambicja” są ze sobą spokrewnione, nie są pojęciami tożsamymi. Nie zawsze bowiem zrealizowanie ambicji jest równoznaczne z osiągnięciem sukcesu i na odwrót. Nie można jednak mieć poczucia sukcesu bez odczucia satysfakcji. Bez względu na to, w jakiej dziedzinie i z powodu jakich czynników to poczucie satysfakcji zostało osiągnięte.

THERE IS NO SPOON = czy ktoś widział króliczka?

Można pokusić się o stwierdzenie, że sukces istnieje tylko w ludzkiej percepcji. Według 18-letniej Szwedki Fillipy sukces można porównać do sztuki, w której wszystko zależy od subiektywnej oceny jednostki. Ktoś uznaje obrazy Warhola za arcydzieła, podczas gdy dla kogoś innego jego praca ma niewiele wspólnego ze sztuką. Podobnie jest z sukcesem. Coś, co jedni postrzegają w kategoriach wielkiego wyczynu, dla innych może być czymś zupełnie nieistotnym.

Dyskusyjne jest jednak, czy sukces można zobaczyć. Jeżeli tak, to czy przejawia się on tylko w sferze materialnej? A jeżeli nie – to może, jak twierdzi Trilce, od 12 lat mieszkająca w Rzymie pół-Finka, pół-Peruwianka: „Coś takiego jak sukces nie istnieje”?

Zaryzykuję stwierdzenie, że otaczają nas małe sukcesy, których nie dostrzegamy. O sukcesie myślimy zawsze jako o czymś odległym, również czasowo. Rzadko satysfakcjonuje nas to, gdzie „znajdujemy się” w danej chwili. W ten sposób często pozbawiamy się radości, jaką moglibyśmy, a może nawet powinniśmy odczuwać z powodu wszystkiego, co już osiągnęliśmy. Czy

jednak sukces już osiągnięty nadal pozostaje sukcesem? Czy wypada o nim tak mówić?

PERSISTENCE:

Now when we have exhausted all possibilities, let's get started

Anię, Matteo, Nancy, Mishę, Filipę i Trilce dzieli bardzo wiele – pochodzenie, kultura, religia, język i doświadczenia życiowe. Łączy ich to, że wszyscy są studentami uczelni należących do brytyjskiej „premier league”, jak również marzenie, że kiedyś będą szczęśliwi. Na osiągnięcie sukcesu mają różne recepty, wyznaczając sobie inne cele pośrednie, które mają im pomóc w dotarciu do niego. Sukcesowi przypisują różną rolę w swoim życiu i stawiają go na odmiennych szczeblach wyznawanej przez siebie hierarchii wartości. Wszyscy jednak przyznają, że większość ich działań w jakimś stopniu zmierza właśnie ku osiągnięciu sukcesu. Tylko definicji sukcesu jest wśród nich tyle, ilu ich samych.

Mam wielkie szczęście przyjaźnić się z tymi ludźmi. I było prawdziwą przyjemnością dyskusowanie z nimi na temat sukcesu, obserwowanie ich reakcji i sposobu podejścia do problemu. Uświadomiłam sobie wtedy, jak rzadko rozmawiamy na ten temat, mimo że on bezpośrednio nas dotyczy. Podczas tych rozmów dowiedzieliśmy się bardzo dużo o sobie samych i o sobie nawzajem. Byliśmy zgodni co do tego, że liczba małych, większych i tych całkiem sporych sukcesów w naszym życiu jest często dużo większa, niż nam się wydaje. Doszliśmy do wniosku, że pojęcie sukcesu w dużej mierze kreujemy sami w sobie. Może po prostu potrzebujemy więcej wyobraźni, elastyczności i odwagi, żeby go dostrzec?

Dla mnie samej ogromnym osiągnięciem było np. dostanie się na moją wymarzoną uczelnię, jak również niezgubienie żadnej skarpetki podczas ostatniego prania. Jak niewiele człowiekowi trzeba, aby poczuł się dowartościowany i zdolny do osiągnięcia sukcesu. Po prostu szczęśliwy.

EMILIA SKRZYPEK (ur. 1985) studjuje antropologię społeczną, geografii i ekonomię w St. Andrew's University.

MICHAŁ sukces po polsku



Dla większości młodych ludzi pierwszy prawdziwy „przystanek” życiowy to moment ukończenia studiów (założeniem tego tekstu jest przedstawienie spojrzenia na rzeczywistość oczami świeżo upieczonych absolwentów). Stanowi on cezurę okresu, gdy w zdecydowanej większości przypadków wszystko toczyło się ustalonym torem. Po dwudziestu pięciu latach podążania przewidywalną i znaną drogą dającą narkotyczne poczucie bezpieczeństwa, samookreślenia i przynależności społecznej, obrona pracy magisterskiej nagle staje się zjawiskiem podobnym do przejścia Alicji na drugą stronę lustra. Od tej pory nic już nie jest takie samo. Nagle okazuje się, że dokonywanie życiowych wyborów to sprawa wcale nie tak łatwa, jak mogłoby się wydawać. Każdy krok stawiamy odtąd na własny rachunek. Gdybym urodził się w Wielkiej Brytanii, Holandii lub w Niemczech, być może lepiej znałbym znaczenie tych słów. Najpóźniej od początku studiów mieszkalbym z przyjaciółmi w wynajętym mieszkaniu, a na swoje utrzymanie zarabiałbym, pomagając na uczelni lub wykonując nieskomplikowane prace usługowe na godziny. Nie musiałbym się czuć „darmozjadem” i pozostawać na wyłącznym utrzymaniu rodziców. Zbędny jest

chyba komentarz, że sytuacja nasza, czyli Polaków mających lat dwadzieścia kilka, była czy też nadal jest diemetrolnie inna. W ten sposób już na stercie skóry z nas doznaje życiowego okaleczenia, nie mogąc uczyć się samodzielności życiowej, strategii podejmowania decyzji i odpowiedzialności za własne wybory.

Należy też ubolewać nad tym, iż społeczeństwo polskie nie jest jeszcze na tyle majątne, abyśmy na szerszą skalę mogli korzystać z dobrodziejstw znanej w świecie i popularnej praktyki zwanej *gap year*. Zjawisko to obejmuje w państwach zachodnich absolwentów liceów, którzy nie mają wystarczającego przekonania co do konkretnego kierunku studiów, studentów pragnących wzbogacić się o nowe doświadczenia, a także świeżo upieczonych absolwentów studiów, dla których jest to „ostatni moment” na realizację różnego typu marzeń. *Gap year* pozwala spędzić pewien czas (zazwyczaj rok akademicki) na pracy w charakterze wolontariusza w obcym kraju, na zagranicznej podróży połączonej z nauką języka i zrozumieniem obcej kultury, wreszcie na praktykach lub stażu w różnych instytucjach, w celu analizowania własnych zamiarów i predyspozycji. To wszystko ma służyć rozwojowi jednostki ludzkiej, pomagać w zrozumieniu samego siebie, a co za tym idzie, pełniejszej i bardziej świadomej samorealizacji poprzez głębsze poznanie własnych celów i wartości.

W moim przekonaniu pomogłoby nam to bardzo z kilku ważnych powodów. Po pierwsze, przełamałoby stereotyp, że pilny i porządną zak to ten, który przede wszystkim studiuje przepisowe pięć lat, nie zmieniając w tym czasie – Boże, uchwaj! – kierunku lub, co gorsza, uczelni. Po wtóre, ustrzegłoby wielu z nas przed lekkomyślnym czy też zupełnie chybionym wy-

borem materii studiów. Nie może nie dziwić fakt, że jedynie promil przyszłych studentów zdecydował się udość na którykolwiek wykład w wymorzonej uczelni czy – jeszcze przezorniej – wziąć do ręki swój potencjalny przyszły podręcznik kursowy. Po trzecie, do studiów trzeba intelektualnie dorosnąć. Choć mało kto byłby skłonny się do tego otwarcie przyznać, istniejąca materia żmudna, trudna i złożona, do których percepcji duża część osiemnastoletnich maturzystów nie jest gotowa z różnych przyczyn. Bolesna jest czyniona zazwyczaj *post factum* refleksja, że nasze podejście do zagadnień naukowych podczas pierwszych lat studiów przypominało przedłużenie tzw. szkółki. Niestety, jak wszystkie życiowe niedociągnięcia, również opisana sytuacja potrafi się zemścić poważnymi lukami w wiedzy. A jeśli ta wiedza z założenia powinna się nawarstwiać systematycznie, jak w przypadku lekarzy, prawników czy inżynierów, że wymienię tylko pierwsze nasuujące się przykłady, odrobienie strat wymaga w ogólnym rozrachunku ogromnej ilości czasu. Niekiedy nawet początkowe braki uniemożliwiają dalsze wtajemniczenie w studiowany fach.

Kończąc studia, staję do walki o swój byt, przerażony danymi Urzędu Statystycznego – mój rocznik rozpoczyna falę potężnego wyżu demograficznego, która w ciągu czterech lat powiększy polski rynek pracy o milion osób. Wszyscy uczestniczymy w tym wyścigu. Bez względu na to, czy będzie nam dane zarabiać 900 czy 9000 złotych, przy najmniejszej próbie dyskusji szef pokaże nam teczkę pełną podań z prośbą o pracę w jego firmie. Hasło „nikt nie jest niezastąpiony” zyskało w dzisiejszych czasach najbardziej panurę z możliwych konotacji. Najbardziej brutalna dla nas jest prawda, że coś, co określa się jako „wyścig szczurów”, w spo-

leczeństwach krajów wysokorozwiniętych rozpoczyna się dopiero od określonego pułapu dochodów i prestiżu. Dla osób mniej przedsiębiorczych, które chętnie zadowolają się przeciętnym poziomem życia, pozostaje jednak nadal mnóstwo stanowisk pracy. Świeżo upieczony polski absolwent musi stawić czoło dużo trudniejszej sytuacji. Dokądkolwiek się uda, będzie na niego wywierana presja. Na porządku dziennym jest wszakże przedłużanie okresów próbnych, zaniżanie kwot na umowach o pracę, wreszcie, wymuszanie nadgodzin. Wiąże się z tym swoisty paradoks: z jednej strony, brak nowych miejsc pracy tłumaczy się kosztami i czasochłonnością szkolenia i adaptacji pracownika do powierzonych zadań, z drugiej, rotacja personalna osiąga rozmiary nigdy do tej pory nienotowane. *Tricky, isn't it?*

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że idiotyczne slogany rodem z kolumny ogłoszeń gazetowych, a mam tu na myśli „orientację na cele” czy też „zadaniowość wykonywanej pracy”, stały się fetyszem dzisiejszych społeczeństw. Chcąc nie chcąc, jednostka, której zadaniem jest odnalezienie się w gospodarce rynkowej, stara się jak najwcześniej i jak najściślej przystosować do przyszłych wymagań. To fakt bezsporny: złe nawyki wykształcone w poprzednim okresie historii naszego kraju nie mogą się ostać. Nie ma wątpliwości, że rzetelność, punktualność, słowność, odpowiedzialność czy dotrzymanie umów to cnoty, których osiągnięcie w Polsce wciąż jeszcze wymaga wytężonej pracy. Niestety, skutkiem ubocznym owego przystosowania się do wymagań rynku jest postępująca wynaturzenie naszego stosunku do życia jako harmanijnej całości. W efekcie stanowiąca większość działań podejmowanych przez młodego człowieka nie wypływa z jego wewnętrznej potrzeby. Miejsce

wartości etycznych, doznań estetycznych czy uczuciowych nieubłaganie zaczyna zajmować coś na kształt inżynierii życiowej, czyli taktyczno-bojowych działań mających prowadzić do Sukcesu.

I tak, ambicją wszystkich młodych ludzi powinno stać się odbycie stażu zagranicznego – najlepiej w Parlamencie lub Komisji Europejskiej, w ostateczności w przeciwnym Sejmie RP. Aspirują do tego studenci socjologii, psychologii, ekonomii, prawa, politologii, zarządzania oraz wszelkich innych możliwych kierunków. Powód? Sloganizacja i uniformizacja myślenia, która nie świadczy zbyt dobrze ani o stanie umysłów samorodnych „elit” współczesnego rynku pracy, ani o samych zainteresowanych, którzy tej swoistej modzie ufają i ulegają.

Co pozostawia dzisiejszy świat reszcie społeczeństwa, na którą wyżej opisani spoglądają z wyższością? Poczucie braku samorealizacji, bycia gorszymi i odstawania od „elity” – no i oczywiście, odmawia się im miana „ludzi sukcesu”.

Mam wielkie obawy, że pułapka takiego sposobu postrzegania otoczenia i aplikowania do stosunków międzyludzkich reguł gry rynkowej doprowadzi w końcu do zupełnej atomizacji społeczeństwa. Co więcej, już dziś tracimy na tym wszyscy, ponieważ promowane są jednostki konformistyczne, o typowym nastawieniu karierowiczowskim. Co za tym idzie: obecnie najlepszy negocjator to ten twardy i bezwzględny, który nie chce słyszeć o strategii *win-win*. Modelowy pracownik to ten lojalny wyłącznie wobec interesu sztucznego tworu, jakim jest korporacja. (Istnienie korporacji służy przecież wyłącznie zyskowi finansowemu i dlatego jej funkcjonowanie opiera się po prostu na pewnej konwencji, w myśl której wyznacznikiem wartości zespołu ludzkiego jest

wielkość różnicy między „dochodem” a „rozchodem”). W ten sposób samodzielne myślenie odchodzi do lamusa jako czynnik rozpraszający dążenie do nakreślonych odgórnie celów.

Moja obawa, zrodzona na gruncie powyższego wywodu, wiąże się z troską o każdego z nas, młodych ludzi, których kultura pracy zarobkowej dopiero będzie się wykształcać. Nieświadomie bowiem coraz mniej czynimy dla siebie i z własnych, czysto duchowych pobudek. Śmiem twierdzić, że w relatywnie krótkim czasie może to doprowadzić do poważnych dysfunkcji, czego liczne sygnały już dziś obserwuje się w gabinetach psychologów czy też terapeutów.

Tymczasem wydaje się, że można uczestniczyć w tej swoistej grze świadomie, w pewnym zakresie na własnych zasadach. I to może stać się – paradoksalnie – największym sukcesem każdego z nas.

Pisząc o sukcesie, nie sposób przemilczeć losów dużej grupy młodych ludzi, którzy postanowili szukać swojej szansy za granicą. Dziś, gdy – przynajmniej teoretycznie – granice mają czysto formalny charakter, wielu decyduje się na wyjazd. Ich doświadczenia są zazwyczaj obiecujące, poczynszy od godziwych pensji i lepszych warunków pracy, przez poczucie bycia docenionym i traktowanym poważnie, a skończywszy na dużo większych perspektywach rozwoju zawodowego. W dodatku, awansem zyskują drogi pozbawione dziur, czyste ulice, mniejszy strach o własne mienie (choćby w postaci samochodu). Przede wszystkim zaś odkrywają zupełnie inny świat, w którym rzeczą normalną jest posiłanie się w lokalach gastronomicznych, korzystanie z taksówek, kupowanie ubrań i książek w satysfakcjonującej liczbie i jakości – a wszystko to bynajmniej nie z pensji dyrektorskiej, lecz

z pensji osoby zatrudnionej w biurze czy w sektorze usług. Niemożliwe nagle staje się możliwe: dwie pracujące osoby mogą bez najmniejszego wysiłku utrzymać się, wynajmować mieszkanie i swobodnie planować egzotyczne wakacje. Z tego wszystkiego dla mnie, absolwenta czołowego kierunku renomowanej polskiej uczelni, dostępna jest jedynie wspomniana egzotyka, tyle że związana właśnie z tego rodzaju opowieściami.

Błędem jednakże byłoby sądzić, że obranie takiej drogi nie wiąże się z wyrzeczeniami. Do najbardziej dających się we znaki bólczek należy odseparowanie od rodziny i przyjaciół, które, nawet jeśli z początku nie było brane pod uwagę, bardzo szybko daje o sobie znać. Poza tym dużo trudniej zdecydować się na założenie rodziny, mając świadomość, że jest się zdany wyłącznie na własne siły, nie wspominawszy o tym, iż potomek pozbawiony będzie komfortu przebywania pod czułą opieką babć, dziadków, wujków i cioci. Pozostaje także ciągła tęsknota za ojczyznymi krajobrazami oraz... jedzeniem, które podobno nigdzie nie smakuje tak samo jak w ojczyźnie. Cena wysoka, a jednak wielu z nas decyduje się ją zapłacić, traktując to jak opłatę za bilet do normalności. Muszę przyznać, że mają rację. Zwłaszcza że nie tylko ci najzdolniejsi, tytani pracy i pilności mogą z powodzeniem szukać swego miejsca poza jej granicami. Także dla przeciętnych zjadaczy chleba znajdzie się miejsce pracy i godziwa płaca.

Najbliższe kilka lat to zdecydowanie ostatni dzwonek, aby ojczyzna zaoferowała (nie tylko, choć przede wszystkim) ludziom młodym coś ciekawszego niż obecnie. Stwierdzenie to nie ma nic wspólnego z postawą roszczeniową. Wystarczyłoby, gdyby wszystkie funkcjonujące instytucje państwowe rzetelnie i skutecznie wywiązywały się

ze swoich zadań, stając się sprzymierzeńcami swych współobywateli. Większość z nas przechodzi chłodny dreszcz na myśl o prowadzeniu własnej firmy, choć skądinąd wiadomo, iż podstawą bogactwa społeczeństw są przedsiębiorcy prowadzący działalność gospodarczą na własny rachunek. Układy, korupcja, wszechobecne cwaniactwo i brak dostatecznej ochrony prawnej sprawiają, że wręcz nie da się w spokoju zajmować swoją dziedziną wiedzy czy biznesu. Wciąż trzeba omijać kolejne pułapki, w czym w żaden sposób nie pomagają obywatelowi państwo. Gdy czytam hurraoptymistyczny artykuł, którego główna myśl sprowadza się do stwierdzenia, iż menadżerowie mający za sobą praktyczne doświadczenie pracy w Polsce są najbardziej pożądani w Europie, zwłaszcza wschodniej, ponieważ zdobyli najtrudniejsze i najbardziej traumatyczne doświadczenie rynkowe, tży stają mi w oczach. Od zawsze uważałem, że jesteśmy narodem zdolnym, ambitnym i zasługujemy na najlepsze. Tymczasem wciąż ciąży nad nami widmo kraju szemranych interesów i władzy dbającej w pierwszym rzędzie o własne profity.

Tytułem pociechy należy wspomnieć, że już niedługo od nas tylko zależeć będzie, czy cokolwiek wokół ulegnie zmianie. Niestety, nie dane nam jest mieć zbyt wielu mistrzów, którzy stanowiliby godne naśladowania wzorce. Zadanie będzie tym bardziej niełatwe. Przyjąć więc należy, że sukcesem samym w sobie jest już to, że nabraliśmy wprawy w sprawnym poruszaniu się w rodzimej rzeczywistości. Niestety, marna to pociecha...

Powyzsze refleksje kołatały się w mojej duszy przez cały okres studiów. Ale czy nie wydaje Ci się, Czytelniku, że skądś jest znasz? Z całą pewnością. Towarzyszą na-

szemu pokoleniu od momentu, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że każdy z nas jest częścią większej całości. Urodziliśmy się za wcześnie, żeby w stu procentach już w dzieciństwie i wczesnej młodości skorzystać na transformacji ojczystego kraju, i za późno, by uniknąć zazdrości tylko trochę starszych od nas; zbyt rychło, aby realnie myśleć o studiach zagranicznych, i już na starcie spóźnieni na masową „łapankę” do kadr wszystkich firm, które dziś zdają się zatrudniać komplet siły roboczej na najbliższe dwadzieścia lat.

Dla mnie osobiście najgorsze jest jednak to, że tak naprawdę nie mamy dorobku społecznego w dziedzinie sukcesu. Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które dorastało ze swoiście „zresetowaną” przeszłością, do której się nie wraca, ku przyszłości, która – przynosząc zupełnie nowe reguły – dla wszystkich pozostawała niewiadomą. Przynać się do bezradności w czasach, gdy nikt nie chciałby być nazwany bezradnym – to wymaga odwagi. Nie mamy się na kim wzorować, przynajmniej w kwestiach praktycznych, ponieważ pechowo to my w pewnym sensie jesteśmy pionierami nowego porządku. Ale już czas najwyższy powiedzieć głośno, że w wielu przypadkach nie dajemy rady osiągnąć mglistego, niejasnego „sukcesu”.

Mnie udało się od grudnia znaleźć pracę. Wielu moich znajomych jednak nadal jej nie ma, niekoniecznie z powodu braku ofert, raczej w efekcie milczącego bojkotu tak stawek płacowych, jak i haniebnego braku perspektyw rozwoju, któremu to bojkotowi i ja do niedawna hołdowałem. Zresztą, z pensją, która śmieszy przez tży, nadal nie mogę jako jednostka samostanowić o sobie: nie ma mowy o zamieszkaniu na własną rękę i utrzymaniu się bez ciężącego jak kamień u szyi wsparcia rodziców, nawet o pokryciu wszystkich co-



miesięcznych wydatków bieżących. Myślę, że nasze pokolenie wyjątkowo wiele zawdzięcza rodzicom, którzy żyjąc w kraju demokracji ludowej, a później w warunkach drapieżnej gospodarki rynkowej, przez większość życia odmawiali sobie szeregu rzeczy, aby nam zapewnić edukację, życiowy start czy wreszcie lepszy byt. Nie wyobrażam sobie, że można nie podjąć próby odwzajemnienia się za te wyrzeczenia. I dlatego obserwacja sytuacji na rynku pracy wyzwala u mnie ślełą agresję. Marzę, aby móc kiedyś złagodzić bólczki wieku podeszłego i uprzyjemnić lata emerytury swym rodzicom. Sęk w tym, że to kwestia pięciu, może siedmiu lat. Kto jeszcze wierzy, że do tego czasu nastąpi cud?

Pokrzepia to, że z sukcesem rzecz ma się chyba trochę jak ze szczęściem: jeśli usiąść i o nich myśleć, są praktycznie nieosiągalne. A jeśli robić swoje i wierzyć w to, nagle okazuje się, że je posiadliśmy. Pytanie, na jak długo.

MICHAŁ (ur. 1980, nazwisko znane redakcji) jest absolwentem prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

słodka trucizna

ze Sławomirem Shutym*
rozmawiają Katarzyna Marek
i Paweł Szeliga

ROK 1984: W swojej książce napisaliście: „Tak powinno być. Nikt nie powiedział, że powinno być inaczej. No bo jak mogłoby być inaczej, jak nie może być inaczej”. No to właściwie jak jest?

SŁAWOMIR SHUTY: Wydaje mi się, że opisałem bardzo popularny sposób myślenia. To mentalność, która ma swoje początki jeszcze w czasach komunistycznych. Obserwuję to też u siebie czy moich rodziców. Jeżeli władza mówi: „Jest tak i tak”, przyjmujemy, że tak właśnie jest. Jeśli według państwa wskaźniki wzrostu gospodarczego rosną, wierzymy, że rzeczywiście rosną. W ten sam sposób patrzemy na afery i wszystko, co się teraz dzieje. Wszyscy mówimy: „OK, po prostu tak jest”. Nikt nie bierze odpowiedzialności na siebie. Tak właśnie jest.

Panuje marazm?

Właśnie. To sytuacja wygodna: możesz sobie ponorzezać, ale nic nie musisz robić.

Jak dostałeś pracę w banku?

Mam wykształcenie ekonomiczne i po skończeniu studiów byłem święcie przekonany, że nic innego nie mogę robić. Więc pracowałem w różnych instytucjach: naj-



pierw w banku, potem jako przedstawiciel handlowy i w różnych firemkach. W pewnym momencie spróbowałem zerwać ze swoim zawodem. Poszedłem do wojska, później wyjechałem do Londynu – chciałem uciec od tego wszystkiego. Po powrocie z Anglii zacząłem pracować na wykopaliskach archeologicznych. Nie przynosiło to dużych dochodów, a ja musiałem z czegoś żyć. Wtedy znalazłem ogłoszenie, że w banku potrzebują pracowników. Wysłałem CV, zostałem przyjęty i zacząłem pracować.

Od początku wiedziałeś, że praca nie spełni twoich oczekiwań?

Wydawało mi się, że to dla mnie jedyna szansa na pracę. Interesowałem się różnymi rzeczami, prowadziłem wcześniej galerię. Ale jakoś nie miałem pomysłu, co ze sobą zrobić. W banku przechodziłem kolejne etapy szkolenia. Jednym z nich był kurs w Warszawie – właśnie tam zrozumiałem: „To nie to”. Czekałem. Mówiłem sobie: „A, popracuję jeszcze z pół roku, żeby dostać bezrobocie”. Po pół roku: „To może jeszcze pół roku, żeby mieć coś do CV przy okazji następnej pracy”. Tak się to ciągnęło i ciągnęło.

Prasa sugerowała, że rezygnując z konsumpcyjnego stylu życia, odrzuciłeś wspaniałą karierę i ogromne zarobki. Czy rzeczywiście powodziło ci się tak dobrze?

Wcale nie. Zarabiałem 1200 zł na rękę, co jest niską stawką, zważywszy, że człowiek był tam odpowiedzialny za wszystko: obsługa klienta, zafatwanie rachunków, odpowiedzialność za gotówkę w kasie... Dużo stresu za małe pieniądze.

Miałeś perspektywę awansu?

Awans nie wydawał się taki pewny. Przy najmniej ja nie widziałem żadnej perspektywy i, w sumie, nie chciałem widzieć. W naszym oddziale szanse awansowania były szczególnie nikłe, bo kierowniczka była kopytą tej ze *Zwału*. Udupiała ludzi, którzy starali się wybić. Może mógłbym walczyć o przeniesienie do innego działu, ale tak naprawdę to chciałem iść do pracy na osiem godzin i wrócić do domu. Wszystko zależyło od tego, czego się chce.

Coś w ogóle ci się podobało w pracy w banku?

Nic. Ludzie i relacje między nimi były dla mnie straszne. Nie podobał mi się sposób pracy i obowiązek nieustannego uśmiechania się. Nie jestem człowiekiem, który uśmiecha się do wszystkich. Zamiast jednak coś zmieniać, trwałem w tym, bo wydawało mi się, że tak musi być.

Nie każdy może sobie pozwolić na rzucenie pracy i zajęcie się sztuką.

Ale ja, pracując w banku, jeszcze niczego nie publikowałem. Nowy wspaniały smak powstał później. Miałem więc furtkę – pasję, ale bez perspektyw, że coś z tego wyjdzie. Rzykowałem. Wszystkie książki rozchodziły się w znikomych ilościach. Także *Bełkot* i *Cukier w normie*.

Po co napisałeś *Zwał*?

Po prostu lubię pisać. To moja pasja, miłość życia. Dla mnie najważniejszy jest akt pisania, tworzenia i zastanawiania się. Nie ma w tym żadnej ideologii.

Czy zgadzasz się z redaktorem „Halar-tu”, Jankiem Sową, który mówi: „Na metr ode mnie nie ma konsumpcji”?



(He! Tak powiedział?) Nie zgodzam się. Zachowanie takiej ideologicznej czystości w obecnym świecie jest bardzo trudne. Trzeba by się zastanawiać nad każdym wyborem – nawet nad zakupem „Masa Polskiego”, bo nie wiadomo, kto stoi za tą marką. Niektórzy dobrze się na tym znają, uważają, co kupują czy konsumują... Ja takim radykałem nie jestem.

No właśnie, twoja książka to też produkt.

Książkę trzeba sprzedać – ja to rozumiem i akceptuję, dlatego, że chcę trafić do ludzi. Poprzednimi książkami też chciałem się z odbiorcą komunikować, ale one były niskonakładowe. Większe wydawnictwo dało mi możliwość dotarcia do większej liczby ludzi. Tym samym pozwoliło mi zrobić coś więcej. Teraz otwiera się dużo nowych drzwi, a ja mam mnóstwo pomysłów. Fajnie byłoby mieć okazję je zrealizować.

Czym jest dla ciebie sukces?

To po prostu możliwość pokierowania swoim życiem tak, jak się chce. Spełnienie.

Pracujesz teraz fizycznie w magazynie firmy kurierskiej. Czy twoje nowe życie uznajesz za sukces alternatywny?

Fizyczna praca jest zajebista! Usuwa z ciebie nagromadzone nerwy i stres, daje jasność umysłu. W trakcie wysiłku fizycznego dużo pomysłów przychodziło mi do głowy. Niestety, ostatnio zmienił się charakter mojej pracy – siedzę teraz w biurze i zupełnie mechanicznie wklepuję dane do bazy. Poświęcam na tę czynność siedem godzin dziennie, a przecież w tym czasie mógłbym robić coś rozwijającego. Ostat-

nio dużo się dzieje: tutaj wywiad, tam wyjazd. Brakuje mi czasu na pisanie. Coraz mniej mi się to wszystko podoba i dlatego spróbuję wrócić do pracy fizycznej. Chciałbym zająć się robotami wysokościami.

Co w życiu warto, a czego nie warto?

Warto sprawdzać. Często jest tak, że coś mi się na początku nie podoba, a potem okazuje się pasjonujące. Dlatego kieruję się wschodnią maksymą: „To, co na początku wydaje się słodkie jak miód, może okazać się trucizną. A trucizna – słodyczą”. Warto podjąć wysiłek, by dowiedzieć się, co mi smakuje.

A dążenie do sukcesu?

Sukces nie jest celem sam w sobie, chociaż stwarza nowe możliwości. Sukces finansowy umożliwi realizację marzeń i zachowanie niezależności, otwiera nowe furtki. Ma i ciemne strony: Wojciech Kuczok, który dostał nagrodę Nike, musi teraz rezerwować czas na tysiące spotkań, kilka miesięcy w roku poświęca na tournée po Polsce. No i mogą się przytrafić alkohol, narkotyki, upadek na samo dno... Ale, na każdym etapie życia pojawiają się nowe problemy.

* SŁAWOMIR SHUTY, trzydziestolatek pochodzący z Huty (Nowej Huty w Krakowie). Ukończył krakowską Akademię Ekonomiczną. Prozaik, fotograf, reżyser filmów undergroundowych. W 2005 roku otrzymał Paszport „Polityki”. Nazywa siebie prorokiem antykonsumpcji. Przez kilka lat szukał swojego miejsca, podejmując się różnych zajęć. Ostatnio wydał powieść *Zwał* (Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2004), w której „wypłuwa” własną prawdę o pracy w zagranicznym banku. I tłumaczy, dlaczego „zdezerterował ze społeczeństwa konsumpcji”.

Zespół

Wojciech Bonowicz, Halina Bortnowska, Tomasz Fiałkowski, Tadeusz Gadacz, Stanisław Grygiel, ks. Michał Heller, Waclaw Hryniewicz OMI, ks. Jan Kracik, ks. Grzegorz Ryś, Marek Skwarnicki, Stanisław Stomma, Władysław Stróżewski, ks. Tomasz Węclawski, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski

Redakcja

Michał Bardel (sekretarz redakcji), Olgierd Chmielewski (opracowanie graficzne), Jarosław Gowin (redaktor naczelny), Janusz Poniewierski, Krystyna Strączek, Karol Tarnowski, Łukasz Tischner, Stefan Wilkanowicz (przewodniczący Fundacji Kultury Chrześcijańskiej ZNAK), Elżbieta Wolicka, Henryk Woźniakowski, Dorota Zańko

NOWE, KORZYSTNE WARUNKI PRENUMERATY

Cena pojedynczego numeru – 18 zł.

Cena numeru w prenumeracie:

przy zakupie jedenastu kolejnych numerów – 12 zł; sześciu numerów – 14 zł;
trzech numerów – 16 zł.

UWAGA!

Numer wakacyjny (lipiec/sierpień) jest łączony.

PRENUMERATĘ można rozpocząć od wybranego numeru. Cena prenumeraty w 2005 roku: prenumerata roczna 11 numerów: 132 zł, 6 numerów: 84 zł, 3 numery: 48 zł. Wpłaty przyjmuje SIW Znak Sp. z o.o., ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, 80 1440 1127 0000 0000 0197 0054 (Nordea Bank Polska S.A., Królewska 51, Kraków).

Prenumeratę miesięcznika „Znak” prowadzi dział handlowy SIW ZNAK. Wpłatę kwoty na prenumeratę rozpoczynającą się od wybranego numeru proszę zgłaszać pod numerem bezpłatnej infolinii: 0800 130 082, na adres e-mail: dzial_handlowy@znak.com.pl lub przesłać na nr faksu: (+12) 61 99 563.

DO PRENUMERATY zachęcamy Czytelników mieszkających poza Polską. Roczną prenumeratę zagraniczną można rozpocząć od wybranego numeru. Koszty prenumeraty wraz z opłatą za wysyłkę lotniczą: Europa – 62 euro lub 72 \$, Ameryka Pn. i Afryka – 87 \$, Ameryka Pd. i Łac., Azja – 107 \$, Australia i Oceania – 132 \$. Wpłaty w złotych (według aktualnego kursu NBP) proszę kierować pod adresem jw.

KAŻDY PRENUMERATOR jest członkiem Klubu Przyjaciół Znak i otrzymuje zaproszenia na wszystkie spotkania i dyskusje organizowane przez miesięcznik „Znak”.

KAŻDY PRENUMERATOR otrzymuje raz w roku nieodpłatnie książkę. W roku 2005 jest to *Słowo o ślebodzie. Kazania spod Turbacza* ks. Józefa Tischnera z kasetami.

PRENUMERATA KRAJOWA I ZAGRANICZNA PROWADZONA PRZEZ „RUCH”

Cena prenumeraty w I kwartale 2005 wynosi 48 zł. Szczegółowe informacje we właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora oddziałach „Ruch” lub w urzędach pocztowych. Prenumerata zagraniczna jest o 100% droższa od prenumeraty krajowej i za I kwartał 2005 r. wynosi 96 zł.

adres redakcji:

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37, tel. (+12) 61 99 530, fax (+12) 61 99 502;

e-mail: miesiecznik@znak.com.pl

Dział reklamy i promocji, tel./fax: (+12) 61 99 550

Materiałów niezamówionych nie odsyłamy

Nakład 2400 egz.

Skład i łamanie: Łukasz Mazurkiewicz

Druk: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16



„Laickość” a pamięć zbiorowa, s. 7

Guilhem Labouret: Ci, którzy ocenili dzień św. Mikołaja i okres Adwentu, myślą pojęcia: chcąc zaprowadzać laickość, niweczą jedyny związek uczniów szkoły świeckiej, publicznej, bezpłatnej i obowiązkowej ze zjawiskiem religii – związek kulturowy, którego nośnikiem jest najstarsza tradycja.



Jak dzisiaj przekazywać wartości?, s. 24

Chantal Delsol: Problem wolności dziecka nie wygląda tak, jak się go dzisiaj powszechnie postrzega. Wszyscy jesteśmy przekonani, że powinno być ono wolne, ma bowiem stać się kimś autonomicznym i odpowiedzialnym. Ale nie uczynimy go wolnym, zaprzestając przekazywania mu tego, w co wierzymy, z obawy, że mogłoby poczuć się wyobcowane. Uczynimy je wolnym, przekazując mu nasze przekonania jednocześnie ze zmysłem krytycznym.



Buty też są ważne, s. 113

Małgorzata Łukasiewicz: Piotr Schlemihl wstawił się niezwykłą transakcją: sprzedał szaremu gościowi własny cień w zamian za tzw. mieszek Fortunata, czyli sakiewkę, z której można bez końca czerpać złoto. Zyskał bezmierne bogactwo, ale bynajmniej nie zyskał szczęścia: bardzo szybko okazuje się, że paradując bez cienia, wzbudza niechęć, wzdąę i przerażenie ludzi. Brak cienia, jednym słowem, kładzie się cieniem na jego życiu – i nie jest to jedyny paradoks tej historii.



**O księżce Hansa Ursa von Balthasara
O zadaniach filozofii katolickiej..., s. 139**

Sławomir Popławski: Chrześcijańska *philosophia perennis* zmuszona jest do przyswojenia sobie najróżnorodniejszych pojęć i sposobów ludzkiego myślenia, by w nich wyrazić swoje przesłanie. Aby zrozumieć odmienne formy myślenia, należy wyzbyć się przemądrzałości i zdobyć na pokorę. Balthasar podkreśla znaczenie osobistego kontaktu z myślą, tylko on bowiem umożliwia poznanie jej istoty.



Byłem praktykantem, s. 166

Marcin Darmas: Polskim mediom nie mogę wybaczyć taniego moralizatorstwa i manipulowania faktami. Nie relacjonuje się rzeczywistości, tylko umiejętnie zestawia jej zepsute elementy. Takim sposobem telewizja kreuje nową rzeczywistość i każe nam w nią wierzyć...

Za miesiąc: **O lustracji**

